www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 46 (1088)
9-15.11.2020
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

PROF. JACEK RACIBORSKI
TEN BUNT BĘDZIE NARASTAŁ

PROF. GRZEGORZ W. KOŁODKO
CHINY A PRZYSZŁOŚĆ ŚWIATA

PROF. BOLESŁAW SAMOLIŃSKI
NAUCZYĆ SIĘ ŻYĆ Z COVID-19

PROF. ZBIGNIEW IZDEBSKI
SEKS W CZASIE PANDEMII

Aborcyjna hipokryzja

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
46
9 771509 311003

eprasa.pl 7f3e78ad

Energa CAMERIMAGE

28.

MIĘDZYNARODOWY
FESTIWAL FILMOWY

14–21.11.2020, TORUŃ
KUJAWSKO-POMORSKIE

SPOTKAJMY SIĘ NA:

online.energacamerimage.pl

projekt plakatu: PATRYK NARDZEJ

PATRONAT HONOROWY PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ ANDRZEJA DUDY

WSPÓŁFINANSOWANIE: MINISTER KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO, MIASTO TORUŃ ORAZ WOJEWÓDZTWO KUJAWSKO-POMORSKIE

ORGANIZACJA I PRODUKCJA: FUNDACJA TUMULT, EUROPEJSKIE CENTRUM FILMOWE CAMERIMAGE

SPONSORZY I PARTNERZY OFICJALNI: ARRI, HAWK, ZEISS, SONY, harkness, VARIETY, TVP, Mercedes-Benz AUTO PREMIUM

SPONSOR STRATEGICZNY: Energa GRUPA ORLEN

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

MIASTO – GOSPODARZ: MIASTO TORUŃ

Patronem głównym inwestycji jest Województwo Kujawsko-Pomorskie: KUJAWY POMORZE, Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu

PATRONI MEDIALNI: Polska Times, RZECZPOSPOLITA, rp.pl, Przegląd, Wyborcza.pl, PiK, empik, ams, WP, FilmPolska, SINEMA.TV, amc, FILMPRO, TELETV, FILMOWY KANAŁ, aktualny, PRESSFILMOWC

Fundusze Europejskie Program Regionalny

Rzeczpospolita Polska

Województwo Kujawsko-Pomorskie

Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

WYDARZENIE WSPÓŁFINANSOWANE ZE ŚRODKÓW EUROPEJSKIEGO FUNDUSZU ROZWOJU REGIONALNEGO W RAMACH REGIONALNEGO PROGRAMU OPERACYJNEGO WOJEWÓDZTWA KUJAWSKO-POMORSKIEGO NA LATA 2014-2020

www.visitTorun.com www.energacamerimage.pl facebook.com/camerimage camerimage.festival

eprasa.pl 7f3ef78ddd

CYTATY

KS. ADAM BONIECKI,
redaktor senior
Laicyzacja jest również odpowiedzią na przymus (Kościoła).
„Tygodnik Powszechny"

JERZY URBAN,
redaktor naczelny
Kaczyński postradał zdolność przewidywania skutków tego, co robi. Stał się przez to groźniejszy.
„Nie"

MACIEJ ZIĘBA OP,
dominikanin
Kard. Casaroli krytykował papieża Jana Pawła II za sprzeciw wobec stanu wojennego. Według niego był on koniecznością, a gen. Jaruzelski to polski patriota.
„Dziennik Gazeta Prawna"

ALEXANDER BATTHYÁNY,
filozof austriacki
Jeśli dzielisz z kimś swój ból, pozostaje ci tylko połowa. To czysta nauka.
„Forum"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Słowo roku 2020

„Listopad to dla Polaków niebezpieczna pora". Czasy oczywiście inne, ale znowu coś jest na rzeczy. Ciekawe, co by Wyspiański napisał o tej władzy, którą młodzież tak dosłownie zachęca do odejścia.

I o młodzieży, którą o. Rydzyk nazwał satanistami. Zadziwiające. Bo kto by przypuszczał, że w Polsce jest aż tylu satanistów. Ale skoro tak mówi redemptorysta, to pewno ma miarkę do mierzenia zawartości diabła w ciałach protestujących. Poziom diabolizmu przekraczający 50% żywej wagi satanisty powinien powodować skierowanie na egzorcyzmy. Niekoniecznie dobrowolne. Przecież to się da załatwić. PiS nie odmówi biskupom takiej ustawy. A mgr Przyłębska potwierdzi jej zgodność z konstytucją.

Gdy dla Rydzyka protestujący młodzi to sataniści, dla Andrzeja Rzeplińskiego, byłego prezesa Trybunału Konstytucyjnego, są oni hołotą i awanturnikami. Pan prezes jako katolik patrzy na nich ze smutkiem, a jako obywatel z obrzydzeniem. Zadziwiające, że tak myśli sędzia hołubiony przez środowiska liberalne. Co tu komentować? Przecież wszystko jest wyłożone na tacy.

A skoro tak, to trzeba dopowiedzieć, że w życiu publicznym jest jeszcze gorzej, niż myślą wychodzący na ulice. Źle jest po obu stronach barykady. Problemy mają nie tylko rządzący, ale i opozycja. Młodzież to chyba wyczuwa, bo goni polityków podłączających się pod ich protesty. Opozycja parlamentarna też nie ma im nic sensownego do zaproponowania. A propozycja lidera PSL, by wpisać „kompromis aborcyjny" do konstytucji, jest jak głos z jakiegoś kółka parafialnego.

Brednie, że w Polsce od 27 lat jest w sprawie aborcji jakiś kompromis, mogą powtarzać tylko wyjątkowi hipokryci. Pisze o tym Anna Brzeska. Zmiany w Polsce trzeba zaczynać od słów. Nie muszą one wszystkim się podobać. Ważne, żeby były trafne. I to jest sensowna droga. Szanuję tych, których razi słowo wyp... Słowo roku 2020. Ale przy okazji sprawdzam, czy wcześniej nie kłamali, mówiąc o „kompromisie aborcyjnym". Bo przecież musieli wiedzieć, że to tylko polityczna ustawka i oszustwo.

Aborcja nie jest oczywiście OK. Większość kobiet płaci za nią dużą cenę. Wpływa na ich zdrowie i psychikę. Ale jest ich niezbywalnym prawem. Prawem, którego nikt nie może ich pozbawić.

Żyjemy w takim kraju, gdzie prawo do wolnego wyboru kobiety muszą sobie wywalczyć. Same. Bo politycy kończą na gadaniu. Ogólniejszy wniosek z ostatnich wydarzeń jest natury pozytywistycznej. Jeśli chcecie, by jakieś idee stały się faktem, to musicie się zorganizować. Niczego nie dostaniecie w prezencie.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 7f3ef78ddd

W NUMERZE

KRAJ

8 Aborcyjny kompromis – największe łgarstwo III RP

14 Ludzie wyszli na ulice. I co dalej?
– rozmowa z prof. Jackiem Raciborskim

18 Młodzi nie chcą odpuścić
W małych miastach nie stawia się na ilość

20 Antyszczepionkowcy, antycovidowcy, antymaseczkowcy i inni
Biznes na pandemii

38 Przytulajmy się
– rozmowa z prof. Zbigniewem Izdebskim

42 Mam COVID. Co robić?
Pamiętnik z izolacji

44 Choroby nie czekają na koniec pandemii
– rozmowa z prof. Bolesławem Samolińskim

48 W odnajdowaniu drogowskazów
25 lat Fundacji Reorientacji Zawodowej i Pomocy Społecznej

ZAGRANICA

24 Wiedeń się trzyma
Sprawne państwo, krwiożercze media

26 Zmiana warty na Litwie
Prawica przejmuje władzę

28 Pani Lider
Tak się rządzi w Nowej Zelandii

30 Wyczyny seksualnych drapieżców
Korespondencja z Danii

32 Ortodoksi budzą gniew
Religijne podziały w Izraelu

OPINIE

34 Grzegorz W. Kołodko
Chinizm a przyszłość świata

37 Olga Lipińska
Nie odpuszczajcie

KULTURA

50 Chłopak, który czytał gazety
Marek Niedźwiecki wspomina

52 Qulturalia

66 Teodor Durski. Coraz bliżej do kosmosu

EKOLOGIA

54 Spalmy świat i sprzedajmy to, co zostanie
Korespondencja z Argentyny

OBSERWACJE

58 Jak rozmawiać z agresywnym psem
– rozmowa ze Sławomirem Prochockim

FELIETONY I KOMENTARZE

3 Jerzy Domański
Słowo roku 2020

17 Jan Widacki
To jest wojna…

23 Roman Kurkiewicz
Koniec. Kropka. I co dalej

41 Tomasz Jastrun
Wstrząsające wydarzenia

47 Wojciech Kuczok
Od Sasa do lasa

53 Agnieszka Wolny-Hamkało
Święta Beata od poetów

28
ZAGRANICA

PANI LIDER
Tak się rządzi w Nowej Zelandii

38
KRAJ

PRZYTULAJMY SIĘ
– rozmowa z prof. Zbigniewem Izdebskim

58
OBSERWACJE

JAK ROZMAWIAĆ Z AGRESYWNYM PSEM
– rozmowa ze Sławomirem Prochockim

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

Dr Marek Wroński
Plagiaty na prestiżowych uczelniach

Czechy i Słowacja – walka z koronawirusem

Gdy bracia mają jedną żonę

Lewica daleko od ludzi

W PRZEGLĄDZIE ukazują się ciekawe analizy w cyklu „Czego brakuje lewicy?". Jednak odpowiedzi na tytułowe pytanie są dalekie od rzeczywistości. Tymczasem ta odpowiedź jest dość prosta. Lewicy brakuje bezpośrednich i codziennych kontaktów ze zwykłymi ludźmi. Spotykanie się w ramach struktur niższych szczebli to nie to samo co spotkanie w oczy z mieszkańcami wsi, przysiółków, likwidowanych zakładów pracy.

Mimo mojego zaproszenia ani pan Czarzasty, ani pani Senyszyn nie zjawili się w Puszczy Białowieskiej, by porozmawiać z ludźmi tu, na miejscu. Stać ich było tylko na przyjazd do Hajnówki na spotkanie wyborcze, z którego mam dwie niezgodne ze sobą relacje – pana Czarzastego i burmistrza. Irytuje mnie, że lewica wyrokuje w sprawie Puszczy Białowieskiej, a pomija milczeniem sprawę mieszkańców. Dopóki lewica nie pozna prawdziwych problemów zwykłych mieszkańców naszego kraju, będzie mogła liczyć na ledwie 5-10% poparcia.

Andrzej Antczak, Białowieża

Drakońskie prawo przeciw aborcji

Decyzja Trybunału Konstytucyjnego jest perfidnym działaniem PiS. Aby odwrócić uwagę od tego, że swoją polityką spowodowało tysiące ofiar pandemii, wprowadziło ono drakońskie prawo okrężną drogą, kierując oburzenie społeczne na Trybunał i grupę posłów. W ten sposób ekipa Kaczyńskiego chciała uniknąć rozłamu wewnątrz PiS oraz zamanifestować jedność koalicji i gotowość do działań niepopularnych. Ponadto zyskała wdzięczność Kościoła katolickiego i jego poparcie w dyscyplinowaniu społeczeństwa w perspektywie nowych (być może przyśpieszonych) wyborów. Forsowanie ustawy o ochronie zwierząt poważnie zachwiało wpływami PiS w środowisku wiejskim i ujawniło podziały w elektoracie. Potrzebne było wstrząśnięcie społeczeństwem. Przypadek prawa antyaborcyjnego pokazuje, jak bardzo antydemokratyczną instytucją jest Trybunał Konstytucyjny, który stał się w ręku rządzących narzędziem kasującym ustawy.

dr Edward Karolczuk

BIAŁA WSTĄŻKA DLA PRZYJACIELA KOBIET

Centrum Praw Kobiet i Fundacja Jolanty Kwaśniewskiej „Porozumienie bez Barier" po raz 11. organizują konkurs Wyróżnienie Białej Wstążki. Jego celem jest wybór mężczyzny, który zasłużył się, pomagając kobietom, reagując na różne formy przemocy i dyskryminacji wobec kobiet. Kandydatów mogą zgłaszać pokrzywdzone kobiety, pracownicy instytucji i organizacji pozarządowych oraz inne osoby, które wskażą zasługi danego kandydata. Białą Wstążką nagradzani będą mężczyźni działający społecznie, zatrudnieni w instytucjach pomocowych (fundacjach, stowarzyszeniach, ośrodkach pomocy społecznej itp.), pracownicy służb mundurowych oraz prywatnie niosący pomoc krzywdzonym kobietom. Kandydatów można zgłaszać w ośmiu kategoriach: Wymiar sprawiedliwości, Organy ścigania, Instytucje i organizacje pomocowe, Osoby publiczne, Instytucja publiczna, Pracodawca-sponsor, Osoba prywatna, Media.

Termin zgłoszeń upływa 25 listopada 2020 r.!
Szczegóły na stronie cpk.org.pl/bialawstazka/

ZDJĘCIE TYGODNIA

Stany Zjednoczone liczą głosy. Szala przechyla się na stronę Joego Bidena, ale Donald Trump nie chce się pogodzić z porażką i grozi pozwami. Batalia może potrwać.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Nagrody Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, Polskie Noble 2020, otrzymali: **prof. Romuald Schild** (nauki humanistyczne) za odkrycia w Egipcie, Sudanie i Etiopii, **prof. Ewa Górecka** z UW (nauki chemiczne) za ciekłe kryształy, **prof. Jacek Radwan** z UAM (nauki o życiu i ziemi) za badania odporności na patogeny i **prof. Krzysztof M. Górski** z UW i NASA (nauki matematyczno-fizyczne) za mapę wszechświata na wczesnych etapach ewolucji.

W ramach wsparcia ochrony miejsc pracy Polska otrzymała z Unii Europejskiej 1 mld euro. Jest to pierwsza transza z zarezerwowanych dla naszego kraju 11,2 mld euro.

46,1% Polaków skorzystało z możliwości zdalnego kontaktu z lekarzem w czasie pandemii.

Joanna Ludwiczak i Bartosz Węglewski, radni z bloku Obywatele dla Gminy w Szamotułach, zgłosili **pilotażowy program leczenia niepłodności metodą in vitro** za kilkadziesiąt tysięcy złotych rocznie. Niestety, miejscowi proboszczowie próbują storpedować te działania.

Polska jest największym producentem jabłek w Unii Europejskiej (27%) i trzecim na świecie (5%).

Kard. Henryk Gulbinowicz decyzją Stolicy Apostolskiej dostał m.in. **zakaz używania insygniów biskupich, odprawiania nabożeństw** i **wystąpień publicznych. Nie ma też prawa do pochówku w katedrze.** Najwyraźniej potwierdziły się zarzuty dotyczące nadużyć seksualnych i poręczenia za księdza pedofila oraz wcześniejszej współpracy z SB.

25% gospodarstw domowych (3,8 mln) nie ma dostępu do szybkiego internetu. Jak więc można pracować i uczyć się zdalnie?

Premier Mateusz Morawiecki o zamknięciu cmentarzy poinformował Polaków 30 października, w piątek, po południu. Dlaczego tak długo zwlekał? Trudno to opisać w przyzwoitych słowach.

Ks. Stanisław Bracha, proboszcz parafii w Ksawerowie koło Pabianic, **ogłosił, że miejscowy cmentarz został „parkiem cmentarnym", który można odwiedzać mimo zakazu** wprowadzonego przez rząd. Zobaczymy, czy zapłaci karę.

Paweł Rabiej, odwołany przez Rafała Trzaskowskiego wiceprezydent Warszawy, odpowiedzialny m.in. za służbę zdrowia, **wybrał się z partnerem do Grecji.** Na odpoczynek. **W szczycie pandemii.** Jeszcze jeden polityk kompromitujący środowiska LGBT bezmyślnością i dwiema lewymi rękami do pracy.

PRZEBŁYSKI

Kiedy trzecie wejście Dudy?

No i znowu o ukochanym prezydencie rolników (taki żarcik na początek). Duda tak szybko i gorliwie poparł werdykt Trybunału Przyłębskiej zaostrzający aborcję, że trzeba było trochę powęszyć. No i wyszedł Duda z worka. Na Nowogrodzkiej mówią, że osobiście nalegał, by odblokować leżący w zamrażarce Trybunału wniosek posłów. Bo obiecał to w kampanii. I w ogóle aborcje bardzo uwierają serduszka tej bogobojnej rodziny. Obiecał, że w zamian nie zawetuje piątki dla zwierząt. Taki chytrusek. To po pierwsze. A po drugie? Jak zobaczył protesty, to ze strachu zgłosił tak kuriozalny projekt, że ci od Rydzyka i Ordo Iuris uważają go za zdrajcę. Zostaje więc Dudzie trzecie rozwiązanie. Założyć koszulkę z błyskawicą i pomaszerować na Żoliborz. Klucze od Pałacu Prezydenckiego może zostawić w budce SOP.

Jeden nygus wystarczy

„My (!) stoimy na stanowisku, że funkcję wiceprezydenta (Warszawy) powinna obsadzić Nowoczesna". Trudno uwierzyć, że kieszonkowa partyjka stawia takie żądania. A jednak. Takie są oczekiwania Sławomira Potapowicza, szefa Nowoczesnej w stolicy. A co z oceną pracy Pawła Rabieja, desantu z tej partyjki? Człowieka bez kompetencji i bez chęci do roboty? Nasz przekaz do Potapowicza jest prosty: my (lud Warszawy) stoimy na stanowisku, że wiceprezydentem nie może być kolejny partyjny nygus. Pora na fachowca.

Kombatancik ci ja

Im dalej od minionego ustroju, tym więcej kombatantów. Trudno uwierzyć, ale aż 13 tys. osób ma status działacza opozycji antykomunistycznej bądź osoby represjonowanej. Większość powinna mieć jeszcze jeden tytuł – mistrza kamuflażu. Bo byli tak dobrze zakonspirowani, że nawet rodzina nie domyślała się, że walczą z komuną. A swoją drogą dlaczego tylko 13 tys. ma specjalne świadczenia emerytalne i ulgi, choćby na przejazdy autobusami i koleją? Przecież w opozycji były miliony. Dajcie im po samochodzie elektrycznym, tym od Morawieckiego, i 5 tys. zł emerytury, to papiery kombatanckie się znajdą. Polak potrafi.

Umykajcie chyżo

Dla tych, których razi najpopularniejsze słowo przekazywane władzy, demonstranci przygotowali wersję *light*: „Umykajcie chyżo", „Czem prędzej się wybierajcie", „Uprzejmie prosimy uciekać prędziutko". Poza tym: „Wyp… proszę, dziękuję", „Wybaczcie utrudnienia, mamy rząd do obalenia", „Wydupcać", „Nawet weganie rzucają w was mięsem". Wśród haseł anatomicznych zauważyliśmy: „Moja cipka, moja sprawa", „Rząd taki gibki wchodzi mi do cipki", „Twój kot, nasze bobry", „Kinga, doradź tacie, żeby nam nie zaglądał w gacie". I o Dudzie: „Myśli, że in vitro to pizzeria". Haseł o Kaczyńskim w bród: „Cała Warszawa j… Jarosława", „W 1962 r. ukradłeś księżyc, masz gdzie wyp…". Cdn.

FOT. TWITTER (2), YOUTUBE

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Co to znaczy postawa obywatelska w czasie pandemii?

MONIKA HELAK,
analityczka, Polityka Insight

Odpowiedź na to pytanie ma swój lokalny kontekst. Gdybyśmy żyli w państwie, które działa sprawnie oraz dba o zdrowie i bezpieczeństwo mieszkańców, powiedziałabym, że obywatele i obywatelki powinni po prostu przestrzegać prawa i dbać o siebie. Mamy jednak do czynienia z kryzysem o bezprecedensowej skali: masowo tracimy pracę, choć jeszcze przed chwilą była mowa o rynku pracownika, umieramy w kolejkach po świadczenia zdrowotne, choć sytuacja miała się jeszcze polepszać, nakłada się na nas coraz okrutniejsze restrykcje, choć wola społeczeństwa jest inna. W takich okolicznościach ważna jest wzmożona aktywność polityczna: formułowanie twardych roszczeń wobec władzy, branie udziału w protestach i samoorganizacja pracownicza. Obywatelstwo to wzięcie za siebie samych politycznej odpowiedzialności, zwłaszcza w warunkach pandemii, wobec której rządzący właściwie poddali się na starcie.

DR JACEK KUCHARCZYK,
socjolog, Instytut Spraw Publicznych

Uważam, że bycie dobrym obywatelem w czasie pandemii nie jest fundamentalnie różne od bycia dobrym obywatelem w ogóle. Wymaga przestrzegania wspólnych reguł, a jednocześnie czujności i gotowości do zaangażowania się czy wręcz obywatelskiego nieposłuszeństwa, gdy działania władzy stają się sprzeczne z dobrem wspólnym, zasadami demokracji lub prawami człowieka. Pandemia tego nie zmienia, sprawia natomiast, że być dobrym obywatelem jest jeszcze trudniej. Z jednej strony, występuje bowiem chęć podporządkowania się władzy, która rozmaite restrykcje uzasadnia wyższymi celami, z drugiej – bardzo łatwo pomylić obywatelskie nieposłuszeństwo z warcholstwem, którego przykładem są antymaseczkowcy. Obecna sytuacja wymaga jeszcze głębszego namysłu nad tym, co robimy, i poszukiwania równowagi między przestrzeganiem ogólnych reguł dla wspólnego dobra a sprzeciwem wobec antydemokratycznych działań władzy, która często wykorzystuje kryzysy do celów autorytarnych lub korupcyjnych. W takich przypadkach powinniśmy być jeszcze aktywniejsi i odważniejsi.

PROF. EWA LEŚ,
badaczka społeczeństwa obywatelskiego, UW

Każdy z nas powinien po prostu w miarę możliwości angażować się na rzecz osób spoza własnej rodziny, które potrzebują wsparcia. Szczególnie uczniowie i studenci, oczywiście z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, mogą pomagać np. sąsiadom, zwłaszcza starszym, choćby w zakupach czy wizycie u lekarza, a studenci mogliby też oferować uczniom zdalnie zajęcia edukacyjne i rekreacyjne. Nasze społeczeństwo nieraz udowodniło, że w trudnych czasach potrafi być wspólnotą, czego przykładem jest m.in. dostarczanie przez restauratorów, harcerzy, kibiców, osoby świeckie i duchowne darmowych posiłków dla kombatantów i osób samotnych. Wszyscy powinniśmy interesować się tym, czego potrzebują ludzie wokół nas, tym bardziej obecnie, kiedy nasila się pandemia. Pomocą będzie np. telefon do osoby, której dokucza samotność związana z kwarantanną. Możliwości, by być obywatelem, jest dziś bardzo dużo – ważne, abyśmy skorzystali z tej szansy i budowali prawdziwą wspólnotę, niezależnie od bieżących podziałów.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 7f3ef78ddd

ABORCYJNY KOMPROMIS – największe łgarstwo III RP

Dlaczego Polacy kupują mit o aborcyjnym kompromisie, skoro wszyscy wiedzą, że w kraju i za granicą wykonywanych jest wiele tysięcy zabiegów

Anna Brzeska

„Proszę mi wierzyć, niemal wszystkie pacjentki, które przychodzą do mnie i proszą o przerwanie ciąży, mówią, że gdyby jeszcze rok temu ktoś je zapytał, co sądzą o aborcji, odpowiedziałyby, że nigdy by się na to nie zdecydowały. Jednak te kobiety zostały postawione przez życie w ekstremalnej sytuacji. A wtedy człowiek inaczej widzi i inaczej postępuje, niż teoretyzując w wygodnym fotelu", mówił w 2014 r. prof. Romuald Dębski, ginekolog-położnik w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej". I dalej: „Żonie jednego znanego przeciwnika diagnostyki prenatalnej robiłem amniopunkcję w wielkiej tajemnicy, żonie obrońcy życia terminowałem ciążę z zespołem Downa. Pytałem: jak to jest, przecież jesteście przeciw? A oni mówili: słuchaj, to naprawdę »wyjątkowa sytuacja«".

Sprawa aborcji w Polsce jest modelowym przykładem politycznego łgarstwa i hipokryzji, od lat akceptowanych przez prawą i centralną część sceny politycznej. Prawo kobiet do decydowania o własnej płodności, problemy społeczne prowadzące do decyzji o przerwaniu ciąży, a także los kolejnych niechcianych dzieci – te kwestie przykryto białym obrusem ściągniętym wprost z ołtarza, by udawać, że w ogóle ich nie ma.

Kobiety w ofierze

Pomysł, by przehandlować prawa kobiet i humanistyczną wizję świeckiego państwa w zamian za poparcie Kościoła katolickiego, towarzyszył budowaniu III RP od początku. Mimo że ówczesny prymas Polski kard. Józef Glemp był jednym z hamulcowych ruchu Solidarności, Kościołowi udało się przeforsować w świadomości społecznej mit o jego ogromnej roli w „obalaniu komuny". Kler jako obowiązującą ustanowił narrację, w której jest niezbędnym sojusznikiem nowej władzy. Wszyscy politycy nowo wybranego Sejmu – od prawa do lewa – musieli się pogodzić z tym układem, choć niektóre jego postulaty nie miały nic wspólnego z rzeczywistymi nastrojami społecznymi. Zakaz przerywania ciąży miał być dowodem wierności, świadectwem zaakceptowania nadrzędnej roli kleru wobec świeckiej władzy. Mówił o tym choćby Mikołaj Kozakiewicz (wówczas poseł PSL, profesor socjologii i popularyzator antykoncepcji) podczas jednej z sejmowych dyskusji poprzedzających przegłosowanie ustawy antyaborcyjnej z 1993 r.: „Ale są również ludzie, którzy są przekonani, (...) że [w zaostrzeniu prawa aborcyjnego] chodzi o stworzenie precedensu prawnego, zanim nowa konstytucja określi stosunek państwa i Kościoła. Poprzez ten precedens prawo państwowe stałoby się podporządkowane moralnej nauce Kościoła. Gdyby taki precedens został zatwierdzony przez Sejm – powiadają – dalsze analogiczne prawa, tkwiące korzeniami w religii i w Kościele, miałyby znacznie ułatwiony poród". Prorocze to były słowa.

> Sprawa aborcji w Polsce jest modelowym przykładem politycznego łgarstwa i hipokryzji.

Temat tabu

Jak szacuje obecnie Federacja na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny, Polki dokonują rocznie co najmniej 80-150 tys. aborcji – w Polsce i za granicą. Z kolei organizacje *anti-choice* sugerują, że skala zjawiska jest znacznie mniejsza i sięga maksymalnie kilkunastu tysięcy rocznie. Najnowszy dostępny raport CBOS „Doświadczenia aborcyjne Polek" to dokument sprzed siedmiu lat – jednak pochodzące z niego dane każą sądzić, że bliższa prawdy jest Federacja. Według CBOS ciążę przerwała z dużym prawdopodobieństwem nie mniej niż co czwarta Polka – i nie więcej niż co trzecia. Potwierdzają to głosy osób mających bezpośredni kontakt z kobietami zainteresowanymi zabiegiem: aborcje są w Polsce powszechne, lecz polityczny klimat wciąż nakazuje utrzymywać temat w sferze tabu.

Przyznać jednak trzeba, że spore znaczenie w sondażu CBOS miał wiek ankietowanych. Najczęściej doświadczenie aborcji miały za sobą kobiety w grupie 55-64 lata, których „szczyt reprodukcyjny" przypadał na lata 70. i 80., gdy aborcja była legalna i powszechna – wedle szacunków demografów (publikacje Marka Okólskiego i Zbigniewa Smolińskiego) badających rzeczywistą liczbę aborcji w latach 70. mogła ona wówczas wynosić nawet 450 tys. rocznie. Dlatego w badaniu CBOS odsetek osób z doświadczeniem aborcyjnym wynosił w tej grupie wiekowej aż 42%.

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Prof. Wiesław Chrzanowski był jednym z orędowników ustawy zakazującej aborcji, prof. Mikołaj Kozakiewicz – jej przeciwnikiem.

W grupie 35-44 lata było to już tylko 33%. W najmłodszej grupie, 18-24 lata – a więc osób, które weszły w dorosłość długo po zaostrzeniu prawa aborcyjnego – doświadczenie aborcji miało za sobą 10% kobiet.

Wyników tych nie można jednak bezpośrednio wiązać z wprowadzeniem zakazu aborcji w 1993 r. Po pierwsze, dlatego że spadek odsetka kobiet, które przerwały ciążę, w młodszych grupach wiekowych mógł być skutkiem upowszechnienia się skuteczniejszych metod antykoncepcji wraz z otwarciem rynków po transformacji. Jeśli chodzi o środki hormonalne dla kobiet, w PRL główną przeszkodą w ich zdobyciu było to, że produkcja krajowa pozostawała na bardzo niskim poziomie, import zaś nie był możliwy w szerszym zakresie.

Po drugie, statystycznie rzecz biorąc, z wiekiem wzrasta prawdopodobieństwo niechcianej ciąży, a tym samym doświadczenia aborcji. Mówiąc prościej, młode kobiety mogły jeszcze „nie zdążyć" znaleźć się w takiej sytuacji, więc odsetek osób po aborcji w starszych grupach wiekowych zwykle jest wyższy.

Faktem jest jednak, że trudno dziś określić dokładną liczbę wykonywanych rocznie aborcji – od czasu gdy została zalegalizowana w 1956 r. Wówczas zezwolono na aborcję z powodu trudnej sytuacji życiowej kobiety, lecz w praktyce lekarze często odwodzili ciężarne od tego zamiaru lub odmawiali zabiegu, powołując się na niespełnienie przez nie ustawowych warunków. Za odmową wystawienia zaświadczenia potrzebnego do refundacji aborcji najczęściej szła propozycja prywatnej wizyty i zabiegu za pieniądze. Ponieważ władzy trudno było dłużej ignorować społeczne doniesienia, że ustawa z 1956 r. nie wyeliminowała problemu, jakim była przede wszystkim skala nielegalnych, przeprowadzanych często przez osoby niewykwalifikowane aborcji, skutkujących powikłaniami – zdecydowano się na kolejną zmianę.

Tak, w poststalinowskiej Polsce Ludowej władze uwzględniły dobro kobiet, ich rzeczywistą sytuację oraz zdolność do samodzielnego podejmowania decyzji o tym, czy są zdolne urodzić dziecko, czy nie. Poprawka z 1959 r. zniosła konieczność uzyskania lekarskiego zaświadczenia o trudnej sytuacji życiowej – wystarczyło ustne oświadczenie ciężarnej, co w dużym stopniu uniezależniło dostęp do aborcji od statusu materialnego czy lekarskiego widzimisię.

Powszechność aborcji korelowała z poparciem społecznym dla ówczesnego liberalnego prawa aborcyjnego – w grudniu 1977 r. Polskiemu Komitetowi Obrony Życia, Rodziny i Narodu udało się zebrać jedynie ok. 12 tys. podpisów pod wnioskiem do Sejmu PRL o zniesienie ustawy. Przedsięwzięcie to nie miało żadnych szans powodzenia, nawet inicjatorzy akcji zbierania podpisów przyznali, że miała ona na celu głównie zwrócenie uwagi opinii publicznej, której kwestie aborcyjne po prostu nie zajmowały. Do czasu transformacji.

Ustawa ZChN

Dla Kościoła nigdy nie były istotne dramaty setek tysięcy Polek, chodziło o to, by przetestować wierność sojuszników politycznych. Jeszcze przed ostatecznym głosowaniem nad ustawą antyaborcyjną, w 1992 r., kard. Glemp podczas świątecznego kazania porównał kobiety skłonne dokonać aborcji do „pijaków i narkomanów", którzy również nie chcą, by ograniczać ich wolności. Przekaz Kościoła dla polityków był jasny: kto nie z nami, ten przeciw nam. Prace nad ustawą „o ochronie prawnej dziecka poczętego" rozpoczęły się zresztą znacznie wcześniej, bo już w końcówce lat 80. – brali w nich udział eksperci z Komisji Episkopatu Polski ds. Rodziny.

Sformułowanie „aborcyjny kompromis" brzmiało znacznie lepiej niż bardziej prawdziwe „w tej sprawie nie mamy nic do gadania".

Od początku narzucono więc pochodzący z nauki Kościoła, niezgodny z polskim porządkiem prawnym język ustawy, zawierający określenie „dziecko poczęte" – termin nieprzystający do współczesnej wiedzy medycznej. W naukach przyrodniczych nie mówi się bowiem o poczęciu, lecz o zapłodnieniu, a następnie zygocie, zarodku i płodzie. Proces rozwoju życia ludzkiego jest ciągły, nie da się arbitralnie stwierdzić, kiedy miałoby nastąpić owo poczęcie. Co więcej, natura eliminuje znaczną część rozwijających się zarodków jeszcze przed ich zagnieżdżeniem się w jamie macicy. Czy i te podzielone

eprasa.pl 7f3ef78ddd

komórki należałoby nazywać dziećmi, mimo że duża ich część wypływa wraz z krwią menstruacyjną, bez świadomości „matki"? Nauka nie dostarcza tu jasnych wytycznych. Projekt ustawy procedowany w polskim Sejmie, teoretycznie świeckim, po dziś dzień zawiera więc pojęcie, którego nie da się w ogóle zdefiniować. Prawnicy określają takie dokumenty jako buble.

Polki nie są skłonne przyznawać się do aborcji nawet przyjaciółkom.

Mimo wszystko nad owym bublem dyskutowano w Sejmie godzinami. O to, by żądania kleru zostały spełnione, zadbał ówczesny marszałek Sejmu, szef Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, Wiesław Chrzanowski, którego partia jednomyślnie poparła delegalizację aborcji.

Gdy w Sejmie debatowano, pod jego siedzibą ludzie zaczęli protestować przeciw zaostrzeniu prawa. Pod wnioskiem o referendum w sprawie aborcji podpisało się aż 1,7 mln osób – w czasach przed rozwojem internetu, gdy skrzykiwanie się komitetów zbierających podpisy nie było tak proste jak dziś, to wręcz gigantyczna liczba. Niestety, wobec braku ustawy o inicjatywie obywatelskiej (ta zaczęła obowiązywać dopiero w 1997 r.) głosy obywateli zostały zwyczajnie wyrzucone.

Pomysł, by z przerywaniem ciąży wrócić do podziemia i dać Kościołowi upragnioną fikcję, będącą świadectwem jego znaczenia, zyskał poparcie nie tylko chadeków, ale również większości polityków Unii Demokratycznej, Polskiego Stronnictwa Ludowego czy Kongresu Liberalno-Demokratycznego.

Ustawa o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerwania ciąży w praktyce zakazała aborcji, z wyłączeniem trzech sytuacji: gdy ciąża stanowi zagrożenie dla życia lub poważne zagrożenie dla zdrowia matki, w przypadku poważnego podejrzenia, że ciąża jest wynikiem czynu zabronionego, oraz w przypadku ciężkiego i nieodwracalnego uszkodzenia płodu (tzw. przesłanka embriopatologiczna). Mimo niemal jednomyślnego sprzeciwu partii lewicowych (SLD, UP) ustawa została przegłosowana 42 głosami.

Co ciekawe, przeciwko ustawie głosowało wielu polityków centrowych z UD, PSL czy KLD (m.in. Marek Balicki, Jacek Kuroń, Bronisław Geremek, Janusz Onyszkiewicz, Donald Tusk czy Waldemar Pawlak). Niestety, ani oni sami, ani ich polityczni następcy nie zdołali później, nawet będąc przy władzy, wyzwolić się spod dojmującego wpływu Kościoła, by choć odrobinę zliberalizować prawo.

Ich tarczą przed opinią publiczną na zawsze pozostało magiczne sformułowanie „aborcyjny kompromis". Brzmiało ono znacznie lepiej niż bardziej prawdziwe „w tej sprawie nie mamy nic do gadania".

Tymczasem prawo ustanowione w 1993 r. nie było żadnym kompromisem – ten z definicji powinien być rozwiązaniem choćby w przybliżeniu pośrednim – lecz faktyczną delegalizacją aborcji w Polsce. Jak bowiem pokazują dzisiejsze statystyki, odsetek zabiegów dozwolonych jest co najmniej stukrotnie niższy niż faktyczna liczba aborcji dokonywanych rocznie przez Polki. Ostatecznie ustawę podpisał 15 lutego 1993 r. prezydent Lech Wałęsa.

Krótka odwilż

Dyskusja o aborcji, wobec znów podnoszonego problemu podziemia aborcyjnego, nie schodziła jednak z sejmowych korytarzy. Posłowie, dla których zakończenie kolejnego w dziejach RP „piekła kobiet" było ważniejsze niż wygodny układ z Kościołem, podejmowali próby składania w Sejmie projektów przywracających do ustawy przesłankę społeczną. Zrobiła to posłanka SLD Izabella Sierakowska, a później jeszcze poseł Unii Demokratycznej Andrzej Wielowieyski. Niestety, żadne z tych działań nie miało wówczas szans powodzenia.

Jednak w 1996 r. rządy sprawowała już koalicja SLD-PSL – tym razem udało się więc dodać do ustawy antyaborcyjnej kluczowy wyjątek „ciężkich warunków życiowych". Tyle że ustawa z dodatkową przesłanką społeczną przetrwała niecały rok – w maju 1997 r. Trybunał Konstytucyjny,

Po aborcję za granicę

Aborcja za granicą jest legalna – polskie prawo nie pozwala na karanie kobiet, które miały zabieg w innym kraju.

Słowacja – koszt aborcji to ok. 2 tys. zł (plus koszty dojazdu, zależne od miejsca). Ciążę można przerwać „na żądanie" do 12. tygodnia. Zaletą aborcji w tym kraju jest brak wymogów co do spotkań konsultacyjnych przed zabiegiem – wszystko załatwić można w ciągu jednego dnia, podczas jednej wizyty.

Czechy – koszt aborcji to ok. 1,9 tys. zł (plus dojazd). Przepisy są w zasadzie takie same jak na Słowacji. Do niedawna w tym kraju ciążę mogły terminować jedynie osoby mające jego obywatelstwo, ale w związku z coraz bardziej restrykcyjnym prawem aborcyjnym w Polsce czeskie władze zezwalają obecnie na zabiegi dla przyjezdnych z naszego kraju.

Zarówno kliniki słowackie, jak i czeskie często oferują kontakt z personelem mówiącym po polsku.

Niemcy – koszt ok. 600 euro (ok. 2,7 tys. zł). Ciążę można przerwać do 12. tygodnia, jednak wymagana jest tu wizyta konsultacyjna u niemieckiego psychologa. Między konsultacją a zabiegiem muszą minąć co najmniej trzy dni. Polki chętnie wybierają Niemcy ze względu na bardzo wysoki poziom opieki medycznej.

Holandia – koszt to nawet ok. 900 euro, wszystko zależy od rodzaju zabiegu i zaawansowania ciąży. Aborcja jest legalna aż do 23. tygodnia, ale w tak późnych zabiegach specjalizują się jedynie dwie kliniki (w Heemstede i w Utrechcie – po więcej informacji można udać się na stronę Aborcyjnego Dream Teamu). Zabieg jest dostępny na życzenie, ale przepisy nakazują odczekać z nim pięć dni od momentu potwierdzenia ciąży – nie jest przy tym wymagana konsultacja u holenderskiego lekarza czy psychologa, wystarczy zaświadczenie o badaniu USG potwierdzającym ciążę od polskiego lekarza.

Polki jeżdżą też do Wielkiej Brytanii, na Ukrainę, do Szwecji, a nawet... do Tunezji (ten arabski kraj ma bardziej liberalne prawo niż Polska – zezwala na aborcję z wyboru do 12. tygodnia).

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Protesty przeciw wyrokowi Trybunału Przyłębskiej wybuchły w całym kraju. Warszawa, 26 października 2020 r.

któremu szefował znany z konserwatywnych poglądów prof. Andrzej Zoll, orzekł, że aborcja ze względów społecznych jest „niekonstytucyjna". Mimo że w potransformacyjnych czasach tysiące rodzin żyło poniżej progu ubóstwa – bezrobocie oscylowało wtedy w okolicach 13% – powiernicy „moralnego depozytu" po raz kolejny zignorowali los kobiet, szczególnie krzywdząc te, których nie było stać na wizytę u „wywołującego miesiączkę" pana doktora.

dyplomatycznie zamrożony w sejmowych komisjach.

Niestety, tegoroczne polityczne osłabienie Zjednoczonej Prawicy spowodowane wcześniejszymi wewnątrzkoalicyjnymi wojnami wymagało najwyraźniej nowych ofiar. 22 października 2020 r. Trybunał Konstytucyjny z politycznego nadania, którego prezeską jest dobra znajoma Jarosława Kaczyńskiego, Julia Przyłębska, zniósł przesłankę embriopatologiczną, każąc polskim kobietom

Prawo aborcyjne ustanowione w 1993 r. nie było żadnym kompromisem, lecz faktyczną delegalizacją aborcji w Polsce.

Od tamtej pory podjęto jeszcze kilka prób zmiany prawa aborcyjnego. Jedną z głośniejszych był projekt obywatelski „Stop aborcji" przygotowany w 2016 r. przez organizację Ordo Iuris. Jego głównym postulatem była możliwość karania za aborcję również kobiet – pod tym barbarzyńskim pomysłem podpisało się 400 tys. osób. Projekt wzbudził ogromny opór społeczny, Czarne Protesty organizowane przez aktywistki Strajku Kobiet odbyły się w niemal 150 miastach. Ostatecznie projekt został odrzucony przez Sejm – kolejny zaś, „Zatrzymaj aborcję" Kai Godek, przeszedł wprawdzie pierwsze czytanie, lecz został

rodzić nawet płody zdeformowane, skazane na śmierć na skutek wad letalnych. Aborcyjna schizofrenia – teraz jeszcze pogłębiona – trwa więc w najlepsze.

Nie penalizacja, lecz edukacja

O tym, jak nieskuteczną metodą jest penalizacja, świadczą też dane z zagranicy. Stosunkowo niewielkim (choć nie radykalnie mniejszym) odsetkiem aborcji mogą się pochwalić te kraje europejskie, gdzie edukacja seksualna stoi na wysokim lub choćby wystarczającym poziomie (i nie zrujnowały jej jak w Zjednoczonym Królestwie kiepskie pomysły na politykę socjalną). Przykładem jest Norwegia – tu odsetek aborcji wynosił w 2017 r. 10,6 (na 1 tys. kobiet w wieku 15-44 lata), Holandia – 8,6, Hiszpania – 10,5 (w 2014 r.), Niemcy – ok. 9, Francja – 15,3, Słowacja – 13,9. Dla porównania w Rumunii i Bułgarii, gdzie edukacja seksualna oceniana jest jako niewystarczająca, odsetek aborcji wynosił w 2013 r. (to najnowsze dane) 20,4. Z kolei na Węgrzech wynosił on wtedy 17,4. Ogólnie rzecz biorąc, nie są to wielkie różnice. Tak po prostu jest – zawsze pewna liczba kobiet w wieku reprodukcyjnym zdecyduje się na aborcję i wydaje się, że w większym stopniu zależy to od poziomu życia czy opieki okołoporodowej niż od prawa aborcyjnego.

Potwierdza to liczba kilkuset tysięcy nielegalnych – i przez to niebezpiecznych – aborcji w krajach Ameryki Południowej; przerywanie ciąży jest zabronione niemal na całym kontynencie. Organizacje feministyczne od lat alarmują o wysokim odsetku śmierci spowodowanych przez powikłania na skutek źle przeprowadzonych aborcji.

W Polsce wobec istnienia jedynie szacunkowych danych dotyczących aborcji rzeczywistego ich współczynnika zmierzyć się nie da – niemożliwa zatem jest ocena, jakie rozwiązania socjalne, edukacyjne czy prawne lepiej się sprawdzają w zapobieganiu aborcjom. Strategicznie rzecz biorąc, zatroskani o los „nienarodzonych dzieciątek" ustawodawcy sprzed 27 lat zabili możliwość prowadzenia w tej dziedzinie rzetelnych badań czy analiz. A nie da się zaradzić problemowi, nie znając jego skali – nie wiedząc nawet, czy narasta, czy wręcz przeciwnie.

Aborcyjne wycieczki to już standard

Jeśli chodzi o aborcje dokonane w Polsce – przypomnijmy, że w naszym kraju za wykonanie zabiegu grozi lekarzowi kara nawet dwóch lat więzienia – niemożliwe jest oszacowanie ich liczby. Koszt to od 2,5 do 4 tys. zł (zależnie od lokalizacji). Warto jednak pamiętać, że gdyby wykonujący aborcję ginekolog został przyłapany na procederze, pacjentki mogłyby zostać wezwane jako świadkowie w sprawie

eprasa.pl 7f3ef78ddd

i niejako zmuszone do tłumaczenia się z własnej aborcji przed organami ścigania. Dlatego dziś, gdy przekroczenie większości europejskich granic nie nastręcza trudności, znacząco wzrosło zainteresowanie bezpieczną i legalną aborcją poza terytorium kraju. Nie bez znaczenia jest też komfort. Polki dokonujące aborcji za granicą podkreślają, że były tam traktowane przez personel medyczny w sposób podmiotowy, jako osoby mające prawo podjąć decyzję, czy chcą urodzić dziecko, czy nie. Standardem za granicą jest szacunek dla pacjentki i brak umoralniających sugestii czy komentarzy.

Aborcja w krajach UE jest zwykle bezpłatna, w ramach ubezpieczenia medycznego – jednak osoby z innych krajów, a więc również z Polski, muszą za nią zapłacić. Pieniądze wydają się obecnie największą przeszkodą w przerywaniu ciąży – wykluczają możliwość dokonania aborcji przez osoby często najbardziej jej potrzebujące, te w trudnej sytuacji materialnej. Warto dodać, że warunkowany statusem materialnym dostęp do usług medycznych jest charakterystyczny dla krajów z gospodarką silnie liberalną. Zakaz aborcji poniekąd włącza Polskę do tego niechlubnego grona.

Aktywistki z Aborcyjnego Dream Teamu przyznają, że większość dzwoniących pod ich numer szuka informacji na temat możliwości przerwania ciąży za pomocą tabletek, które zamawia się w internecie (pomagają w tym zagraniczne organizacje Women on Web lub Women Help Women). To tańsza forma aborcji – sugerowana darowizna na rzecz organizacji pozarządowej to ok. 90 euro. Istniejąca od grudnia 2019 r. inicjatywa „Aborcja bez granic" oferuje z kolei pomoc finansową dla Polek, których nie stać na aborcję. Jest to możliwe dzięki wsparciu zagranicznej organizacji Abortion Support Network.

Sondaże sobie, życie sobie

Ktoś powie, że zbadaniu, na ile „prawo okazuje się wychowawcze", służą jeszcze sondaże. Jednak, choć „oficjalne nakazy i zakazy mogą rzutować na to, co sami uważamy za moralne, dopuszczalne, przyzwoite – jak zauważyli autorzy wspomnianego już badania CBOS dotyczącego aborcyjnych doświadczeń Polek – niewykluczone, że kontekst prawny często nie tyle kreuje poglądy, ile prowokuje do uległości, wymuszając deklaracje społecznie poprawne". Co więcej, przegląd wyników ankiet z ostatnich lat pokazuje, że wiele zależy od tego, kto wykonuje, a jeszcze bardziej kto zleca badania i jak formułuje się pytania.

Spójrzmy: 2016 r., badanie IPSOS dla OKO.press – 47% respondentów opowiedziało się za pozostaniem przy obecnie obowiązujących regulacjach, 37% stwierdziło, że ustawa aborcyjna powinna dopuszczać przerywanie ciąży ze względu na trudną sytuację kobiety, a 11% było za zaostrzeniem ustawy.

> Wyniki sondaży z ostatnich lat pokazują, że wiele zależy od tego, kto wykonuje, a jeszcze bardziej kto zleca badania i jak formułuje się pytania.

2019 r., Kantar na zlecenie „Gazety Wyborczej" – aborcję z wyboru (do 12. tygodnia ciąży) popiera aż 58% Polaków, a sprzeciwiało się jej 35%.

Również w 2019 r., w badaniu zleconym przez „Rzeczpospolitą", a wykonanym przez IBRiS, 49,9% respondentów opowiedziało się za utrzymaniem tzw. kompromisu aborcyjnego, 28,7% było za ułatwieniem dostępu do aborcji.

Natomiast zaledwie sześć lat wcześniej, bo w 2013 r., z sondażu CBOS wynikało, że „75% Polaków uważa, że aborcja jest zawsze zła i nigdy nie może być usprawiedliwiona".

Przykłady te uwidaczniają słabą skuteczność mierzenia aborcyjnych nastrojów sondażami. Rozmijanie się wyników sondaży i wygłaszanych publicznie opinii potwierdzają wypowiedzi osób, które zetknęły się z doświadczeniem aborcji zawodowo lub prywatnie. Z obserwacji Justyny Wydrzyńskiej z Aborcyjnego Dream Teamu wynika, że Polki nie są skłonne przyznawać się do aborcji nawet przyjaciółkom – dlatego wiele osób może mieć wrażenie, że zabieg ten jest wśród polskich kobiet rzadkością. Podobne wnioski ma Paulina, jedna z dziewczyn, które opowiedziały mi o swojej aborcji za granicą: – Języki rozwiązują się koleżankom zwykle dopiero po moim aborcyjnym coming oucie. Wtedy, często też pod wpływem alkoholowego rozluźnienia, przyznają się, że również przerwały ciążę.

Podsumowując, pytanie o aborcyjne opinie ogółu społeczeństwa wydaje się raczej bezzasadne. Zdanie o aborcji bezdzietnego starszego pana – jak dziś mówi młodzież, dziadersa – niemającego wielkiego wyobrażenia o problemach trapiących wielodzietną matkę czy 20-letnią studentkę, może pozostać niezmiennie negatywne przez całe jego życie. Co więcej, badania CBOS wykazały, że „co najmniej jednokrotne przerwanie ciąży częściej deklarują kobiety gorzej wykształcone, niezadowolone ze swojej sytuacji materialnej, mające prawicowe poglądy i praktykujące religijnie". Mogą wśród nich być osoby, które zmieniły przekonania wraz z rosnącą z wiekiem religijnością – czy jednak przełożyłaby się ona na ich wybory, gdyby znów mogły zajść w ciążę? Postulowana negatywna opinia większości społeczeństwa o liberalizacji aborcji nie musi więc w żaden sposób przekładać się na wybory życiowe grupy niestanowiącej nawet jego połowy.

Niestety, brakuje badań, które przedstawiałyby opinie danej grupy wiekowej. Ciekawe, jak wypadłyby one wśród starszej młodzieży szkolnej i studentów na jesieni 2020 r. Młodzi ludzie, wychowani w czasach swobodnych podróży do cywilizowanej części Europy, mający nieskrępowany dostęp do internetu, doskonale wiedzą, jak przestrzegane są prawa kobiet na Zachodzie, i nie dadzą sobie tak łatwo wciskać kitu. O ile starsze pokolenia, karmione przez lata mitem o monopolu Kościoła na moralność, w większości łykały bajeczkę o „kompromisie", o tyle w przypadku młodszych zabieg „więcej papieża w podręcznikach" może już wywołać głównie gniew, a w najlepszym razie pełne politowania uśmieszki. Drżyjcie, dziadersi.

Anna Brzeska
a.brzeska@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7f3ef78ddd

PREMIERA
KSIĄŻKI PRZEGLĄDU

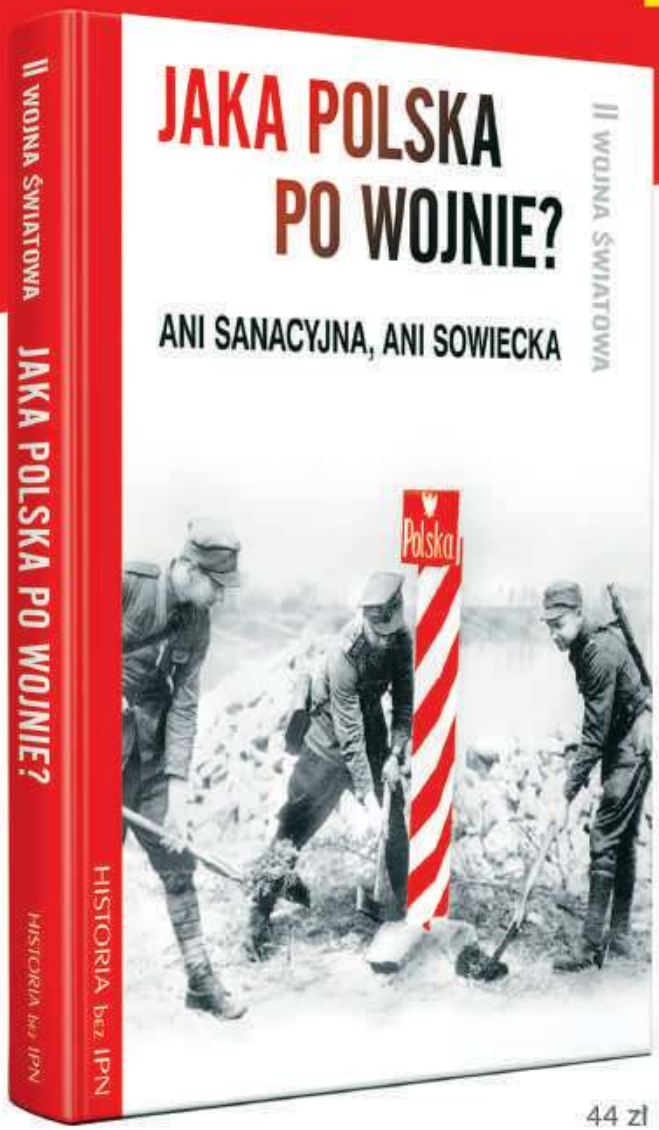

44 zł

OBIETNICE PARTII I ŚRODOWISK POLITYCZNYCH W OKUPOWANYM KRAJU I LONDYNIE

Kto ma rządzić? Jakie będą granice? Co z reformą rolną? Co z nacjonalizacją przemysłu? Polska bez mniejszości?

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty 44 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską.
Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł,
paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

Przegląd

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Ludzie wyszli na ulice. I co dalej?

Niechęć do PiS staje się w masowej skali elementem tożsamości jednostek

Rozmawia Robert Walenciak

PROF. JACEK RACIBORSKI
– pracuje na Wydziale Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, autor kilkunastu monografii i ponad stu artykułów naukowych, redaktor naczelny półrocznika „Studia Socjologiczno-Polityczne".

Spodziewał się pan, że po orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji takie tłumy wyjdą na ulice?

– W myśleniu politycznym wyróżnia się kwestie proste i złożone. Kwestia aborcji należy do tych prostych – chociaż brzmi to bluźnierczo. Chodzi jednak o to, że ona jest obudowana gotowymi schematami poznawczymi, wręcz ideologiami, wywołuje silne emocje, łączy się z codziennością, jest łatwo wyobrażalna. A dodatkowo po stronie zwolenników liberalizacji pojawił się typ argumentu, który do tej pory był wykorzystywany przez przeciwników aborcji.

Zdjęcia zdeformowanych płodów, urodzonych, by umarły.

– Te płody, to cierpienie... Do tej pory argumenty o cierpieniu, rozrywane płody szokowały w drugą stronę. Ale myślę też, że wyrok Trybunału uświadomił młodemu pokoleniu bardziej ogólne niebezpieczeństwo – w którą stronę to zmierza. Uświadomił zagrożenie agresywnym fundamentalizmem narodowo-katolickim. I zarazem niezwyczajność Polski, jej odmienność na tle Europy Zachodniej. Wydaje mi się, że orzeczenie Trybunału było tylko zapalnikiem. Pokłady buntu nagromadziły się już wcześniej i nawet były jego pierwsze przejawy.

> Wyrok Trybunału uświadomił młodemu pokoleniu zagrożenie agresywnym fundamentalizmem narodowo-katolickim.

Ten bunt narastał

Po czym to poznać?

– Te osiem gwiazdek (zamiennik hasła „j... PiS" – przyp. red.) stało się popularne już przed wyborami prezydenckimi. No i bezprecedensowo wysoka frekwencja wyborców w wieku 18-29 lat w tych wyborach. A w wyborach parlamentarnych już było widać kryzys poparcia dla PiS w młodym pokoleniu.

25% – to nie tak źle.

– Jeżeli patrzy się z perspektywy małej partii, mającej 10%, to tak. Bo wciąż co czwarty młody Polak popierał wówczas PiS. Ale w pokoleniach starszych to poparcie przekroczyło 50%! Młode pokolenie odróżnia się jak nigdy w III RP. Pokazują to chociażby dane z sondażu *exit poll* firmy IPSOS. Jego preferencje wyborcze są inne niż pokolenia ojców i dziadków. I to nie tylko z powodu kwestii prawnej dopuszczalności aborcji – bo przecież w wyborach parlamentarnych ona prawie nie istniała, o tym nie mówiono.

W prezydenckich również.

– W wyborach prezydenckich PiS zdecydowało się z całkowitą premedytacją na wojnę kulturową, a ją wyznacza nie tylko tzw. ideologia LGBT. Cynizm tego projektu będzie opisywany w podręcznikach marketingu politycznego. No i wojna została podjęta. Pojawiły się tłumy przy urnach i pojawiły się tłumy na ulicach.

A z drugiej strony pojawił się bunt kobiet i młodego pokolenia?

– Konflikt kulturowy wykracza poza młode pokolenie i prawa kobiet. Zmęczenie partią Kaczyńskiego, anachronicznością tej formacji, jest powszechniejsze, a zostało wzmocnione prowokacjami PiS.

Kampanią przeciwko społeczności LGBT?

– Niektórzy uważają, że wyciągnięcie tych kwestii było ze strony PiS mistrzowskim ruchem. I rzeczywiście hasła o ideologii LGBT, o zagrożeniach dla tradycyjnej rodziny konsolidowały elektorat Dudy. Ale koszty są ogromne. Zwłaszcza wizerunkowe w Europie. Nastąpiła tam przecież dalsza degradacja pozycji Polski i to nie jest abstrakcja. Miliony Polaków mieszkają w Unii. Oni ten negatywny wizerunek Polski w świecie odbierają jako sytuację dla nich upokarzającą. Podobnie – młode pokolenie. Nie do przecenienia jest fakt mobilizacji wyborczej młodych. I być może nieskuteczność tej mobilizacji, bo wygrało PiS, skłoniła ich do wyjścia na ulice. Do odrzucenia konwencjonalnego uczestnictwa w polityce.

Do tego pojawiły się hasła – mało literackie, bardzo niekonwencjonalne.

– To także zrobiło z tych protestów coś atrakcyjnego. Ale nie jest

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 7f3ef78ddd

tak, że dominowała chęć zabawienia się, happening itd. Nie! To jest dalej polityczna kontestacja, która stała się atrakcyjna przez element ludycznej zabawy.

Czy te protesty nie pokazały, że można wyjść na ulicę i zawołać: „Jestem przeciwko PiS, wyp…!"? Do tej pory to prawica miała monopol na publiczne manifestowanie swoich poglądów.

– Do tej pory opozycja prezentowała postawę liberalną, która wiąże się z tolerancją dla różnic poglądów, nakazuje szanować Innego, przekonania religijne są uznawane niemal za sprawę intymną. Liberalne nastawienie łączy się też z pewną powściągliwością. A teraz – ulica z tym zerwała. Protesty to masa, tłum, jednostka ginie. Pojawiają się zachowania nie do pogodzenia z nastawieniem liberalnym – agresja werbalna, dezawuowanie oponentów wszelkimi środkami. No i emocje. Jaki to może przynieść efekt? Krytyka PiS, taka ostra, radykalna i wyrażana za pomocą wulgaryzmów, może stać się rytualnym zachowaniem. To wpływa na to, co nazywam klimatem politycznym. Ten klimat może spowodować, że obrzucanie PiS epitetami w pewnych środowiskach będzie kodem komunikacyjnym. Taka sytuacja jest dla PiS ambiwalentna, powszechna niechęć to wielki koszt, ale są i dobre strony. Wyostrzenie podziału na PiS i anty-PiS i wrogość między tymi obozami.

Logika podziału

Ten podział pisowcom się opłaca?

– Wyborczo na razie jest bardzo opłacalny, m.in. dlatego, że druga strona nie jest skłonna do skoordynowanego działania. Politycy po stronie opozycji nie mają wpływu na bieg wydarzeń. Owszem, mamy spadek poparcia dla PiS, ale czy to jest sukces PO albo SLD?

PiS spadło, ale im nie urosło.

– Partie opozycyjne nie do końca rozumieją, że nie są tak naprawdę samodzielnymi, autonomicznymi aktorami. One są definiowane przez zasadniczy podział społeczny – PiS kontra anty-PiS, a poparcie dla nich, sondażowe czy w rzeczywistych wyborach, ma dość negatywny charakter. Bo nieważna jest PO, nieważny SLD, nieważne PSL – liczy się, że w nich wszystkich, traktowanych łącznie, wyborcy widzą szansę na pokonanie PiS. Ta szansa spowodowała mobilizację w wyborach prezydenckich, wynik Trzaskowskiego o tym świadczy, te 10 mln głosów. I gdyby zamiast niego był Matczak, Hołownia, ktoś inny, ale wsparty przez wszystkie partie anty-PiS, miałby ten sam wynik. To widać po przepływach wyborców, tych, którzy przepłynęli w drugiej turze do Trzaskowskiego. Nawet od Hołowni było to ok. 80%. Zwróćmy uwagę na wierność elektoratu! Ci, którzy w roku 2015 głosowali na Komorowskiego, w 95% poparli w drugiej turze Trzaskowskiego. Wierność była tu większa niż w przypadku Dudy. Duda stracił, zwłaszcza w młodym pokoleniu. 25% jego młodych wyborców z 2015 r. poparło tym razem konkurenta. Wyborcy anty-PiS niosą tę swoją niechęć konsekwentnie przez wszystkie wybory.

I wciąż przegrywają.

– W wyborach większość głosów uzyskuje anty-PiS, więc po stronie opozycji jest niesłuszny lament, zła definicja sytuacji – że każde wybory to lanie. Wybory samorządowe: w wyborach do sejmików wojewódzkich anty-PiS miało większość (47% do 34%). Wybory prezydentów miast – to prawdziwa klęska PiS. Kandydaci PiS zdobyli fotele tylko w czterech miastach prezydenckich na 108 ogółem.

Ale ordynacja wyborcza, małe okręgi, system d'Hondta, pozwala PiS zyskiwać więcej mandatów.

– Tak, zwłaszcza w wyborach do sejmików wojewódzkich. Ale nawet w wyborach europejskich, których wynik zaszokował opozycję, PiS nie wygrało. Koalicja Europejska plus Wiosna i Razem, czyli całe anty-PiS, miały trochę lepszy wynik od rządzącej formacji.

A mimo to po tych wyborach opozycja pogrążyła się w wielomiesięcznym rozpatrywaniu swojej klęski.

– Właśnie ta niezdolność zdefiniowania sytuacji bardzo obciąża liderów opozycji. Nie rozumieją lub udają, że nie rozumieją, iż w warunkach dramatycznego podziału nie wyodrębniają się jako samodzielni aktorzy i nie mogą prowadzić swoich drobnych gier, tylko muszą się pojawiać jako jeden podmiot, wyrażający preferencje i emocje wyborców niechętnych rządom PiS. A oni sądzą, że ten podział jest inny. Że jest, powiedzmy, jakaś lewica w elektoracie, stabilna, wielka… No to zobaczyliśmy ją na przykładzie Biedronia. Okazało się, że wyborcy w masowej skali stosują jedno kryterium: kto jest realistyczną alternatywą dla rządów PiS. W wyborach prezydenckich wskazali Trzaskowskiego. Podobnie widzę sytuację w przypadku obecnych protestów.

Co realne, a co nie

Jak pan ją widzi?

– Nie jestem w tym oryginalny. Jest konieczna jakaś wielka koalicja, komitet porozumiewawczy, który dałby sygnał, że ten bunt może zostać przeniesiony, efektywnie, na płaszczyznę parlamentarną. Hasło typu: rząd ma się podać do dymisji, jest hasłem nierealistycznym. Poza tym nawet gdyby ten postulat został zrealizowany i za pomocą jakiejś doraźnej większości obalono by rząd Morawieckiego, to nie byłoby dobrze dla Polski. Ten rząd musi się zmierzyć z pandemią. Nie da się go zmienić w ciągu miesiąca, dwóch.

> Nie należy temu rządowi przeszkadzać w walce z epidemią. Choć zawalił strasznie. Czas rozliczeń będzie później.

Rewolucja, bunt wymagają wielkich haseł.

– W studiach nad rewolucjami stawia się często metaforyczne pytanie, czy burzę można kontrolować. Nie można! Prawdziwe bunty są niekontrolowalne. Ale jeżeli nie zostaną zinstytucjonalizowane – przechodzą bez konsekwencji. Lud się zbiera, a później rozchodzi. Sztuka więc polega na umiejętnej instytucjonalizacji protestów.

A jak pan by to instytucjonalizował?

– Gdyby szukać racjonalnych rozwiązań… Kwestia ustawy antyaborcyjnej powinna być przez dwa-trzy miesiące obrabiana parlamentarnie: Sejm, Senat, poprawki, eksperci, wysłuchania społeczne, zdjęcia zniekształconych płodów. A rząd musi się mierzyć z pandemią

eprasa.pl 7f3ef78ddd

i za to przede wszystkim być rozliczany. Sprawa liberalizacji ustawy antyaborcyjnej powinna być druga w kolejce. Myślę zresztą, że do dużej liberalizacji tej ustawy dojdzie dopiero za sprawą referendum, więc nie szybko. To problem, który wymaga długofalowego działania, ponawiania, stałej presji społecznej. Racjonalne działanie wymagałoby skanalizowania tego protestu przez opozycję i jednoczesnego utrwalenia ruchów typu Strajk Kobiet, aby groźba buntu stale istniała. I ograniczenia postulatów politycznych.

Takich jak zmiana rządu?

– Bo jak to zrobić? Owszem, niskie notowania PiS, jeśli się utrzymają, mogą być sygnałem do dezercji niektórych posłów z obozu rządowego. Ale tego procesu nie należy przyśpieszać, gdy nie ma gotowej alternatywy! A opozycja skądinąd wiele robi, aby takiej alternatywy nie wypracować. Mówiąc wprost, nie należy temu rządowi przeszkadzać w walce z epidemią. Choć zawalił strasznie. Czas rozliczeń będzie później. Ewentualnie, gdyby nieudolność rządu miała prowadzić do katastrofy jeszcze większej, niż obserwujemy, trzeba zgłaszać postulat rządu eksperckiego. Uzasadnienia dla tego kroku zawsze są takie same: idzie o ocalenie Rzeczypospolitej. Dlatego potrzebny jest rząd absolutnie ponadpartyjny, ekspercki, cieszący się jednak poparciem wszystkich głównych partii parlamentarnych, łącznie z PiS.

My, z anty-PiS

Z jednej strony, mówi pan, że opozycja, zwłaszcza jej liderzy, jest dramatycznie słaba, z drugiej – namawia ją pan do działań pasywnych.

– Bo żadna z tych partii nie ma szans stać się emblematem obecnych protestów. I dobrze! W społeczeństwie jest ogromna niechęć do partii. Opozycja jest popierana jako całość, jako anty-PiS. Ale każda z tych partii jest nielubiana. Jedyna dla nich szansa to spokojne zbudowanie takiej alternatywy, która będzie definiowana jako przykład zgodnego działania, kierowania się interesem Polski, a nie partyjnym. Paradoksalnie partie muszą działać tak, jakby pogodziły się z antypartyjnym resentymentem w społeczeństwie. I to PiS ma być oskarżane o partyjniactwo, o walkę o stołki! Był zresztą taki moment w przekazie opozycji – że jest epidemia, a oni walczą o stołki. Rekonstrukcja rządu nawet dla wyborców PiS była niezrozumiała.

A czy te protesty nie delegitymizują PiS? Przynajmniej w oczach tych, którzy w nich uczestniczą? Partia, która traci legitymację, jest tak obrażana i obśmiewana, ma małe szanse na odbudowanie się w tym środowisku.

– Widzę pewną analogię z sytuacją PZPR z drugiej połowy lat 80. Ale pamiętam o zasadniczej różnicy: PiS ma mandat pochodzący z wolnych wyborów. Analogia polega na skali niechęci, na intensywności tej niechęci, zwłaszcza wśród młodzieży. Odrzucenie PZPR w młodym pokoleniu było wówczas niemal całkowite. I PiS jest w takiej samej sytuacji.

Ale do Okrągłego Stołu nie zmierza.

– Chyba nie, PiS szybko się nie rozpadnie. A dlaczego? Bo będzie stosowało strategię polaryzacyjną i pielęgnowało elektorat rdzeniowy.

Czy ta młodzież, która doznała pokoleniowego doświadczenia, za trzy lata dalej będzie o tym pamiętała i pozostanie antypisowska?

– Tak, to może być ten czynnik, który przesądzi o klęsce PiS. Niechęć do PiS staje się w masowej skali elementem tożsamości jednostek i zarazem formuje się taka tożsamość zbiorowa. To ważniejsze niż identyfikacje typu PO, SLD itd. Oczywiście można mówić, że to bardzo negatywna tożsamość. Otóż nie. W tej tożsamości jest uznanie dla demokracji, dla pewnych nowoczesnych standardów praw człowieka itp. Obecne protesty mogą zostać wpisane w ten zasadniczy podział. I wtedy jest szansa, że nie będą jałowe.

Przyznam, niepokoją mnie wysokie oczekiwania co do tych protestów i ich skutków, brak zrozumienia dla ograniczeń wynikających z sytuacji gospodarczej i epidemicznej, również wśród lewicowo nastawionych komentatorów. Rządy nie upadają tak od razu, bo ludzie wyszli na ulice. Końcowy sukces to efekt cząstkowych zwycięstw. Partie opozycyjne powinny stale pamiętać, że trzeba formułować alternatywę dla wyborców. Programową, kadrową, tak by ludzie wiedzieli, że jest sens wymieniać rząd. Że ci nowi będą wiedzieć, co z władzą zrobić.

W społeczeństwie jest ogromna niechęć do partii. Opozycja jest popierana jako całość, jako anty-PiS. Ale każda z tych partii jest nielubiana.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Płać mniej! Jeden egzemplarz w prenumeracie ~~7,50 zł~~ **5,69 zł**

Przedłuż pocztową prenumeratę PRZEGLĄDU

Zamówienia można składać do 25 listopada 2020 r.
Realizacja od stycznia 2021 r. po dokonaniu przedpłaty
74 zł – I kwartał 148 zł – I półrocze 296 zł – cały rok

• we wszystkich placówkach pocztowych na terenie kraju lub u listonoszy
• drogą elektroniczną pod adresem: prenumerata.poczta-polska.pl

Poczta Polska

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Z Galicji

Jan Widacki

To jest wojna…

To hasło jest wypisywane na kartonach, skandowane przez manifestantów. „To jest wojna" – tylko kogo z kim? Jeśli wojna, dobrze by było określić walczące strony. Niektórzy nie mają wątpliwości: „To wojna cywilizacji życia z cywilizacją śmierci!". Inni mówią: „To wojna z PiS". Jeszcze inni dodają dość zdecydowane, ale mało konkretne polecenie: „Wypierdalać!". Kto konkretnie ma „wypierdalać"? PiS? Kościół katolicki? A może tylko biskupi? A może cała klasa polityczna? I na czym to „wypierdalanie" ma polegać?

Nie bardzo to wszystko jasne. Ale jedno jest pewne. Młodzi wreszcie zrozumieli, że rządzący, wspierani energicznie przez hierarchów kościelnych, prowadzą ich do bantustanu nowoczesnego świata, do jakiegoś rezerwatu Europy. Iskrą zapalającą od dawna gromadzony proch było nieszczęsne orzeczenie pseudo-Trybunału Konstytucyjnego, praktycznie eliminujące możliwość legalnego dokonania aborcji. Młode pokolenie uświadomiło sobie, do czego służyć może Trybunał Konstytucyjny, i chyba w końcu zrozumiało, o co chodziło tym, którzy go swego czasu bronili przed zawładnięciem przez PiS i jego nominatów sędziów dublerów.

I pewnie bardziej wyczuło, niż zrozumiało, że dzisiejszy zakaz aborcji to przekroczenie pewnej granicy, że to początek drogi do uczynienia z Polski państwa wyznaniowego, gdzie pod groźbą kary wymierzanej przez sąd w imieniu państwa zabronione będzie to, co Kościół uważa za grzech. Jeśli dziś grzech aborcji staje się przestępstwem, to jutro przestępstwem równie dobrze mogą być stosowanie antykoncepcji, seks przedmałżeński lub pozamałżeński, rozwody, masturbacja, oglądanie striptizu lub pornografii. Tak na początek, bo Kościół najbardziej zdaje się wyczulony na VI przykazanie. Ale grzechem jest też niechodzenie na niedzielną mszę, nieprzystępowanie do wielkanocnej spowiedzi, jedzenie mięsa w post…

Gdyby sejmowa większość uchwalała stosowne przepisy, biskupi (a już abp Jędraszewski na pewno) przyjmowaliby to z radością, uzasadniając, jaką to wartością są rodzina, małżeństwo, cnota czystości. A rzeczą najważniejszą jest zbawienie duszy, toteż zmuszanie pod groźbą więzienia do chodzenia na msze, do spowiedzi, do przestrzegania postów jest wyrazem najwyższej troski o przyszłość obywateli. Tyle że takie myślenie to nawrót do średniowiecza. Młode pokolenie to czuje i tego nie chce.

Na ulice naszych miast, a także – co jest nowością – miasteczek, wyszły tłumy nie tylko kobiet, ale w ogóle tłumy młodych ludzi. Jesteśmy świadkami ogromnej, największej od 1968 r., rewolty młodzieży, która ma dość starego porządku i do niego adresuje owo słynne „Wypierdalać!".

Władzę ogarnęła panika. Rządzący zrobiliby chętnie stan wyjątkowy albo i wojenny (w końcu też uważają, że „to jest wojna"), ale z jednej strony mają pandemię, z którą sobie nie radzą, z drugiej nie są pewni służb mundurowych. Poza tym wiedzą, że przed nimi jeszcze najgorsze. Wywołany pandemią kryzys gospodarczy nadchodzi i niebawem starsze pokolenie również zacznie protestować.

Próbują więc przeczekać. Prezydent wymyślił lekkie złagodzenie rygorów wyroku pseudo-Trybunału, a samego wyroku rząd na wszelki wypadek nie publikuje. Ma w tym zresztą wprawę. Trochę straszą ludzi. Prokurator krajowy grozi więzieniem (do lat ośmiu!) za udział w manifestacjach, wspiera go w tym rzecznik episkopatu, który mówi, że udział w nich to grzech ciężki. A więc uważajcie, manifestanci, nie dość, że was Ziobro ze Święczkowskim wsadzą na osiem lat do więzienia, to jeszcze pójdziecie do piekła! Czy Kościół naprawdę nic nie zrozumiał? Nie chce zrozumieć? Minister Czarnek straszy uczniów i nauczycieli, nakładając na nich równocześnie obowiązek donosicielstwa. Nic wam to nie pomoże! Jesienne deszcze i znużenie uspokoją manifestacje. Ale ziarno posiane w ostatnich dniach prędzej czy później wzejść musi. A jak wzejdzie, trudno, będziecie musieli „wypierdalać". I ci od straszenia ośmioletnim więzieniem, i ci od straszenia piekłem za udział w demonstracjach.

> Na PiS i jego rządy pracowała niemal cała klasa polityczna przez ostatnie 30 lat.

Ciekawie odbija się to w sondażach poparcia dla partii politycznych. PiS spadło o 10%. Platformie nieznacznie wzrosło, kilkanaście procent ma Hołownia, Lewica niewiele ponad progiem, pod progiem na szczęście Konfederacja i PSL. Ale najwięcej od lat jest niezdecydowanych. Czyli tych, którzy nie identyfikują się z żadną partią. Wskazuje to wyraźnie, że jest miejsce na jakiś nowy polityczny byt. I nawet z grubsza widać, jaki powinien mieć program. Ludzie mają dość PiS, ale też dość Platformy. Z jej nijakością, brakiem wyrazistości ideowej. W szeregach Platformy są ludzie, którzy światopoglądowo nie różnią się od członków PiS. Swoją drogą, bardzo jestem ciekaw, jak w sprawie aborcji orzekłby Trybunał pod przewodnictwem prof. Andrzeja Rzeplińskiego albo nawet samego prof. Andrzeja Zolla. Obawiam się, że podobnie jak pseudo-Trybunał pod przewodnictwem mgr Przyłębskiej. Parafrazując słowa przezacnego red. Turskiego, „PiS nie spadło z nieba". Na PiS i jego rządy pracowała niemal cała klasa polityczna przez ostatnie 30 lat. I to do niej adresowane jest wezwanie: „Wypierdalać!".

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Młodzi nie chcą odpuścić

W małych miastach nie stawia się na ilość. Liczą się odwaga i wytrwałość

Zuzanna Muszyńska

Dwa tygodnie po wyroku Trybunału Konstytucyjnego zaostrzającym prawo aborcyjne na mapie wydarzeń Ogólnopolskiego Strajku Kobiet ciągle przybywa miejscowości. Jest ich już prawie 500, a 90% to miasteczka poniżej 50 tys. mieszkańców.

Przetarłyśmy szlaki innym

Równo tydzień po ogłoszeniu decyzji TK na rynku w Łabiszynie zbierają się pierwsze grupki mieszkańców. Ściemnia się, mimo to spacerowiczki i spacerowicze chętnie korzystają ze schronienia wśród uformowanych w bombki klonów. Nie ma czego się bać ani wstydzić, na skwer przy urzędzie miasta przybywa coraz więcej osób. Wydarzenie „Spacer dla kobiet", ogłoszone dzień wcześniej na Facebooku przez Dorotę, polubiło ponad 600 osób.

– Nie brałam czynnego udziału w Strajku Kobiet cztery lata temu – mówi Dorota. – Siedziałam przed telewizorem i żałowałam, że mnie nie ma z protestującymi. Tym razem postanowiłam sama wyjść i wykrzyczeć to, co mi się nie podoba.

Wbrew tezie Jarosława Kaczyńskiego, że związane z walką o prawa kobiet akcje mają w sobie „pewne elementy przygotowania, być może nawet wyszkolenia", w Łabiszynie wszystko dzieje się spontanicznie. Dorota pisze do koleżanki z pytaniem, czy nie poszłaby z nią na spacer. We dwie raźniej, gdy idzie się z transparentem przez miasto. Tamta wyraża chęć i protest ma już dwie „organizatorki". Dołączają mąż, rodzice, kuzynostwo. Tu wszyscy się znają, wieść rozchodzi się lotem błyskawicy.

– Szedł z nami mój tata, mama kibicowała z domu, bo choruje. Kiedy nas zobaczyła, popłakała się, szczególnie na widok młodych – opowiada Dorota. Jest łabiszynianką, jej rodzinne miasteczko leży między Bydgoszczą a Poznaniem. 30% powierzchni gminy zajmują lasy, wśród których położone są przepiękne, bardzo czyste jeziora. Raj dla grzybiarzy, miłośników natury i ciszy.

Organizatorkom zależy na dobrej atmosferze. Boją się, jak zareaguje na ich inicjatywę łabiszyńska społeczność, proszą o wstrzemięźliwość w używaniu wulgaryzmów i trzymanie się z dala od kościoła. Na czele i na tyłach marszu jedzie policyjna eskorta, ale i tak mąż Doroty nie odstępuje jej na krok, pomaga trzymać megafon pożyczony od strażaków. W ruchu kołowym mającego 4,5 tys. mieszkańców Łabiszyna protest nie powoduje większych zakłóceń. Władze zapewniają ochronę kościołowi.

Ulicami idą młodzi, rodziny z dziećmi, jak wszędzie. Do spaceru dołączają też prywatnie włodarze miasta. – O wydarzeniu dowiedziałem się z mediów społecznościowych. Wszystko przebiegło bez większych problemów. Urządzaliśmy dotychczas biegi uliczne, przejażdżki rowerami, ale taka forma protestu to coś nowego, a jestem tu burmistrzem od 22 lat – opowiada Jacek Idzi Kaczmarek.

Kuzyn Doroty jest właścicielem lokalu Pasjonata przy rynku. Ogłasza, że każdy uczestnik otrzyma po proteście darmowego pączka z kawą (później oferta się zmienia, za pączka – oczywiście na wynos – trzeba zapłacić 10 gr). Do cukierni ustawia się długa kolejka.

Mimo sukcesu Dorota nie może zapomnieć, jak wielki towarzyszył jej strach. Dostaje prawie same pozytywne reakcje w mediach, tylko jedna osoba pyta ją, czy liczyła się ze wzrostem zachorowań. Dorota odpowiada, że nikogo do przyjścia nie zmuszała. Przecież z początku chciała iść sama. – Zastraszanie nas wynika ze strachu rządzących – ocenia grożenie organizatorkom więzieniem oraz prześladowanie nauczycieli, do grona których sama należy. – W następnych protestach weźmiemy udział, ale już jako uczestniczki. Przetarłyśmy szlaki innym.

Na mieście mówi się, że pączkom dostało się podczas niedzielnego kazania. Ludzie boją się komentować szerzej. Dlaczego? Można nie otrzymać świadectwa chrztu albo spodziewać się problemów z pierwszą komunią. Dzwonię do parafii pw. Zwiastowania NMP. Zanim skończę zadawać pytanie, skąd ten strach o zniszczenie kościelnego budynku, skoro to wierni tak bardzo boją się proboszcza, pada deklaracja: – Odpowiem krótko. Mam swoje zdanie. Do widzenia.

Przez was Cypis leci na ulicach

W Strzelnie we wtorek, 3 listopada, odbywają się „poprawiny" piątkowego, nieudanego protestu. Kiedy rząd ogłosił nagłą decyzję o zamknięciu cmentarzy już w sobotę, wielu chętnych do maszerowania pojechało sprzątać groby najbliższych.

– Chodziliśmy w deszczu, było nas nawet więcej niż dzisiaj – opowiada mężczyzna w średnim wieku. Idzie u boku kolegi. – Żona dziś nie mogła. Jesteśmy tutaj, bo nie zgadzamy się z tym, co robi PiS. Biorą nas na przetrzymanie. Ale to, co się dzieje, przynajmniej zaktywizuje młodych.

Dotychczas strzelecka ulica zabierała głos jedynie w sprawie budowy obwodnicy.

– Debile! – krzyczy do protestujących starszy mężczyzna. Stoi pod spożywczakiem. Niedaleko, na ścianie narożnej kamienicy, wisi tablica upamiętniająca urodzonego w Strzelnie fizyka noblistę, Alberta Michelsona, który w XIX w. zajmował się badaniami nad prędkością światła.

Przyszło faktycznie mało ludzi, niecałe sto osób. Prym wiedzie kilkuosobowa grupa z wielkim głośnikiem. Przedstawiają się jako „męskie wsparcie dla Strajku Kobiet". Przyjechali z Inowrocławia. – Trzeba pokazać,

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Wbrew tezie Kaczyńskiego, że protesty mają w sobie „pewne elementy przygotowania", w Łabiszynie wszystko dzieje się spontanicznie.

że przeciwstawiamy się temu wszystkiemu – mówi lider. – Moja firma została zamknięta jako jedna z pierwszych. Nauczyliśmy się pracować w reżimie sanitarnym, a teraz znów zostawiono nas bez jakiegokolwiek wsparcia.

Inowrocławianie wierzą, że ludzie dopiero zaczną wychodzić z domów. Oczywiście wszystko kulturalnie, bo nie w tym rzecz, by się tłuc z policjantami. Barcin, Pakość, Mogilno chciałyby tylko pokazać swoją siłę. W Inowrocławiu podobno kibice szli obok protestujących, wspierali ich nie tylko obecnością, ale i czujnością. Gdyby coś się działo, zdusiliby to w zarodku. – Nie wszystkie postulaty strajku nam odpowiadają – deklarują mężczyźni. – Ale jeśli teraz czegoś nie zmienimy, będziemy tak żyć przez wiele lat! W Sejmie potrzeba wielu partii, nie koalicji.

Z głośnika płyną strajkowe klasyki, wśród nich viral ich ziomala, Cypriana Cypisa Racickiego, „JBĆ PiS". Cypis jest rówieśnikiem wolnej Polski, urodził się w Inowrocławiu w 1989 r. Na swoim Instagramie pokazał protestujących z transparentami „Przez was Cypis leci na ulicach".

Protestujący w Strzelnie złożyli kwiaty pod biurem poselskim posłanki Ewy Kozaneckiej z PiS.

Wrzenie śniegu

Na proteście nie może zabraknąć młodych. Swoim zachowaniem nie potwierdzają definicji „płatków śniegu", ukutej przez psychologów dla najmłodszych milenialsów – nie są zagubieni ani depresyjni, wręcz tryskają energią; nie polegają we wszystkim na rodzicach, ale cieszą się z ich wsparcia dla swoich działań; nie myślą wyłącznie o sobie, przyszli walczyć o wspólną, lepszą Polskę.

Maria, Oliwia, Adam, Jakub i Paweł pochodzą z Kruszwicy i okolic, mają od 17 do 20 lat. – Chciałabym zostać prawniczką – deklaruje Maria – ale jaki to ma sens w kraju, w którym nie przestrzega się praworządności?

– Będziemy walczyć do końca. Byliśmy w Bydgoszczy, Poznaniu, Gnieźnie. Do Warszawy nie udało się pojechać. Oczywiście nie zabrakło nas w Kruszwicy, w Inowrocławiu też byliśmy. Im większe miasto, tym mniej strachu w ludziach – oceniają. Cieszą się z obecności rówieśników na ulicach, z tego, że właśnie budzi się młode społeczeństwo, w którym nie ma zgody na zabieranie mu podstawowych praw. Z protestu na protest są coraz bardziej zmotywowani, a zarazem przerażeni. Tyle że jeszcze bardziej przeraża ich dalsze życie w takim kraju.

– Protesty to jakaś forma uzależnienia – przyznaje Oliwia. – Kiedy idziesz pierwszy raz i widzisz wokół siebie ludzi, którzy myślą podobnie, nagle przestaje się liczyć cokolwiek innego.

Martwią się również o swoich nauczycieli. – To, co robi minister edukacji rękoma kuratorów, przypomina inwigilację z czasów komuny – denerwuje się Adam. – A my nie chcemy dorastać ani zakładać rodzin w takim państwie.

Adam wskazuje, że według najnowszych sondaży jest nadzieja, Polacy odchodzą od Zjednoczonej Prawicy. Szkoda, że tak późno. Oskarża też episkopat o hipokryzję, bo przy aferach pedofilskich żądano, by na podstawie indywidualnych przypadków nie budować obrazu całego Kościoła. – Gdy natomiast kilkunastoosobowe grupy niszczą fasady kościołów, inne wchodzą na msze, by protestować, nam wszystkim to się zarzuca – podkreśla.

Tego samego dnia na temat młodych biorących udział w protestach wypowiada się abp Stanisław Gądecki, przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski i metropolita poznański, urodzony w Strzelnie. Padają ostre słowa, m.in. o „marksistach kulturowych", którzy wyparli zdrowy system wychowania młodzieży firmowany przez Kościół i państwo. Metropolita wskazuje również, że „niemalże każdy serial dla młodzieży na Netfliksie zawiera promocję homoseksualizmu, hedonizmu i rozwiązłości". Pytam moich młodych rozmówców, dokąd udadzą się po proteście. – Do domu, oglądać wieczór wyborczy w USA! ■

FOT. ZUZANNA MUSZYŃSKA

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Antyszczepionkowcy, antycovidowcy, antymaseczkowcy i inni

Jak w czasie pandemii zarabia się na teoriach spiskowych

Marek Czarkowski

Gdy właściciele sklepów, kin, restauracji, barów, biur turystycznych czy nocnych klubów liczą straty wywołane koronawirusem i polityką rządu Mateusza Morawieckiego, osoby przedsiębiorcze – wzorem najbardziej dziś znanego instruktora narciarskiego – wykorzystują okazję. By zarobić, a co najmniej zyskać popularność w sieci.

I bynajmniej nie chodzi o producentów maseczek chirurgicznych, kombinezonów dla personelu medycznego czy spółek z bardzo ograniczoną odpowiedzialnością, które chwalą się, że już za chwilę będą miały rewelacyjny lek na COVID-19 albo szczepionkę. W ostatnich miesiącach wybitnie radzą sobie antyszczepionkowcy, antycovidowcy i wszelkiej maści wyznawcy teorii spiskowych, którzy starają się wypłynąć na pandemii, choć na zdrowy rozum powinni milczeć.

23 października br., gdy premier Morawiecki w towarzystwie ministrów Adama Niedzielskiego i Marleny Maląg informował o wprowadzeniu kolejnych obostrzeń, głos zabrał jego główny doradca ds. walki z COVID-19 prof. Andrzej Horban, który oświadczył, że byłaby to „zupełnie prosta choroba typu infekcja górnych dróg oddechowych", gdyby nie to, że „20% pacjentów wymaga tlenoterapii". I dodał: „Serdecznie pozdrawiam tutaj ruchy antyszczepionkowe. Jeżeli państwo chcą zobaczyć, jak wyglądałby świat bez szczepionek, to bardzo proszę obserwować. Tak dokładnie wygląda świat bez szczepionek. Szczepionka będzie albo i nie, w związku z tym pozostały nam środki zapobiegawcze, ochronne".

Wątpię jednak, czy ta uwaga zrobiła na kimkolwiek wrażenie. Najwyraźniej Polacy oswoili się z zarazą.

Chińczycy, Gates, Soros i...

Wystarczy zajrzeć na strony internetowe i do mediów społecznościowych, by się przekonać, że wyznawcy teorii spiskowych mają się wybornie, oferując niezwykle bogatą gamę poglądów wyjaśniających, skąd wzięła się pandemia, jak z nią walczyć... albo i nie. Z tym że polski wkład w tę apokaliptyczną narrację jest żaden. Powtarzamy idee, które przywędrowały do nas z Zachodu.

To, że chińscy naukowcy z Instytutu Wirusologii w Wuhan wyprodukowali koronawirusa, by zniszczyć Stany Zjednoczone, słyszeliśmy już wiosną. Film dokumentalny pod tytułem „Tracking Down the Origin of the Wuhan Virus" (Śledzenie pochodzenia wirusa Wuhan) obejrzało na YouTubie kilka milionów widzów, także w naszym kraju. Liczba dostępnych w internecie publikacji przekonujących, że pandemia to robota chińskich komunistów, jest równie imponująca jak tych, które dowodzą, że wirus to dzieło amerykańskich imperialistów, a do Wuhan trafił za sprawą żołnierzy US Army, którzy tuż przed wybuchem pandemii przyjechali tam w delegacji.

Równie wielki rozgłos, a może nawet większy, zyskała teoria, że COVID-19 to robota miliarderów – założyciela Microsoftu Billa Gatesa i finansisty George'a Sorosa. Obaj panowie mieli jakoby wesprzeć swoimi brudnymi pieniędzmi szatański plan mikroczipowania populacji ludzkiej.

W sieci można znaleźć rysunek, na którym postać w białych rękawiczkach wkłada do kanału nosowego długi patyczek do pobierania wymazu. Strzałka wskazująca koniec wacika opatrzona jest napisem: „Wszczep mikroczip tutaj".

Szczególną sławę wśród teorii spiskowych zyskał film „Plandemic. The Hidden Agenda Behind COVID-19" (Plandemia. Ukryty plan COVID-19) Mikkiego Willisa, który trafił do sieci w maju. Wzięła w nim udział Judy Anne Mikovits, amerykańska uczona, która twierdziła, że pandemia to zaplanowana operacja, a jej celem jest zaczipowanie ludzi pod pretekstem masowych szczepień i przejęcie nad nimi kontroli. Miały za tym stać wielkie koncerny farmaceutyczne. Ją samą przedstawiono w filmie jako ofiarę prześladowań ze strony *deep state* (głębokie państwo – powstała w USA teoria spiskowa zakładająca, że krajem rządzi tajny układ administracji, wojska, przemysłu oraz świata finansów – przyp. aut.) i owych koncernów.

W połowie sierpnia br. powstała kolejna część, „Plandemic: Indoctornation", ze zbitką słów indoktrynacja i doktor w tytule, bo podjęto w niej próbę wykazania, że istnieje globalna konspiracja, której celem jest kontrolowanie całej ludzkiej populacji przez strach, a COVID-19 to kluczowy element tego diabolicznego planu. Znowu mają na tym zarobić najbogatsi, tacy jak Bill Gates i jego żona Melinda, a współpracują z nimi lekarze, chiński rząd, media, Google, Wikipedia i część amerykańskich agencji rządowych.

Dr Mercola węszy zdradę... i pieniądze

Jeszcze dalej posunął się dr Joseph Mercola. To lekarz i biznesmen, prowadzący najpopularniejszą w Stanach Zjednoczonych stronę internetową poświęconą medycynie alternatywnej, znany zwolennik homeopatii i zdeklarowany przeciwnik szczepień. Jego firma zarabia miliony dolarów, oferując w sieci suplementy diety i produkty medyczne.

eprasa.pl 7f3ef78ddd

10 października marsz przeciwników obostrzeń odbył się w m.in. w Krakowie.

Pod koniec października na wymienionej stronie znalazł się artykuł opisujący, jak to kalifornijska spółka z Doliny Krzemowej, Profusa, wspólnie z Agencją Zaawansowanych Projektów Badawczych w Obszarze Obronności (DARPA) stworzyła hydrożelowy biosensor zdolny do wykrywania infekcji w organizmie. Na początku sierpnia 2019 r. DARPA miała przyznać spółce Profusa dodatkowe fundusze na opracowanie systemu wczesnego wykrywania ognisk chorób, ataków biologicznych i pandemii. Byłby on w stanie zidentyfikować obecność infekcji nawet trzy tygodnie wcześniej niż obecne metody.

W ocenie autora publikacji ów biosensor ma być podobny do proponowanych szczepionek mRNA przeciw COVID-19, ponieważ podobnie jak one wykorzystuje hydrożel. Implant ma wielkość ziarenka ryżu i łączy się z internetową bazą danych, która będzie śledzić zmiany w biochemii i szeroki zakres danych biometrycznych pacjenta, takich jak częstość akcji serca, oddechu i wiele innych parametrów. Dane te miałyby za pośrednictwem internetu, z wykorzystaniem sieci telefonii komórkowej i wi-fi, trafiać do jednej wielkiej bazy danych.

Teoretycznie można by wykorzystać tę technologię do stworzenia systemów kontroli umysłu, niewidzialnych i mobilnych urządzeń podsłuchowych lub przerażających narzędzi tortur. Tak masowy transfer danych będzie wymagał znacznego zwiększenia przepustowości sieci komórkowych i dlatego na całym świecie gwałtownie przyśpieszyły prace nad wdrożeniem sieci 5G. Co gorsza, amerykańska Agencja Żywności i Leków (FDA) na początku 2021 r. ma udzielić zgody na stosowanie tego bioczujnika. A wtedy – drżyjcie narody!

Strona internetowa dr. Mercoli jest dostępna w języku polskim. Nic dziwnego, że te fantastyczne teorie są szeroko omawiane, komentowane i rozpowszechniane w rodzimych mediach społecznościowych. I walnie przyczyniają się do utrwalenia poglądu, że grozi nam apokalipsa, której i tak się nie boimy.

Sprzyja też temu porażająca wręcz nieudolność rządowych mediów, które nie są w stanie przekazać Polakom rzetelnej wiedzy na temat pandemii. To konsekwencja faktu, że w ostatnich latach TVP, Polskie Radio i zaprzyjaźnione z władzą prywatne media tak często manipulowały informacją, widzami i słuchaczami, że dziś ich wiarygodność jest zerowa.

Na rodzimym gumnie

Polscy antyszczepionkowcy, zwłaszcza o mniej znanych nazwiskach, z braku własnych koncepcji mogących przyciągnąć uwagę opinii publicznej zajęli się promowaniem na Facebooku i Twitterze wyżej opisanych teorii spiskowych wyjaśniających rolę Gatesa, Sorosa, koncernów farmaceutycznych, Rosji, Chin, Ameryki oraz światowego żydostwa w rozpowszechnianiu koronawirusa.

Nie brakuje także poglądów, że COVID-19 to fikcja, co najwyżej coś w rodzaju zwykłej grypy, której nie trzeba się obawiać. Kwestionowana jest również skuteczność testów wykrywających koronawirusa. 18 sierpnia pojawił się w sieci film zrealizowany przez kanał AlterShot TV z udziałem prof. Kornelii Polok oraz prof. dr. hab. Romana Zielińskiego „PCR-yzm – O prawdziwej roli testów". Twierdzili oni, że podstawowa metoda diagnostyczna stosowana przy wykrywaniu koronawirusa, czyli test RT-PCR oparty na łańcuchowej reakcji polimerazy, jest świetną metodą pozwalającą na namnażanie materiału DNA, lecz koronawirus SARS-CoV-2 nie ma DNA i dlatego testy w obecnej formie są nieskuteczne.

Firma dr. Josepha Mercoli, zdeklarowanego przeciwnika szczepień, zarabia miliony dolarów, oferując w sieci suplementy diety i produkty medyczne.

Materiał ten obejrzało ponad 100 tys. internautów, lecz nie wywołał on większej dyskusji. Krytycy podkreślali, że test RT-PCR jest oparty na modyfikacji pierwotnej metody i jego wiarygodność w wykrywaniu SARS-CoV-2 jest bezsporna. Poza tym testów wykrywających koronawirusa

FOT. JAN GRACZYŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 7f3ef78ddd

jest bardzo dużo. Informacja o tym, które mają certyfikat dopuszczający je do użytku na terenie krajów unijnych, jest dostępna na stronie internetowej Komisji Europejskiej. 29 września br. w serwisie YouTube pojawiła się druga część rozmowy z prof. Kornelią Polok i prof. Romanem Zielińskim o testach PCR. Na razie obejrzało ją nieco ponad 11 tys. internautów.

Znacznie większą popularność wśród Polaków zyskały rewelacje na temat maseczek chirurgicznych, które władze zalecały nosić w pomieszczeniach zamkniętych, a ostatnio także w miejscach publicznych. Za niestosowanie się do tego groził mandat do 500 zł, a nawet 10 tys. kary administracyjnej nakładanej przez sanepid. Latem gremialnie zrezygnowaliśmy z tego środka ochrony. Prezydent Duda, premier Morawiecki, prezes Kaczyński i inni czołowi politycy PiS nie tylko ostentacyjnie nie stosowali się do własnych nakazów i zakazów, ale też przekonywali, że „wirus się cofa" i „nie ma się czego bać". Konsekwencje tego obserwujemy dziś.

Sprzeciw wobec obowiązku noszenia maseczki zgłosił również Paweł Tanajno, przedsiębiorca i kandydat w ostatnich wyborach prezydenckich. We wrześniu br. dołączyli do niego politycy i działacze Konfederacji z posłem Grzegorzem Braunem na czele. Ich hasło to: „Przecz z ograniczeniami, które niszczą naszą wolność".

W październiku demonstracje antycovidowców i antymaseczkowców gromadziły w Warszawie nie tylko przedsiębiorców wspierających Tanajnę czy konfederatów od Brauna, ale i miłośników Chrystusa Króla, którzy niosąc jego podobiznę, stanowili najbarwniejszy element protestów. Ponieważ liczebnie manifestacje te były skromne, policja mogła ćwiczyć na ich uczestnikach swoją dziarskość, zatrzymując zwyczajowo ponad setkę osób. Zwraca uwagę nieobecność na protestach i w przestrzeni publicznej najbardziej znanych postaci polskiego ruchu antyszczepionkowego, takich jak:

- Justyna Socha, co najmniej od 2015 r. ostrzegająca przed skutkami rzekomych niepożądanych objawów poszczepiennych u dzieci; kandydatka w wyborach do Sejmu z listy Kukiz'15, niegdyś chętnie wypowiadająca się na tematy medyczne;
- Jerzy Zięba, autor książki „Ukryte terapie. Czego ci lekarz nie powie", właściciel sklepu internetowego Visanto oferującego w bardzo nieprzystępnych cenach witaminę C, witaminę P bajkalską, bioaktywną siarę bydlęcą, mleko klaczy Visanto czy liofilizat z ekologicznego soku z kapusty;
- prof. Dorota Czajkowska-Majewska, która kilka lat temu błysnęła twierdzeniem, że szczepienia mogą nas zmieniać w cyborgi lub niewolników, a szczepionki produkowane są ze ścieków i *de facto* obniżają odporność.

Szerzeniu teorii spiskowych sprzyja nieudolność rządowych mediów, które nie są w stanie przekazać Polakom rzetelnej wiedzy na temat pandemii.

Aktywność wykazują za to właściciele siłowni i klubów fitness, którzy zostali po raz kolejny uderzeni rządowymi ograniczeniami. Nie brakuje opinii, że rządowy zakaz prowadzenia działalności gospodarczej nie ma podstawy prawnej. Przepisy pozwalają jedynie na jej ograniczenie. A stąd już krok do pozwów o odszkodowania. W tym środowisku pojawiły się nowe pomysły, jak ominąć rządowe zakazy. Można wynająć sprzęt ćwiczącym albo zorganizować coś w rodzaju zawodów sportowych. Ktoś wykombinował nawet, że zorganizuje w siłowni zgromadzenie religijne pod nazwą Kościół Zdrowego Ciała. By wyciskanie sztangi przedstawić jako rodzaj sakramentu.

W ostatnich tygodniach najdobitniej rzuca się w oczy obojętność Polaków na szerzącą się pandemię. W dużych miastach wiele osób nosi maseczki niechlujnie, na prowincji w ogóle często się z nich rezygnuje. Policji – mimo srogich wezwań komendanta głównego, który nakazuje podwładnym stosowanie zasady zero tolerancji wobec łamiących prawo obywateli – nikt się nie obawia.

Z obojętnością traktujemy też komunikaty resortu zdrowia, w których liczba zarażonych znacznie przekracza 20 tys. dziennie. Ale to się zmieni, gdy zabraknie respiratorów i osoby starsze będą umierały na szpitalnych korytarzach, bez pomocy, bez podanego w ostatnich chwilach życia tlenu. Gdy rozpadnie się system ochrony zdrowia w Polsce, a rząd Morawieckiego ostatecznie skapituluje. To tylko kwestia czasu.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Koniec. Kropka. I co dalej

Dla obserwatorek/obserwatorów i uczestniczek/uczestników ostatnich wydarzeń w Polsce, masowych, oddolnych protestów, rozgrywających się niejednokrotnie po raz pierwszy w scenografii mniejszych miast i miasteczek, tej Polski zapomnianej, wykluczonej komunikacyjnie, niebranej pod uwagę, nieopisywanej, niesłyszanej, jest jasne, że oglądamy koniec. Czego to koniec, nie jest już takie jasne. (Zawsze też znajdzie się ktoś, kto powie: ale czy aby na pewno? Końce lubią się ciągnąć w nieskończoność, a niejeden koniec wiedzie długie życie pozagrobowe). Interpretacji i tropów wyjaśniających jest sporo. To koniec „Wielkiego Kompromisu z Kościołem", pisze Agnieszka Graff, dookreślając: „Na naszych oczach rozsypuje się gramatyka, na której przez ostatnich 25 lat oparta była polska umowa społeczna".

Gramatyka Wielkiego Kompromisu, który towarzyszył nam przez dwie dekady. Zawarty u progu transformacji między elitami władzy a episkopatem, czynił on kobiety zakładniczkami polskiej modernizacji. Relacje państwo-Kościół oparte zostały na ogromnej władzy i przywilejach tej instytucji. Episkopat miał stabilizować transformację ustrojową i proces wejścia do Unii w zamian za drastyczne ograniczenie praw kobiet i odrzucenie praw LGBT. Polska to kraj katolicki – to zdanie powtarzano jak mantrę. Nie był to opis rzeczywistości, lecz dekret. A może zaklęcie? Utożsamienie polskości z katolicyzmem miało być naszym wyróżnikiem w Unii. Zależnie od światopoglądu ceną lub rekompensatą za „powrót do Europy".

Podzielając tę diagnozę, nie mając jednak przekonania, że same „pokoleniowo rewolucyjne" wydarzenia znacząco zmienią tradycyjne filary, słupki i ścieżki władzy, sam siebie zapytuję: co dalej? Wypowiedzenie konkordatu? Powrót do rozliczenia, odebrania majątku przekazywanego przez ponad dwie dekady Kościołowi poza jakąkolwiek kontrolą państwa i społeczną? Aktywizacja prokuratury w śledztwach pedofilskich i, co ważniejsze z punktu widzenia społecznego, politycznego, dochodzenia demaskujące sieci ukrywania i tuszowania przestępstw wobec dzieci przez hierarchów, w tym tych „największych"? Jak dotąd mamy ujawnianie faktów przez pojedynczych dziennikarzy, niektóre media; po latach („A czemu dopiero teraz, dlaczego milczeli?", postękują cisi kolaboranci przestępców, broniąc na ślepo struktur kościelnych) głos zabierają ofiary.

Kto miałby przełożyć ten stan świadomości na fakty i decyzje polityczne? Czy to możliwe bez nowego wielkiego otwarcia? Ależ wiele z tych patologii zawdzięczamy właśnie najsłynniejszej polskiej szkole kompromisu i rozmowy, dogadywania się ponad podziałami, w imię jedności i przyszłości – społeczeństwa czy, kto inny na melodię hymnu zaśpiewa, narodu. Przecież istniejące środowiska polityczne są za to odpowiedzialne, jedni za ideowy projekt wyniesienia Kościoła na pozycję nienaruszalnego superarbitra polskiego państwa, drudzy za wprowadzenie tego w życie, pozostali za skrywanie nadużyć, patologii i uzurpacji. I oni mieliby wykonać w tył zwrot, i to jeszcze z decyzyjnym przytupem? Mało realne, chociaż chorągiewka na wietrze to prawdziwszy symbol polskiej wyobraźni i praktyki politycznej niż łopot husarskich skrzydeł, aczkolwiek w malignie samouwielbienia króluje ten drugi obraz.

Mam jednak wrażenie, że tu idzie o coś więcej. Że gra toczy się nie tylko o wyprostowanie 30-letnich zaszłości: w kwestii praw kobiet, praw pracowniczych, wykluczeń i nierówności, zapaści takich funkcji i instytucji państwa, fundamentalnych dla podtrzymania przekonania o sensowości jego istnienia, jak opieka zdrowotna, edukacja, pomoc społeczna, opieka nad najstarszymi, wiarygodny, sprawny, nieupartyjniony aparat sprawiedliwości.

Tu idzie o świat, rządzony niepodzielnie po staremu, po męskiemu, wedle męskich wzorców i miar. W przejmującej faktograficznie książce Caroline Criado Perez „Niewidzialne kobiety" autorka dowodzi, że świat, w którym żyjemy, jest skrojony i wykonany pod nas – mężczyzn. Świat jest mężczyzną, dlatego potrzeby, zdrowie i komfort mężczyzny zaspokaja on w pierwszej kolejności i dominującej formie.

Pokolenie młodych kobiet i towarzyszących im chłopaków i mężczyzn już to wie i chce inaczej urządzonego świata. Nie chodzi o PiS (choć chodzi), Platformę (chodzi, chodzi), inne Zjednoczone Moce Polskiej Narodowej Prawicy, chodzi o coś więcej.

O niezgodę na archaiczny, patriarchalny model życia społecznego. A mężczyźni? Przypominają opis zachowania Trumpa w ostatnich momentach przed utraceniem władzy, co niezrównanie ujął Łukasz Najder w internetowym wpisie: „Przykry widok. Prezydent najpotężniejszego państwa na świecie w trybie: najebany, agresywny wujek rozpaczliwie uczepił się stołu, by choć o kilka sekund odwlec wyrzucenie z wesela, na którym obłapiał kobiety, szurał do rodziny i usmarował jedzeniem wszystko dokoła. Odciągają go, a ten krzyczy, że i tak dawali tu wodę zamiast wódki. Obrus zjeżdża na podłogę, brzęk tłuczonych naczyń... »Sam wyjdę!«, oświadcza wzburzony, po czym kładzie się na podłodze w korytarzu przy sali. Przy drzwiach wyjściowych żąda zwrotu koperty dla młodych (choć dał pustą). Histeryczne piski z parkingu, wujek intonuje hymn i przepada we mgle poranka". Panowie, nie bądźmy jak Trump, którym jesteśmy.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Wiedeń się trzyma

Zamach z 2 listopada pokazał Austriakom sprawność ich państwa, ale też obnażył krwiożerczość mediów

W zamachu zginęły cztery osoby, 23 zostały ranne.

Beata Dżon-Ozimek

To był ostatni wieczór otwartych knajpek i barów przed ogłoszonym wcześniej lockdownem. Ostatnie chwile towarzystwa, wspólnoty, morze piwa i wina; przecież spotykanie się w knajpkach przynależy do stylu życia wiedeńczyków. Kto w tym nastroju oddawania się przyjemnościom w popularnym knajpianym „trójkącie bermudzkim" i uliczkach wychodzących ze Schwedenplatz, między Rotenturmstrasse a Ruprechtsplatz i Judengasse, myślałby o niebezpieczeństwie? A jednak około godz. 20 nagle pojawił się napastnik z bronią maszynową. Zginęły cztery osoby, 23 są ranne, w tym policjant. To nie tylko Austriacy, wśród ofiar są obywatele Niemiec, Słowacji, Luksemburga, Afganistanu, Bośni i Hercegowiny. Tego wieczoru miała miejsce największa w historii akcja austriackiej policji, użyto wszelkich możliwych środków technicznych. O godz. 20.09 „zneutralizowano" napastnika.

Dziupla za szybą

Dziennikarka tygodnika „Profil", Christa Zöchling, była akurat w jednej z knajpek, słyszała strzały, ale ludzie początkowo myśleli, że to wybuchy petard, wczesny sylwester, obchody ostatniego wieczoru przed lockdownem. Dopiero gdy zobaczyła 150-200 osób biegnących w panice od Schwedenplatz, domyśliła się, że coś się stało. Dziennikarska ciekawość kazała jej pobiec w kierunku Schwedenplatz, ale policja już nawoływała, ludzie biegali, auta wyły, jechały z wielką prędkością po wąskiej Rotenturmstrasse; ją i jej męża praktycznie wciągnęła do środka właścicielka malutkiej knajpki. Chriście przypomniały się obrazy z ataku na synagogę w Niemczech, gdzie napastnik wpadł właśnie do podobnego lokaliku i zamordował kolejne dwie osoby. Przeszło jej przez głowę, czy to dobre ukrycie ta dziupla za szybą.

Do knajpki dobijała się kobieta z synem, szukała schronienia – uciekli ze swojego sklepu, chłopak widział uzbrojonego mordercę. Dziennikarka mówi, że byli jak zmartwiali. Wszyscy napili się wódki, ten chłopak chyba pierwszy raz w życiu. Czekali tak do północy. Właścicielka baru być może uratowała im życie.

Policja działała sprawnie, ale nie brakowało ludzi żądnych sensacji, którzy komórkami nagrywali wydarzenia. Christa Zöchling wspomina jako straszne pojawiające się filmiki, w tym z sąsiednich uliczek, gdzie widać było strzelaninę, rannego policjanta, zabitego naprzeciwko synagogi. Ludzie byli przerażeni.

Siła wiarygodności

Zamach z 2 listopada pokazał Austriakom sprawność ich państwa, ale też dojrzałość wielokulturowego społeczeństwa i ponadwyznaniową solidarność oraz misję prezydenta. Z drugiej strony obnażył krwiożerczość mediów i nieodpowiedzialny wyścig nawet bardzo cenionych i doświadczonych dziennikarzy, by być tym pierwszym z newsem. Pozbawił również złudzeń co do poziomu odpowiedzialności brukowych, skądinąd bardzo popularnych mediów, nie tylko drukowanych oraz internetowych, ale także dysponujących własną telewizją.

Prezydent Alexander Van der Bellen mówił następnego dnia po ataku, że nienawiść nie będzie nigdy tak silna jak wspólnota w wolności, demokracji, tolerancji i miłości. Żadnego nawoływania do zemsty, piętnowania islamu, a wiadomo, że 20-letni sprawca był ekstremistą islamskim, już raz karanym i przedterminowo wypuszczonym z więzienia. Słów prezydenta w Austrii się słucha. Opinia publiczna z nimi się liczy.

Jaką nadzwyczajnością w polskich realiach może się wydawać nawoływanie do trzymania się razem, bycia silniejszymi od nienawiści. Współczucie i zrozumienie, także wobec tej większości zwykłych muzułmanów, którzy pracują, są częścią społeczeństwa, a muszą się zmagać ze stereotypem terroryzmu islamskiego. Przeżyciem było też nabożeństwo w katedrze św. Szczepana dzień po ataku, prowadzone przez głowę Kościoła katolickiego w Austrii, kard. Christopha Schönborna, w towarzystwie przedstawicieli wszystkich pozostałych konfesji. Ta otwartość, wspólnota w bólu buduje – buduje również niepodsycanie nastrojów, po co łatwo mogła sięgnąć wspólnota izraelicka, w pobliżu której zabito jedną z ofiar. To też daje Austriakom, także niewierzącym, pewien spokój, porządkuje rzeczywistość.

Oswajanie traumy

Warto wspomnieć o dojrzałości polityków, bo dziennikarze, komentatorzy

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 7f3ef78ddd

zadają pytania właśnie o to, jak wobec takiego testu ma się zachować klasa polityczna. Partie są razem, pomimo dekonstrukcji, która czeka władze Wiednia po niedawnych wyborach.

Burmistrz Michael Ludwig podczas uroczystości upamiętniającej ofiary zamachu mówił: „Wiedeń jest silnym miastem. Wiedeń ma silnych ludzi. Jestem pewien, że teraz, w tym trudnym okresie, jesteśmy razem". Wielkie słowa, ale szczególnie ważne, bo dają siłę po szoku. Ostatni zamach, listowny, miał w Wiedniu miejsce w 1993 r.

Tylko FPÖ, wolnościowcy, którzy w wyborach do władz miasta i kraju związkowego ponieśli sromotną klęskę, nawołują do rozprawienia się z islamem i fałszywą tolerancją. Tu akurat odpowiedzi udziela życie. Bohaterami 2 listopada zostało dwóch muzułmanów tureckiego pochodzenia, uprawiających sporty walki, którzy podczas strzelaniny udzielili pomocy starszej kobiecie; jeden z nich został ranny w nogę. I Palestyńczyk z pobliskiego fastfoodu, który zajął się rannym policjantem.

Christa Zöchling zwraca uwagę na ważną kwestię – mediów, którym można zaufać. W Austrii okazały się nimi, nie pierwszy raz, media publiczne: telewizja ORF i publiczne radio. Także większość poważnych mediów zachowała się odpowiedzialnie, ale były i wpadki. Florian Klenk, skądinąd świetny dziennikarz śledczy, szef tygodnika „Falter", którego redakcja znajduje się blisko centrum wydarzeń, chciał jak najszybciej podać informacje o ataku. Niestety, kilkoma newsami, np. tym, że to atak na synagogę czy że wzięto zakładnika, niepotrzebnie wprowadził większy niepokój.

Wszelkie normy przekroczyło brukowe imperium Wolfganga Fellnera, gazeta „Österreich" i oe24.tv, która pokazała filmiki z komórek, jak umiera ofiara napastnika, jak pada ranny policjant. Podobnie sensacjami epatował portal krone.at. Austriacka Rada Prasowa otrzymała co najmniej 700 skarg dotyczących tych publikacji. Najwięksi reklamodawcy już usuwają swoje reklamy z tych darmowych dzienników.

Policja i służby apelują o niepublikowanie relacji z wydarzeń, bo to także stwarza niebezpieczeństwo dla policjantów. Mogą stać się ofiarami zamachów. Media minimalizują informacje o zamachowcu. Nie chcą dawać podstaw do robienia z niego bohatera.

Pozostają pytania, dlaczego służby MSW nie zareagowały na informację, że terrorysta w październiku usiłował kupić amunicję na Słowacji. Dlaczego udało się tak zradykalizować młodego człowieka i nikt z tym nic nie zrobił?

Społeczeństwo Wiednia, a może i całej Austrii, oswaja traumę na swój sposób. Odbiera terroryście tożsamość, nazywa go bardzo brzydko: *Orschloch*, to znacznie gorzej niż dupek. I każe mu: *Schleich di, du Orschloch*. To mniej więcej taka prośba jak ta na literę w, najczęściej skandowana na polskich demonstracjach. Wiedeń się trzyma.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Zmiana warty na Litwie

Prawica przejmuje władzę, lewica w defensywie

Tomasz Otocki

Po raz kolejny w ostatnich latach w Wilnie dojdzie do zmiany warty. Tym razem eklektyczna, konserwatywna i socjalna koalicja skupiona wokół Związku Chłopów i Zielonych (z udziałem polskiej partii) przekaże władzę bardziej spójnej grupie konserwatystów i liberałów. Po drugiej turze wyborów do Sejmu, która odbyła się 25 października, będziemy mieli powtórkę z 2008 r., gdy tworzono prawicowy rząd Andriusa Kubiliusa. On także przejmował władzę w sytuacji kryzysu. Wtedy gospodarczego, światowego, dziś pandemicznego. Czy konserwatyści oraz ich dwaj „młodsi" bracia, Ruch Liberałów i Partia Wolności, poradzą sobie za sterami władzy?

Dwójka Polaków

Robertowi Duchniewiczowi, 29-letniemu prawnikowi pracującemu w rządowym Departamencie Mniejszości Narodowych, parę lat temu zamarzyła się wielka polityka. Choć Polacy na Litwie od lat głosują na Akcję Wyborczą Polaków, Robert wybrał socjaldemokrację. – Mam przekonania lewicowe, nie odpowiada mi światopogląd ani model działania partii Waldemara Tomaszewskiego w rejonach podwileńskich, gdzie od 1995 r. sprawuje samodzielne rządy – mówił mi w 2017 r. W tym właśnie roku został lewicowym radnym rejonu wileńskiego. O tym, jak partia europosła Tomaszewskiego opanowała „polskie samorządy", można by długo opowiadać. Nepotyzm, zastój, brak perspektyw. Choć analogiczne regiony pod Kłajpedą czy Kownem radzą sobie całkiem dobrze, Wileńszczyzna (poza stolicą) jest na szarym końcu, jeśli chodzi o rozwój gospodarczy – m.in. to denerwowało Roberta.

– Od lat opowiadam się za prawami człowieka, oryginalną pisownią nazwisk, kwestiami LGBT, czyli tym, czym nie chce lub nie może się zająć polska partia – wyjaśniała mi Ewelina Dobrowolska, również prawniczka, gdy w 2018 r. spotkaliśmy się w wileńskiej siedzibie Europejskiej Fundacji Praw Człowieka. Do polityki weszła z przytupem w styczniu 2020 r., gdy zwolniło się miejsce w wileńskiej radzie. Została reprezentantką tworzonej przez mera Wilna Remigijusa Šimašiusa Partii Wolności. Teraz bez problemu uzyskała mandat. Robert w wyborczy wieczór musiał zagryźć zęby – na liście socjaldemokracji spadł o parę oczek i na wejście do Sejmu poczeka co najmniej do 2024 r. Zresztą jego ugrupowaniu w tych wyborach po prostu się nie powiodło – uzyskało zaledwie 13 mandatów, liczyło na dwa razy więcej. Dobrowolska za to już przygotowuje projekt ustawy o pisowni nazwisk (ważnej nie tylko dla Polaków, ale także wychodzących za cudzoziemców Litwinek) i mniejszościach narodowych. W Sejmie będzie też się zajmować kwestią uzgodnienia płci, na Litwie istotną tak samo jak u nas, choć w kraju jeszcze bardziej konserwatywnym niż Polska odkładaną *ad Kalendas Graecas*. Szansą dla Eweliny jest fakt, że będzie posłanką zwycięskiej, centroprawicowej koalicji.

Porażka partii Tomaszewskiego

Prawdziwą sensacją, jeśli mówimy o sytuacji Polaków, jest jednak nieprzekroczenie przez Akcję Wyborczą Polaków na Litwie – Związek Chrześcijańskich Rodzin progu 5%. Po raz pierwszy od ośmiu lat nie będzie polskiej frakcji w litewskim Sejmie. Jedyni Polacy, którzy będą w nim zasiadać, zostali wybrani w okręgach jednomandatowych (na Litwie istnieje mieszana ordynacja wyborcza). Ugrupowanie Tomaszewskiego o klęskę obwinia wszystkich, tylko nie siebie. – Negatywna kampania litewskiego dziennikarza Andriusa Tapinasa, który wzywał publicznie, by pozbyć się nas z Sejmu, to tylko jeden z przykładów nagonki na naszą partię – mówił mi w październiku odchodzący minister komunikacji Jarosław Narkiewicz. Inną przyczyną niegłosowania na ugrupowanie Tomaszewskiego miał być COVID-19. Pandemia odstraszyła seniorów, którzy w poprzednich latach po mszy świętej szli wspierać polską listę. – Problem w tym, że w rejonach podwileńskich oddano bardzo dużo głosów pocztą – kontruje słowa Narkiewicza jeden z wileńskich Polaków. Doc. Andrzej Pukszto z Uniwersytetu Witolda Wielkiego w Kownie tłumaczy PRZEGLĄDOWI: – Na zły wynik AWPL-ZChR wpłynęło odwrócenie się od polskich problemów, takich jak ustawa o mniejszościach narodowych czy pisownia nazwisk, a także zbytnie skoncentrowanie się na walce o względy mniejszości rosyjskiej.

AWPL-ZChR od 2008 r. startuje w wyborach w koalicji z Aliansem Rosjan, dzięki czemu w poprzednich latach udawało się jej przekroczyć próg 5%. Teraz jednak według polskich krytyków kampania za bardzo skierowana była do Rosjan, pieniądze wydano głównie na reklamę w mediach rosyjskojęzycznych.

Chłopi odchodzą do lamusa

Wyborczą porażkę zaliczył też rządzący Związek Chłopów i Zielonych, na czele którego stoi oligarcha i właściciel ziemski Ramūnas Karbauskis, przez niektórych zwany litewskim Kaczyńskim, kierujący z tylnego siedzenia koalicją. Jeszcze na wiosnę partia miała całkiem dobre notowania. Wzrosła wtedy popularność ministra zdrowia Aurelijusa Verygi, który nieźle radził sobie z pandemią. Wcześniej był znienawidzony, bo próbował zafundować Litwinom „małą prohibicję" – skrócono czas sprzedaży alkoholu w sklepach, mogą go kupić tylko ci, którzy ukończyli 20 lat, itd. Jednak przed wyborami poparcie dla konserwatystów i chłopów zaczęło coraz bardziej się rozjeżdżać. Rezultat:

eprasa.pl 7f3ef78ddd

O zwycięstwie centroprawicy zdecydowała m.in. popularność Ingridy Šimonytė, kandydatki konserwatystów na premiera.

50 mandatów dla Związku Ojczyzny, jedynie 32 dla Chłopów (Sejm liczy ogółem 141 posłów). – Przechodzimy do opozycji – powiedział po wyborach Karbauskis, gdy stało się jasne, że lider listy Chłopów Saulius Skvernelis nie zostanie premierem na kolejną kadencję.

– O zwycięstwie centroprawicy zdecydowały ogólna zasada wymiany opcji politycznej, aktywność młodych ludzi i popularność Ingridy Šimonytė, kandydatki konserwatystów na premiera – mówiła Polskiej Agencji Prasowej politolożka Ainė Ramonaitė. Šimonytė, minister finansów w poprzednim rządzie konserwatywnym, a w 2019 r. kandydatka na prezydenta, której udało się wejść z dobrym wynikiem do drugiej tury, wybory w macierzystym okręgu – na wileńskim Antokolu – wygrała już w pierwszej turze. Teraz wszyscy się zastanawiają, jak poradzi sobie w roli szefowej rządu.

Mimo dobrych wyników gospodarczych, jakie notuje Litwa, popieranie Związku Chłopów i Zielonych, partii zakazów i nakazów, walczącej z mediami publicznymi, obarczonej aferami i arogancją przywódcy, dla wielu młodych ludzi i mieszkańców miast stało się obciachem. Konserwatyści nie mogliby jednak przejąć władzy, gdyby do Sejmu nie dostały się dwie partie liberalne. Zwłaszcza Partia Wolności miała nadspodziewanie dobry wynik (11 mandatów). – Dotychczas młodzi ludzie bardzo niechętnie uczestniczyli w wyborach. Tym razem było inaczej – zwraca uwagę Ramonaitė.

Młodych do Partii Wolności przyciągnęły kampania prowadzona głównie w mediach społecznościowych i hasła dotyczące legalizacji miękkich narkotyków czy praw osób LGBT. Paradoksalnie młodzi i nowocześni będą w koalicji z konserwatystami, wśród których nie wszyscy popierają związki partnerskie, a część chciałaby walczyć z gender. Jednak konserwatywny Związek Ojczyzny to nie litewskie PiS, swego czasu w Sejmie reprezentował go wyoutowany gej Rokas Žilinskas.

Liberałowie ukradli elektorat lewicy

Litewska Partia Socjaldemokratyczna z 13 mandatami po tych wyborach znajdzie się w jeszcze większej defensywie niż w roku 2016. Ugrupowanie, które za czasów Algirdasa Brazauskasa, byłego lidera Komunistycznej Partii Litwy, zdobywało nawet samodzielną większość w wyborach, od lat nie ma pomysłu na siebie. W 2017 r. w partii doszło do rozłamu, odeszli z niej przedstawiciele starszego pokolenia, przez młodszych konkurentów nazywani postkomunistami. Odmłodzona partia opracowała swój socjaldemokratyczny manifest i, jak mówi Robert Duchniewicz, chciała stać się lewicą kulturową, z prawdziwego zdarzenia, a nie przystawką do biznesu.

Olbrzymie nadzieje wiązano z przywództwem Gintautasa Paluckasa, lidera, który nie przekroczył jeszcze czterdziestki i miał być antidotum na dotychczasową bezideowość. Pierwszy zimny prysznic przyszedł w marcu 2019 r., gdy Paluckas kandydował na mera Wilna, a jego ugrupowanie nie uzyskało nawet jednego mandatu w radzie miejskiej. Mimo to jeszcze na wiosnę niektórzy wierzyli w dobry wynik socjaldemokratów w wyborach do Sejmu. – Paluckas nie tchnął ducha w tę partię, nie zadbał o znane nazwiska – stwierdza doc. Andrzej Pukszto. – Z kolei takie kwestie jak prawa człowieka, ważne dla lewicy, w tych wyborach przejęli liberałowie – dodaje. Symbolem takiego przejęcia jest wejście do Sejmu z listy Partii Wolności aktywisty homoseksualnego Tomasa Vytautasa Raskevičiusa, znanego także jako *drag queen* Okeanidė. Swoją „ikonę" LGBT, Liutaurasa Gudžinskasa, lewica ukryła na 55. miejscu, bez szans na mandat.

Po raz pierwszy od ośmiu lat w litewskim Sejmie nie będzie polskiej frakcji.

Natomiast kwestie społeczne zagospodarowali Chłopi i Zieloni. Wydaje się więc, że litewska lewica znalazła się w podobnej sytuacji jak w Polsce SLD, któremu wrażliwość społeczną ukradło PiS, a obyczajową konserwatywna PO. Tylko że na Litwie liberałowie rzeczywiście przejmują się prawami kobiet i osób LGBT. – Zobaczysz, w tej kadencji uchwalimy ustawę o związkach partnerskich – mówi mi Raskevičius. Czyżby konserwatywna Litwa miała przegonić Polskę w kwestii praw obywatelskich?

■

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Może się wydawać, że w zarządzaniu kryzysowym Jacinda Ardern nie ma sobie równych na świecie.

Mateusz Mazzini

Pani Lider

Czy Jacinda Ardern ma szansę stać się twarzą całej globalnej lewicy?

1 listopada z pewnością przejdzie do historii jako jeden z najczarniejszych dni dla nowozelandzkiej prawicy, i to nie z powodów, z którymi ta data tradycyjnie się kojarzy. Początek miesiąca, owszem, był pogrzebem, ale nie konkretnej osoby, lecz najbliższej przyszłości tej formacji politycznej. Tego dnia bowiem nowa-stara szefowa rządu Jacinda Ardern ogłosiła zawiązanie paktu koalicyjnego z Partią Zielonych, która w zamian za dwie teki ministerialne zgodziła się współtworzyć drugi gabinet Ardern. Powstał trudny do przełamania większościowy blok, kontrolujący wspólnie 76 ze 120 miejsc w parlamencie. W obliczu tej politycznej arytmetyki prawicowa Partia Narodowa, największe ugrupowanie tamtejszej opozycji, przez najbliższe trzy lata będzie „kompletnie bez znaczenia", jak piszą gazety na antypodach.

O takim komforcie rządzenia większość lewicowych czy, szerzej, progresywnych liderów na całym świecie może co najwyżej pomarzyć. Nawet Justin Trudeau w szczycie popularności nie mógłby stwierdzić, że jego polityczni rywale nie będą mieli nic do powiedzenia przez całą kadencję. Przedstawiciele tzw. różowego prądu w Ameryce Łacińskiej, który ponad dekadę temu skierował kontynent na tory większej redystrybucji i sprawiedliwości społecznej, cały czas musieli się mierzyć z duchami dawnych dyktatur, które w pewnym momencie i tak ich dopadły, co najwyżej zmieniwszy partyjne logo.

Tymczasem Jacinda Ardern nie tylko przez pierwsze trzy lata rządzenia krajem nie dała się wypchnąć z fotela kierowcy, ale jeszcze w tegorocznych wyborach powiększyła stan posiadania partii. 17 października Nowozelandczycy poszerzyli mandat zaufania, który dali jej w 2017 r. Wtedy premierem została niejako z przypadku: kierowani przez nią laburzyści wcale nie wygrali wyborów, ale okazali się bardziej przekonujący w koalicyjnych rozmowach z populistyczną partią New Zealand First (ang. Najpierw Nowa Zelandia). W tym roku pertraktacje były łatwiejsze, bo i Partia Pracy zyskała 18 nowych mandatów, i partner przy stole rozmów był znacznie bliższy ideowo. Jeśli więc nie nastąpi jakiś gwałtowny zwrot akcji, Jacinda Ardern pomaluje nowozelandzki statek w barwy lewicy i pozostanie jego kapitanem co najmniej do 2023 r. „Pani Lider", jak nazywają ją niektóre anglosaskie media, udowodniła, że umie sobie z nim radzić.

W tej chwili może wręcz się wydawać, że w zarządzaniu kryzysowym nie ma sobie równych na świecie. Kiedy 15 marca ub.r. Brenton Harrison Tarrant rozpoczynał procesję śmierci, atakując kolejne meczety w Christchurch i doprowadzając do największej tragedii w historii kraju, zabijając 51 osób, Ardern ani przesadnie nie zamykała się w cierpieniu, ani nie pałała rządzą zemsty. Natychmiast złożyła w parlamencie projekt ustawy zaostrzającej dostęp do broni w Nowej Zelandii – przede wszystkim tych jej rodzajów, których Tarrant użył w czasie masakry. Prawie półtora roku później, gdy zamachowiec stawał przed sądem, szefowa rządu mówiła w imieniu nowozelandzkiego narodu, ale robiła to na tyle umiejętnie, żeby nie uderzać w nacjonalistyczne tony.

FOT. XINHUA NEWS/EAST NEWS

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Tarrant dostał dożywocie bez możliwości ubiegania się o zwolnienie warunkowe, co było pierwszym tego typu i najsurowszym wyrokiem w historii nowozelandzkiej państwowości. I choć tak kategoryczne decyzje sądów bywają czasem trudne dla lewicowych polityków, Ardern ograła to publicznie w idealny sposób. Mówiła, że „bezprecedensowa zbrodnia wymaga bezprecedensowej kary", a jej sprawca zasługuje na życie „w kompletnej ciszy do końca swoich dni".

Ardern na wszystko zdaje się mieć odpowiedź. Swój kraj przeprowadziła przez pandemię praktycznie suchą stopą, dwukrotnie już w tym roku ogłaszając Nową Zelandię „wolną od koronawirusa". Zarzuca się jej, że osiągnęła to drakońskim kosztem zamknięcia wszystkich granic zewnętrznych i praktycznego odcięcia od reszty świata, na co odpowiada, że przecież można do Nowej Zelandii wjechać, trzeba jednak spełniać konkretne wymogi. Już wcześniej zresztą o wizę, nawet turystyczną, bywało trudno, więc pani premier mogła bez problemu stawiać się w roli kontynuatorki polityki poprzedników. Kiedy argumentuje się, że bez otwartych granic upadnie nowozelandzki sektor turystyczny, a wraz z nim wiele źródeł dochodu dla najuboższych, ona stwierdza, że właśnie w ten sposób najuboższych chroni, bo taniej i lepiej dla wszystkich będzie wesprzeć ich publicznymi pieniędzmi, niż leczyć.

W biografii politycznej Jacinda Ardern ma niemal wszystkie niezbędne do przewodzenia dzisiejszej lewicy epizody. Zaczęła wcześnie, szybko szła w górę, w 2008 r. zostając nawet przewodniczącą Młodzieżowej Unii Młodych Socjalistów. W tym samym roku po raz pierwszy weszła do parlamentu, choć akurat wtedy jej partia zaliczała wielką wyborczą klęskę, lądując w opozycji po dziewięciu latach rządów. Ma międzynarodowe doświadczenie – szefując Unii, zjeździła pół świata. Przez chwilę mieszkała też w Londynie, z bliska obserwując być może największy lewicowy upadek ostatnich dekad. Pracując dla grupy doradców Tony'ego Blaira, widziała konsekwencje zbyt ochoczego przyjmowania przez laburzystów liberalnych polityk ekonomicznych i ślepej miłości do amerykańskich paradygmatów geopolitycznych. W 2011 r., kiedy Blair przyjechał do Nowej Zelandii, mało znana jeszcze wtedy Ardern publicznie przepytywała go o przyczyny poparcia przez jego rząd inwazji na Irak w 2003 r. W dodatku dobrze zna problemy wykluczonych i klasy ludowej, sama pracowała w jadłodajni dla bezdomnych i bezrobotnych w Nowym Jorku.

Przeprowadziła kraj przez pandemię praktycznie suchą stopą, dwukrotnie już w tym roku ogłaszając Nową Zelandię „wolną od koronawirusa".

Wreszcie gdy przejmowała rządy w 2017 r., miała zaledwie 37 lat, najmniej ze wszystkich sprawujących władzę kobiet na świecie. A już jako szefowa rządu urodziła dziecko. Czy zatem naprawdę Jacinda Ardern jest dziś idealną figurą lewicowej przywódczyni?

Nie do końca. O ile bowiem udało się jej zneutralizować rywali z drugiej strony sceny politycznej, o tyle regularnie krytykują ją pozapartyjni lewicowi aktywiści. Zaszła za skórę związkom zawodowym, obiecując wprowadzenie Paktu Fair Play (Fair Play Agreement, FPA). Ustawa miała pozwalać na negocjowanie stawek wynagrodzenia w całej gospodarce, a nie pojedynczych sektorach, dawała też związkom lepszą pozycję negocjacyjną w rozmowach z pracodawcami. Gdy jednak jej koszty okazały się zbyt wysokie, Ardern wstrzymała FPA na poziomie ministerstwa przedsiębiorczości i nigdy już do niego nie wróciła.

Lewicę buduje na walce o takie kwestie jak ekologia oraz równouprawnienie kobiet i mężczyzn.

Lewicowi publicyści zarzucają jej też, że ignoruje rosnącą w kraju biedę, która według danych tamtejszej rady Chrześcijańskich Pracowników Socjalnych dotyka już ponad 660 tys. osób, czyli ok. 15% społeczeństwa. W pierwszym roku u władzy szefowa rządu obiecywała znaczące podniesienie budżetu na politykę socjalną, skończyło się na podniesieniu go o symboliczne 3%. Co więc z tego, pytają jej krytycy, że wynik wyborczy Partii Pracy był najlepszym rezultatem jakiejkolwiek partii politycznej od 1951 r., skoro nie przekłada się to na korzyści dla lewicowych wyborców?

Być może właśnie w tym szukać należy źródeł popularności i wyborczych sukcesów Ardern, ale także niezadowolenia z jej rządów po lewej stronie. W tegorocznych wyborach Partia Pracy okazała się najlepsza w każdej grupie elektoratu. Młodzi-starzy, miasto-wieś, bogaci-ubodzy, lepiej i słabiej wykształceni – wszędzie wygrała ekipa pani premier. Nie da się jednak osiągnąć takiego sukcesu, ograniczając się do lewicowych tradycji. Nowozelandzka premier czerpie z nich, ale często selektywnie. Lewicę buduje nie na tożsamościach klasowych, tylko na walce o kwestie, które te tożsamości przebijają, takie jak katastrofa klimatyczna, równouprawnienie kobiet i mężczyzn. Nie boi się odważnych decyzji – otworzyła w kraju debatę o eutanazji, rozpisała referendum i przy okazji wyborów 17 października je wygrała (65% głosujących opowiedziało się za wprowadzeniem prawa do niej). Jacinda Ardern jest zatem skuteczną, nowoczesną przywódczynią. Czy lewicową? Dla wielu przestało to już mieć znaczenie.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

W nowym numerze tygodnik „NIE" radzi Kaczyńskiemu, dokąd wyjechać, żeby już tu nie wrócić.

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Włodzimierz Galant
korespondencja z Danii

Wyczyny seksualnych drapieżców

Skandal obyczajowy w szeregach duńskich socjaldemokratów

W styczniu 2010 r. burmistrzem Kopenhagi został socjaldemokrata Frank Jensen. Urodzony w 1961 r. polityk i samorządowiec, wieloletni parlamentarzysta, zdążył wcześniej być ministrem ds. badań, a w kolejnym rządzie ministrem sprawiedliwości (w Danii szef tego resortu jest też zwierzchnikiem policji). Żonaty, ma dwoje dzieci. W poniedziałek 19 października 2020 r. w samo południe poinformował, że rezygnuje ze stanowiska burmistrza i odchodzi z polityki.

Burmistrz Frank Jensen musiał zrezygnować, gdy na jaw wyszły jego zachowania wobec partyjnych koleżanek i pracownic ratusza.

Pikantne opowieści z Folketingu

We wrześniu tego roku na Wyspach Duńskich nieźle się zagotowało, kiedy podczas transmitowanej na żywo gali rozdania środowiskowych nagród odbierająca wyróżnienie młoda dziennikarka poinformowała, że gdy kilka lat wcześniej zaczynała karierę, jeden z ważnych dyrektorów duńskiego radia powiedział jej, że albo ona pójdzie z nim do łóżka, albo on ją zniszczy. Wyznanie to ośmieliło kilkaset (!) innych kobiet ze świata mediów i po kilkunastu dniach dyrektorzy radiowi, telewizyjni, szefowie działów i redakcji zaczęli odchodzić. W większości przypadków przechodzili na emeryturę, szli na urlop albo zmieniali pracę. Niektórzy potrzebowali do podjęcia właściwej decyzji – przez nich samych lub przez ich przełożonych – oświadczeń kobiet, które molestowali. Obecnie jednak środowisko dziennikarskie w Danii jest gruntownie odmłodzone i wie już, czego robić nie wolno. Że nawet uwagi w rodzaju „twoje perfumy pachną seksem" albo pytania o kolor bielizny koleżanek lub podwładnych są niedopuszczalne.

Po dziennikarkach odezwały się panie pracujące w służbie zdrowia. I również nastąpiła błyskawiczna wymiana męskich kadr na stanowiskach kierowniczych, chociaż już nie tak masowa. Potem przyszła kolej na uczelnie. Równocześnie toczyły się dość wstydliwe dla wielu polityków – bo w praktyce publiczne – dyskusje w kilku ugrupowaniach, w których ostatecznie część nadmiernie jurnych szefów i zwykłych członków także została odstawiona na boczny tor lub pożegnała się z partią. Zawrzało na moment wokół ministra spraw zagranicznych Jeppego Kofoda, ale on jakimś cudem ocalał. W tym czasie pożar już na dobre szalał w duńskim parlamencie, Folketingu, gdzie doszło do czyszczenia się różnych partii, gdy okazało się, że od lat posłanki ostrzegały się przed mającymi skłonności do podszczypywania (i nie tylko) kolegami z własnych, koalicyjnych lub opozycyjnych ugrupowań. I uprzedzały, z którym panem stanowczo nie należy wchodzić do windy sam na sam. Natychmiast przyłączyły się do nich urzędniczki Folketingu, których seksistowskie zachowania również nie omijały. Wyciąganie na światło dzienne rozmaitych, bardziej lub mniej pikantnych faktów musiało skończyć się tak, jak się skończyło: w wyniku trwającej zaledwie trzy dni burzy medialnej Frank Jensen zrezygnował z prestiżowej funkcji zarówno burmistrza Kopenhagi – a socjaldemokraci byli burmistrzami stolicy nieprzerwanie od ponad 100 lat – jak i wiceprzewodniczącego partii. Bo wielokrotnie przy okazji partyjnych czy innych spotkań i imprez zbierało mu się na nieodpowiednie karesy w stosunku do koleżanek lub pracownic ratusza. Rezygnację natychmiast pochwaliła partyjna koleżanka Franka Jensena Mette Frederiksen, sprawująca obecnie urząd premiera i jednocześnie szefowa socjaldemokratów.

Łóżkowe seminarium z aktywistką

Frank Jensen, którego poznałem osobiście, jest wyjątkowo sympatycznym (dla kobiet może mniej) człowiekiem. To zawsze dobrze ubrany, dobrze wychowany (?), kulturalny (?),

eprasa.pl 7f3ef78ddd

wykształcony, władający biegle angielskim mężczyzna o klasycznej urodzie filmowego amanta. Jako burmistrz Kopenhagi dał się poznać m.in. z tego, że podczas dorocznych parad środowisk LGBT udzielał ślubów parom jednopłciowym z całego świata. Był też krystalicznie, chorobliwie wręcz uczciwy, o czym świadczy historia opowiedziana przez jednego z duńskich taksówkarzy. Otóż wracający wieczorem z jakiegoś spotkania Jensen zapłacił służbowym voucherem jedynie za drogę do ratusza, tj. swojego miejsca pracy, i poprosił o rachunek. Po czym w tej samej taksówce kontynuował jazdę do domu, płacąc już za resztę trasy własną, prywatną kartą bankową. I gdyby nie głupie, maczystowskie zachowania, o których sam mówił, że to niedobre wzorce, w dalszym ciągu byłby szanowanym politykiem. No i gdyby nie nowe pokolenie partyjnej młodzieży, które nie ma żadnego respektu i zrozumienia dla „męskich" zachowań starych wyjadaczy.

Znacznie bardziej nieciekawie przedstawia się sprawa Jeppego Kofoda, który cudem uratował głowę we wrześniu. Wyrok skazujący i kolejne kłopoty dla kierownictwa socjaldemokratów są prawdopodobnie tylko kwestią czasu. W 2008 r. Kofod został zaproszony na wielkanocne seminarium partyjnej młodzieżówki w miejscowości Esbjerg na Półwyspie Jutlandzkim. Impreza była tak szampańska, że 34-letni wtedy Jeppe zakończył ją w swoim pokoju i łóżku z 15-letnią aktywistką. Zgodnie z duńskim prawem nie podlegałby karze, gdyby nie fakt, że jak twierdzą niektórzy, gimnazjalistkę i polityka łączyła zależność podobna do tej, która jest między uczniem i nauczycielem. A w takich wypadkach duńskie prawo wszelkiego rodzaju relacje i czynności seksualne z osobą poniżej 18. roku życia traktuje jako gwałt. Krótko przed feralną nocą Jeppe Kofod poznał 15-latkę w Folketingu, gdy odbywała rodzaj stażu jako członkini młodzieżowej przybudówki partii. W związku z tym sytuacja zapewne zostanie zakwalifikowana jako podpadająca pod paragraf mówiący o gwałcie na nieletniej.

Frank Jensen i Jeppe Kofod mogli przez wiele lat bez przeszkód robić partyjną karierę.

Seksualni drapieżcy pod skrzydłami szefowych

I tu dochodzimy do sedna problemu, z którym socjaldemokratom przyjdzie się zmierzyć w najbliższych dniach. Od roku 2005 do chwili obecnej partii duńskich socjaldemokratów nieprzerwanie szefowały dwie panie: Helle Thorning-Schmidt (premier Danii w latach 2011-2015), a po niej obecna premier Mette Frederiksen. W roku 2008, gdy finał imprezy integracyjnej w Esbjergu wyszedł na jaw, Helle Thorning-Schmidt zachowała się tak, jak to się robiło „od zawsze" – Jeppe Kofod został na pięć miesięcy odsunięty od sprawowanych funkcji partyjnych. Po czym wszystko ucichło i uznano, że jest po sprawie. Teraz, po wycofaniu się z polityki Franka Jensena, Mette Frederiksen będzie musiała nie tylko pozbyć się Jeppego Kofoda, ale na dodatek tłumaczyć, dlaczego nie usunięto go i nie osądzono od razu, w roku 2008, a także dlaczego przed zaledwie miesiącem uznała, że jego czyn nie stanowi przeszkody w piastowaniu przez niego funkcji ministra. Czeka ją wiele bardzo trudnych i kłopotliwych pytań, które poważnie osłabią jej pozycję. Opinia publiczna będzie bowiem chciała wiedzieć, w jaki sposób tacy seksualni drapieżcy (określenie to pojawiło się w duńskich mediach kilka godzin po rezygnacji burmistrza Kopenhagi) jak Frank Jensen i Jeppe Kofod mogli przez tyle lat bez przeszkód robić karierę pod skrzydłami dwóch szefowych partii. Wygląda na to, że zaskoczenie Franka Jensena, że tak nagle dobrano mu się do skóry, może być nie tylko autentyczne, ale i całkowicie uzasadnione. No bo jeżeli przez tyle lat jego zachowania były w pewien sposób akceptowane – w końcu nie były nieznane – to skąd teraz taki atak na niego? Podobnie zdziwiony będzie zapewne Jeppe Kofod, gdy na dniach przyjdzie mu się kajać za brak rozsądku.

Od lat posłanki ostrzegały się przed mającymi skłonności do podszczypywania kolegami z własnych, koalicyjnych lub opozycyjnych ugrupowań.

Nie ulega wątpliwości, że to, co wydarzyło się w minionych tygodniach na Wyspach Duńskich, jest bezpośrednim następstwem, można powiedzieć drugą falą, powstałego w roku 2017 ruchu #MeToo, kiedy to amerykańskie aktorki zaczęły opowiadać o skandalicznych lub wręcz przestępczych zachowaniach niewyżytych seksualnie kolegów ze świata filmu. Jeden z komentatorów przypomniał przy tej okazji znane powiedzenie, że władza korumpuje. W tym wypadku należy je rozumieć tak, że władza odbiera rozum i normalni wcześniej mężczyźni, często tzw. porządni ojcowie rodzin, nagle głupieją na widok kobiet i wydaje im się, że mogą więcej.

Podnoszący tę sprawę dziennikarz uważa, że na kursach dla kadr kierowniczych lub w momencie mianowania urzędników, polityków itp. na kolejne stanowiska każdorazowo powinno się ich ostrzegać następującą formułką: „Gratuluję/gratulujemy awansu. Pamiętaj, że od tej chwili znacząco wzrasta zagrożenie, że możesz stać się przekraczającym wszelkie normy i granice draniem". ■

FOT. SCANPIX/REUTWES/FORUM

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Ortodoksi budzą gniew

W Izraelu wirus zwiększa podział między religijnymi Żydami a świeckim społeczeństwem

Tomasz Skowronek

Gdy na początku października z powodu koronawirusa zmarł 64-letni ortodoksyjny rabin Mordechaj Leifer, izraelska policja postanowiła wypracować porozumienie z jego zwolennikami, aby umożliwić pogrzeb zgodny z wytycznymi w sprawie zdrowia publicznego. Ale na pogrzebie pojawiły się tysiące ludzi, ignorując zasady dystansu społecznego, doszło do zamieszek i starć z siłami porządkowymi. „[Policja] nas nienawidzi, nienawidzi religii. To jest wojna z religią, nic więcej", skomentował Yulish Krois, ultraortodoksyjny rabin i ojciec osiemnaściorga dzieci.

Takie naruszenia obostrzeń przez ultraortodoksyjną populację, która w większości nie przestrzega ograniczeń nałożonych przez władze, rozgniewały izraelską opinię publiczną i wywołały nową falę niechęci ze strony świeckich Izraelczyków.

„Mamy problem. Niektóre grupy po prostu nie przestrzegają zasad – przyznaje Moshe Morgenstern, koordynator ds. zdrowia w mieście Bene Berak. – Próbujemy rozmawiać z ich przywódcami, rabinami. Staramy się z nimi pracować". Morgenstern dodaje, że śmiertelność nie jest wyższa niż w pozostałej części kraju podczas drugiej fali pandemii: „Grupa wiekowa zarażonych jest młoda; wielu to uczniowie jesziwy. To jednocześnie dobrze i źle".

12% z prawie 9 mln Izraelczyków stanowią *charedim*, czyli członkowie konserwatywnych ugrupowań religijnych. Nigdzie w Izraelu nie mieszka tak wielu ultraortodoksów jak w Bene Berak. W 185-tysięcznym mieście są idealne warunki do rozprzestrzeniania się COVID-19. Żyje tu o połowę mniej ludzi niż w Tel Awiwie, ale liczba zarejestrowanych przypadków zakażeń jest dwukrotnie wyższa. Lokalne wybuchy epidemii w społecznościach ultraortodoksyjnych grożą jej wymknięciem się spod kontroli w całym Izraelu. „Przestrzegamy zasad Tory, a nie państwa", można usłyszeć od mieszkańców Bene Berak. U *charedim* na kobietę przypada średnio siedmioro dzieci, są więc najszybciej rozwijającą się grupą demograficzną Izraela.

Dyrektor generalny Ministerstwa Zdrowia Chezy Levy powiedział dziennikarzom, że ok. 34% osób, u których zdiagnozowano wirusa, było ultraortodoksami. Natomiast dr Ronni Gamzu, główny ekspert rządu ds. zdrowia i powstrzymania pandemii, podał jeszcze wyższą liczbę, twierdząc, że ok. 40% niedawno potwierdzonych przypadków to *charedim*.

Duża część ortodoksów uważa, że ich sposób życia wystarczająco chroni przed wirusem.

„Myślę, że są trzy główne powody", mówi Netanel Ben Ari, znawca tematyki *charedim*, w rozmowie z niemieckim „Die Zeit". Ben Ari urodził się w Bene Berak, obecnie mieszka w Hajfie. 10 lat temu żył wśród ultraortodoksów. „Po pierwsze, należy zadać pytanie, co ich najbardziej cieszy i nadaje sens ich życiu. Dla ultraortodoksów to udział we wspólnej modlitwie. Po drugie, w społeczności panuje duża nieufność wobec władz państwowych. Po trzecie, są w niej konflikty i brakuje jednolitego postępowania wobec pandemii". Bene Berak, podobnie jak inne ultraortodoksyjne miasta i dzielnice, od początku pandemii znajduje się w centrum uwagi jako jedno z epicentrów zarazy. Duża część tamtejszego społeczeństwa uważa jednak, że jej sposób życia wystarczająco chroni przed wirusem. Według maksymy żydowskich mędrców „ten, kto studiuje Torę, chroni cały świat".

Z doniesień izraelskich mediów wynika, że niektórzy rabini wydają się wspierać koncepcję „odporności stadnej" wśród młodych uczniów, chociaż nie jest jasne, w jaki sposób ma ona chronić innych. Już w marcu jeden z rabinów ogłosił, że „odwołanie studiów nad Torą jest bardziej niebezpieczne niż koronawirus". Natomiast niedawno „The Jerusalem Post" poinformował, że ultraortodoksyjni uczniowie powrócili do charedimskich szkół podstawowych Talmud-Tora i średnich Yeshiva Ketana w zarażonych dzielnicach, w tym w Bene Berak, Beitar Illit, El'ad oraz na niektórych przedmieściach Jerozolimy. Stało się to mimo decyzji rządu o zamknięciu placówek edukacyjnych w miejscach oznaczonych na czerwono na mapie epidemicznej Izraela. 92-letni rabin Chaim Kanievsky, sam zakażony koronawirusem, nakazał otwarcie szkół powiązanych z jego grupą, po tym jak nie osiągnięto porozumienia w sprawie ponownego uruchomienia placówek edukacyjnych.

Kolejnym miastem dotkniętym wysokimi wskaźnikami zarażeń koronawirusem jest Jerozolima, a w niej ultraortodoksyjna dzielnica Me'a She'arim. W ostatnich dniach nasiliły się tam starcia z policją, oskarżaną o zbyt radykalne egzekwowanie ograniczeń. Okolica jest także domem dla kilku konserwatywnych sekt, które odrzucają autorytet państwa. Brak dystansu społecznego wśród niektórych ortodoksyjnych Żydów i warunki mieszkaniowe oraz liczne rodziny również sprzyjają zakażeniom. „Żyjąc razem z tyloma osobami, prawie niemożliwe jest kontrolowanie sytuacji", zauważa Nechemia Steinberger, dyrektor fundacji *non profit* Kemach, która zapewnia pracę ultraortodoksom. „Stłoczenie naraża

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Pogrzeb rabina Mordechaja Leifera zgromadził tłumy wiernych. O zachowaniu dystansu nie było mowy.

ich na znacznie większe ryzyko", dodaje Hagai Levine, profesor Uniwersytetu Hebrajskiego i przewodniczący izraelskiego Stowarzyszenia Lekarzy Zdrowia Publicznego.

Ortodoksi od dawna są oddzieleni od głównego nurtu życia. Wielu nie obchodzi izraelskich świąt patriotycznych. Są przeciwni syjonizmowi – ideologii żydowskiego nacjonalizmu, która doprowadziła do powstania Izraela w 1948 r. Otrzymują zwolnienia ze służby wojskowej, obowiązkowej dla innych Żydów, a niektórzy unikają zatrudnienia, pobierając stypendia socjalne, aby mieć więcej czasu na naukę i studiowanie pism. Wielu Izraelczyków uważa, że ortodoksi żyją na ich koszt. Denerwuje ich również, że świecka większość musi się podporządkować religijnym regułom funkcjonowania kraju – np. w szabat nie działa komunikacja miejska. COVID-19 pogarsza i tak już napięte stosunki między ultraortodoksyjną mniejszością a świecką większością w takich kwestiach jak edukacja, prawa kobiet i pobór do izraelskiej armii. Debata na te tematy powróciła w ostatnich tygodniach.

Właściciele firm, którzy przez całe życie płacili podatki, bankrutują z powodu zamykania ich działalności, podczas gdy ultraortodoksi zachowują się tak, jakby mieli całkowitą autonomię. Dodatkowo *charedim* mają znaczącą siłę polityczną, stanowią twardy i znaczący elektorat partii prawicowych. Dwie partie reprezentujące ultraortodoksyjną społeczność, Szas i Zjednoczony Judaizm Tory, od dawna są kluczowymi partnerami koalicyjnymi wielu rządów. Premier Beniamin Netanjahu, którego rząd wspierają ultraortodoksyjni politycy, został oskarżony przez świeckich przywódców o zbyt łagodne traktowanie mniejszości ze szkodą dla reszty. Coraz częściej pojawiają się opnie, że sojusz premiera z partiami religijnymi szkodzi mu publicznie i politycznie.

Wielu Izraelczyków jest przekonanych, że ultraortodoksi żyją na ich koszt.

Na początku września dr Gamzu naciskał na rząd, aby wprowadzić *lockdown* na obszarach czerwonych, tam, gdzie nasilenie epidemii było największe, w tym wśród wielu ortodoksyjnych społeczności. Jednak pod presją ultraortodoksyjnych przywódców Netanjahu nie zdecydował się na takie rozwiązanie, zamiast niego zastosował ogólnokrajową blokadę. „Netanjahu tak bardzo boi się swoich partnerów charedimskich, że ogłosił, że zamyka cały naród bez potrzeby blokowania całego kraju", powiedział agencji The Associated Press lider opozycji Yair Lapid. Na Twitterze natomiast skrytykował zbyt łagodne podejście rządu do placówek religijnych, które mimo zakazu otworzyły swoje oddziały. „Gdybym był premierem, instytucje edukacyjne, które nie zastosowały się do rozporządzeń, dostałyby grzywnę nie 5 tys. szekli, ale 100 tys. Instytucje edukacyjne, które nie przestrzegają rozporządzeń, nie dostaną ani grosza od państwa. Ma to na celu nie atakowanie ultraortodoksów, ale pomoc. To uratuje im życie".

W podobnym tonie wypowiada się Tamar Zandberg, przewodnicząca lewicowej partii Merec. Określiła ona to posunięcie premiera jako „poddanie się ultraortodoksom", dodając w odniesieniu do toczącego się postępowania karnego przeciw szefowi rządu, że „Netanjahu potrzebuje tego sojuszu (z ultraortodoksami – przyp. red.), aby uzyskać immunitet, a wszyscy zapłacimy za to wysoką cenę w postaci zdrowia lub życia". Premier wpadł w pułapkę. Jeśli podejmie kroki przeciwko ultraortodoksom, straci ich poparcie, a bez tego nie będzie mógł dłużej pełnić funkcji. Z drugiej strony – jeśli ulegnie, prawdopodobnie straci rzesze własnego elektoratu.

Eksperci twierdzą, że wszelkie korzyści uzyskane w ostatnich latach dzięki integracji ortodoksów ze społeczeństwem izraelskim – kluczowy krok w celu zapewnienia zrównoważonego wzrostu gospodarki – mogą zostać zniweczone przez odnowioną wrogość. „Koronawirus kiedyś zniknie – mówi Yedidia Stern, ekspert ds. religii i państwa z Israel Democracy Institute, jerozolimskiego think tanku – ale pytanie brzmi: jakim społeczeństwem pozostaniemy?". ■

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Chinizm a przyszłość świata

Wielka chińska transformacja. Ze świata trzeciego do pierwszego

Grzegorz W. Kołodko

Czas ilości nigdy nie minie, ale nadszedł czas jakości nowej generacji. Współcześnie, a jeszcze bardziej w przyszłości, sukcesy gospodarcze zależeć będą w malejącym stopniu od posiadanych surowców naturalnych oraz zasobów kapitału rzeczowego i finansowego, a w coraz większej mierze od kapitału ludzkiego. Gospodarka od zarania dziejów jest oparta na wiedzy, ale nigdy dotychczas od zasobów tej wiedzy nie zależało tak wiele, jak obecnie.

To właśnie wiedza i umiejętności jej zdyskontowania w procesach produkcji i wymiany będą przesądzać, kto znajdzie się w gospodarczej czołówce świata. To w rosnącym stopniu właśnie od wiedzy zależy konkurencyjność gospodarek, z czego Chiny w pełni zdają sobie sprawę. Inwestują zatem coraz więcej czasu i środków w wiedzę i postęp technologiczny. W górę pną się na światowych listach rankingowych chińskie uniwersytety, choć daleko im jeszcze do szczytów, które okupowane są prawie w całości przez uczelnie amerykańskie i brytyjskie (w pierwszej dziesiątce jest jedna jedyna kontynentalna uczelnia europejska, szwajcarski ETH, Swiss Federal Institute of Technology w Zurichu), z MIT, Uniwersytetem Stanforda i Harvardem na podium, ale już na 16. miejscu jest Uniwersytet Tsinghua, a na 22. Uniwersytet Pekiński. W rankingach uczelni technicznych Tsinghua jest tuż za MIT i słychać fachowe opinie, że to kwestia kilku lat, kiedy stanie się światowym liderem. (…)

Gospodarka wszak jest dla ludzi, nawet jeśli polityka o tym niekiedy zapomina, a gospodarka traktuje ich wybiórczo. Nie wolno bezkrytycznie ulegać imponującym osiągnięciom w rodzaju wspaniałej linii wieżowców Pudong w Szanghaju czy też 38 tys. km linii szybkich kolei, bo trzeba też wiedzieć, że zaledwie ok. 2% chińskiego PKB jest przeznaczanych na publiczną ochronę zdrowia, a gwarantowany minimalny dochód miesięczny, *dibao*, wynosi nader skromnych 600 juanów, co nie wystarcza na wiele więcej niż miskę ryżu dziennie. Można podziwiać architektoniczną doskonałość budynku opery w Zhuhai, która swoim pięknem konkurować może z operą w Sydney, ale nie można przechodzić obojętnie obok faktu, że przy niejednej okazji ruguje się chłopów z ich pól, przejmując w skorumpowanych procesach grunty pod budowę wątpliwej urody megaosiedli mieszkaniowych. Nie sposób nie zachwycać się zasięgiem i dynamiką forum społecznościowego Weibo i megaaplikacją WeChat, z których korzystają setki milionów osób, ale nie można nie narzekać na fakt, że internetowy serwis BBC News jest blokowany przez skądinąd technologicznie zaawansowany Great Firewall. Tak oto obraz jest wielce złożony.

Dla przyszłości decydujące będzie, w jakim stopniu i tempie dokonywać się będą zmiany w zakresie zaspokajania zmiennych potrzeb ludności. A tej w krajach na dorobku jest coraz więcej, a w krajach bogatych, z wyjątkami przyjmującymi imigrantów, coraz mniej. W Chinach już wkrótce ludność przestanie rosnąć, za to nadal będzie się starzeć. (…)

O kondycji społeczeństwa i samopoczuciu ludzi, a zwłaszcza o położeniu ich gospodarstw domowych i ocenie indywidualnej sytuacji ekonomicznej, nie decyduje ani wielkość gospodarki, ani liczebność narodu. To, że „jesteśmy najwięksi" czy „więcej nas niż was", ma jakieś znaczenie – bardziej polityczne niż psychologiczne – ale dobrobyt i jego subiektywne odczucie niewiele poprawia się w Chinach z samego tylko faktu, że wciąż jeszcze najwięcej ich na świecie i że najwięcej, licząc PSN, wytwarzają. Podobnie jak mały powód do radości mają (dajmy na to) Indonezyjczycy, że jest ich siedem razy więcej niż Polaków i że w sumie wytwarzają prawie trzy razy więcej, skoro PKB na mieszkańca w tym pierwszym kraju wynosi zaledwie 42% tejże kategorii w tym drugim, w którym m.in. z tego powodu żyje się, przeciętnie biorąc, o prawie pięć lat dłużej. W Chinach żyje się już tylko o dwa lata krócej niż w USA, odpowiednio 77 i 79 lat, ciesząc się przeciętnym dochodem bardzo szybko rosnącym, ale nadal

eprasa.pl 7f3ef78ddd

wynoszącym zaledwie 30% dochodu amerykańskiego, który w 2019 r. wyniósł 64,7 tys. dol. (…)

Zgodzić się należy z poglądem, że trzeba rozróżniać liberalny kapitalizm, jaki ewolucyjnie wyłonił się na Zachodzie w długim historycznym procesie, i państwowy kapitalizm, jaki zrodził się wskutek krótszego procesu historycznego w wielu krajach pokolonialnych – onegdajszym Trzecim Świecie – oraz w niektórych państwach posocjalistycznej transformacji. W tej pierwszej grupie państwowego kapitalizmu za klasyczny przykład można uznać takie gospodarki, jak Arabia Saudyjska czy Egipt, w tej drugiej z kolei takie, jak Rosja czy Białoruś.

Chiny są jakościowo inne i nie da się ich wtłoczyć do tego schematu. W ich przypadku nie mamy do czynienia ani z komunizmem, jak tego wciąż chcą niektórzy, ani z kapitalizmem, nawet przyozdobionym tym czy innym przymiotnikiem, lecz z odmienną jakością. To odrębny system polityczno-społeczno-gospodarczy, który określam jako chinizm. Nie jest to żaden uległy etatyzacji i scentralizowanej biurokracji *Beijing Consensus*, który przez jakiś czas usiłowano lansować jako antytezę neoliberalnego *Washington Consensus*. Choć pewnych analogii pomiędzy tymi koncepcjami można się dopatrywać, to istotnych różnic jest zdecydowanie więcej. Nie jest to też prosty okres przejściowy od gospodarki planowej do rynkowej, choćby w postaci państwowego kapitalizmu.

W trakcie kilku minionych dekad nikt tak dobrze jak Chiny nie wykorzystał globalizacji do własnego rozwoju.

O prawdziwej naturze państwa, społeczeństwa i gospodarki decydują nie deklaracje, lecz twarde fakty. Jednak język jest również ważny. W przypadku Chin znaczenie mają w szczególności wyrażenia stosowane w oficjalnych dokumentach rządowych i propagandzie partyjnej. Kiedy w 1989 r. zespół naukowców UNU-WIDER realizował projekt badawczy dotyczący reform gospodarczych w krajach socjalistycznych, podejście chińskiego badacza wywołało wiele kontrowersji. Jego analiza opierała się bardziej na opisie ewolucji słownictwa stosowanego w Chinach w celu wyjaśnienia reform systemowych niż na interpretacji zmian instytucjonalnych oraz rzeczywistych wydarzeń i procesów. Zaiste proces transformacji można śledzić przez pryzmat narracji oraz treści haseł i terminów wykorzystywanych w dokumentach, literaturze specjalistycznej i mediach. Trzy dekady później narracja o systemie i polityce, zwłaszcza gospodarczej, jest już inna i wciąż ewoluuje, podobnie jak rzeczywistość, którą próbuje opisać.

W Chinach nie mamy do czynienia ani z komunizmem, ani z kapitalizmem, lecz z odmienną jakością.

Poważną kwestią są sformułowania użyte w statucie Komunistycznej Partii Chin. Zmieniał się on stosunkowo często, podobnie jak wyrażenia opisujące rdzeń systemu. W wersjach przyjętych w latach 1969, 1973 i 1977 (czas przywództwa Mao Zedonga) stwierdzano: „Podstawową zasadą KPCh jest całkowite obalenie klasy kapitalistycznej i wszystkich innych klas wyzyskujących, zastąpienie kapitalistycznej dyktatury, pokonanie kapitalizmu socjalizmem". W statucie z 1982 r. wyrażenie to zniknęło i zostało zastąpione takim zwrotem: „Według teorii Marksa i Engelsa (…) dyktaturę kapitalistyczną zastąpi dyktatura proletariacka". 20 lat później, w 2002 r., fraza ta również jest pominięta. Aktualna konstytucja rządzącej monopartii, przyjęta na jej zjeździe w 2017 r., nadal twierdzi, że to „marksizm-leninizm wskazuje prawa rządzące rozwojem historii społeczeństwa ludzkiego", ale ponadto dodaje, że KPCh korzysta z „myśli Mao Zedonga, teorii Deng Xiaopinga, teorii trzech reprezentacji, naukowych poglądów na temat rozwoju oraz myśl Xi Jinpinga o socjalizmie z chińskimi cechami dla nowej ery jako wytycznych do działania".

Francis Fukuyama twierdzi, że Chiny od czasu przejęcia władzy przez ekipę Xi Jinpinga w 2012 r. zmierzają od systemu autorytarnego do totalitarnego. O ile jest to wielce dyskusyjny, jeśli wręcz nie błędny pogląd, o tyle Fukuyama ma rację, że postępujący proces centralizacji i limitowania i tak już bardzo ograniczonej demokracji, może być powstrzymany i odwrócony jedynie przez siły wewnętrzne. Zewnętrzne naciski i sankcje, niechęć i otwarta wrogość, wywyższanie się ze swoim lepszym systemem liberalnej demokracji i próby jej narzucania prowadzą na manowce. Tym bardziej że „niestety, od trzech i pół lat Stany Zjednoczone czynią wszystko, aby się osłabić. Wybrały lidera, który lubuje się w demonizowaniu swoich krajowych oponentów zdecydowanie bardziej niż zagranicznych rywali, który beztrosko odrzucił moralne wyżyny stanowiące fundamenty amerykańskiej globalnej potęgi, który niekompetentnie rządzi krajem podczas największego od trzech pokoleń kryzysu. Nie traktują go zatem poważnie ani przyjaciele, ani wrogowie". Trzeba zatem zgodzić się z jego konkluzją, a dokładniej z jej pierwszą częścią: „Zanim będziemy mogli pomyśleć o zmianie Chin, musimy zmienić Stany Zjednoczone i spróbować przywrócić im pozycję globalnego drogowskazu liberalnych wartości demokratycznych na całym świecie".

Z częścią drugą natomiast zgodzić się nie sposób, gdyż wskutek wpierw blamażu neoliberalizmu, a teraz katastrofalnej kompromitacji liberalnej demokracji w czasie prezydentury Donalda Trumpa, wyobrażanie sobie przyszłości USA jako światowego lidera demokracji jest przejawem myślenia życzeniowego. Ta szansa została zaprzepaszczona już nieodwołanie. Nie było jej chyba już nawet kilkanaście lat wcześniej. Wtedy polemizowałem ze Zbigniewem Brzezińskim, który w 2007 r. pisał o „drugiej szansie" na objęcie światowego przywództwa (pierwsza, wykorzystana, nastąpiła po końcu zimnej wojny i upadku Związku Radzieckiego). Miała ona polegać na pokonaniu przez demokratę republikańskiego pretendenta do reelekcji do Białego Domu, a co za tym szło na zmianie amerykańskiej polityki wewnętrznej i zagranicznej. Choć tak się stało, wygrał bowiem Barack Obama, to USA nie były już w stanie przywrócić

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 7f3ef78ddd

swojej hegemonistycznej i przywódczej pozycji. Jak pisałem wtedy, tak uważam i dziś: by pretendować do światowego przywództwa, trzeba zatroszczyć się o świat, a nie o własne interesy, często wręcz kosztem reszty tego świata. Niewątpliwie tak wtedy, jak i teraz możliwość takiej ponownej globalnej ekspansji Stanów Zjednoczonych została zablokowana przez ekspansję Chin. Trzeba nie tylko przyjąć to do wiadomości, lecz pójść dalej – układać się, szukać kompromisów i tworzyć pozytywną synergię, a nie śnić o indywidualnej superpotędze.

Sui generis chinizm to synkretyczny ustrój gospodarczy opierający się na wielości form własności środków produkcji z silną polityką makroekonomiczną i limitowaną kontrolą państwa w odniesieniu do zarządzania w skali mikroekonomicznej. Deregulacja podporządkowana jest utrzymywaniu aktywności przedsiębiorstw na kursie zgodnym z zakładanymi celami społecznymi i politycznymi wyznaczanymi przez rządzącą partię. Szeroko stosowany, elastyczny, ale ogólnie daleko posunięty jest interwencjonizm gospodarczy, który wykorzystuje zarówno indykatywne planowanie adresowane do sfery biznesu, jak i nakazowe planowanie wobec niektórych przedsiębiorstw sektora państwowego i w odniesieniu do infrastruktury. Polityka państwa, zarówno rządu i władz lokalnych, jak i banku centralnego, posługuje się również klasycznymi instrumentami interwencjonizmu rynkowego. Zasadniczo zdecentralizowany jest system stanowienia cen, co – pomimo nie do końca utwardzonych ograniczeń budżetowych w stosunku do przedsiębiorstw publicznych – gwarantuje zachowanie dynamicznej równowagi pieniężno-rynkowej.

Dzięki chinizmowi udało się jednocześnie wyeliminować syndrom niedoborów i utrzymywać inflację cenową pod skuteczną kontrolą. Nie udało się to natomiast w żadnej z byłych gospodarek państwowego socjalizmu, w Związku Radzieckim i gospodarkach Europy Środkowo-Wschodniej, co było głównym powodem ich ekonomicznego, i w ślad za tym politycznego upadku.

Takiemu hybrydowemu systemowi gospodarczemu towarzyszy autorytarne, monopartyjne państwo ze scentralizowaną władzą opierającą się zasadniczo na merytokracji. Realizowana przez władze polityka jest kompetentna i odpowiedzialna. Jest ona przy tym zorientowana na realizację długofalowych celów strategicznych, czemu podporządkowane są zadania średniookresowe i doraźne. Władze wykorzystują tradycyjne i nowoczesne metody oddziaływania na społeczeństwo, w tym uciekają się do jego kontroli pod kątem zachowań zgodnych z ogólnym kierunkiem rozwoju nakreślanym przez partię oraz władzę ustawodawczą i wykonawczą. Przy oddziaływaniu na społeczeństwo sięga się do środków tak zróżnicowanych, jak odwoływanie się do Konfucjańskiej filozofii i quasi-religii z jednej strony czy też do nowoczesnej inwigilacji elektronicznej z drugiej strony. Cyfryzacja komunikacji społecznej w rosnącej mierze wykorzystywana jest do sterowania dialogiem publicznym, w tym wpływania na treści rozpowszechniane na forach społecznych.

To od wiedzy zależy konkurencyjność gospodarek, z czego Chiny w pełni zdają sobie sprawę.

Chinizm to nie jest zawrócenie z drogi rynkowych reform i powrót do omnipotencji państwowego sektora w gospodarce; to zbyt uproszczony obraz wielce skomplikowanej rzeczywistości. Państwo odgrywa istotną rolę – przede wszystkim jako regulator, ale także jako właściciel części środków produkcji – jednak nie wypiera rynku i go nie zastępuje, lecz koryguje, wspiera i tworzy z nim synergię. (…)

Do krajów, które na tym chaotycznym oceanie światowej gospodarki rozglądają się za latarnią morską, szybciej może docierać światło z Pekinu niż z Waszyngtonu, wyraźniej z Delty Rzeki Perłowej i Kantonu niż z Nowego Jorku i Manhattanu. Temu też ma sprzyjać wielka aktywność chińskiej polityki zagranicznej. Pekin ma porozrzucanych po świecie więcej placówek dyplomatycznych niż Stany Zjednoczone. Ich oddziaływania politycznego nie można bagatelizować, ale zarazem nie należy mieć obaw, że zepchną one na boczny tor Zachód, w tym wpływy anglo-amerykańskie, pod względem tzw. miękkiej siły. To dobrze, że w licznych krajach uruchomiono z górą sto instytutów Konfucjusza, które lansują Chiny i chińskie wartości. Niczemu to nie zagraża, a wręcz odwrotnie; trochę więcej z nas będzie rozumiało język mandaryński, przyczyni się to do poszerzania wielonarodowej wymiany w sferze edukacji, nauki, kultury i sportu. Kolejnym kulminacyjnym wydarzeniem w starciu *soft power* będą XXIV Zimowe Igrzyska Olimpijskie w Pekinie w 2022 r., zwłaszcza po zaniechaniu organizowania w 2020 r. letniej olimpiady w Tokio.

Tej zewnętrznej ekspansji – niezależnie od celów *stricte* ekonomicznych, głównie eksportu znacznych nadwyżek w sektorze budownictwa infrastrukturalnego, rozwijania rynków zbytu dla coraz bardziej konkurencyjnych gałęzi przemysłu oraz pozyskiwania dostępu do złóż materiałów i surowców niezbędnych do produkcji – służy realizowana z wielkim rozmachem Inicjatywa Pasa i Szlaku, BRI (Belt and Road Initiative), często określana jako Nowy Jedwabny Szlak. Zasadniczym jej celem nie jest zawojowywanie innych krajów przez ich ekonomiczne uzależnianie – przy czym w niektórych przypadkach nierozważnej polityki w kraju adresacie i to może się zdarzyć, trzeba zatem uważać – lecz podtrzymywanie wewnętrznej dynamiki gospodarczej. W przypadku Chin, pomimo ogromu tego kraju, nie da się tego zrobić bez sięgnięcia do czynników zewnętrznych, bez dalszego czerpania z globalizacji w celu szybkiego wzrostu rodzimej produkcji i konsumpcji. W trakcie kilku minionych dekad nikt tak dobrze jak Chiny nie wykorzystał globalizacji do własnego rozwoju. Nic dziwnego, że chcą to robić nadal.

W tekście zrezygnowaliśmy z przypisów i odwołań bibliograficznych.

Fragmenty książki Grzegorza W. Kołodki *Od ekonomicznej teorii do politycznej praktyki*, Poltext, Warszawa 2020

eprasa.pl 7f3ef78ddd

NIE ODPUSZCZAJCIE

Kochani młodzi, jestem z Wami z całych sił. Kraj jest nasz i trzeba wrzeszczeć

OLGA LIPIŃSKA

Dziewczyny, bardzo was podziwiam i szanuję za to, że domagacie się z takim uporem swojego. Brawo!!! Nie mogę iść z Wami, bo słabo chodzę (jestem po wypadku samochodowym), jednak krzyczę razem z Wami, chociaż mnie już nie słychać, ale swoje już wykrzyczałam.

Już w 1990 r., po wyborach, kiedy prymas wszedł butnie do polskiego Sejmu, śpiewając: „Boże, coś Polskę", krzyczałam: „Uwaga, szykuje się państwo wyznaniowe!". Potem religia w szkołach. Krzyczałam: „Jasna cholera, wskrzesza się dumnego narodowego kołtuna z głupim pustym czerepem i Matką Boską w klapach". Awanturowałam się w latach 90., że ten kłamliwy, chciwy, rozpasany Kościół jako obrońca wolności bezczelniej zaczynał zaglądać nam do sypialni, pouczać i grzebać w duszach i sumieniach. Kościół katolicki, ostoja, cholera jasna, moralności, duchowości, dobra i opieki, okradał do kości ten biedny, dorabiający się kraj.

Chciwi wielebni coraz bezczelniej naciskali na władzę świecką, żądali ziemi, pieniędzy, władzy i praw. I wszystko to dostali od strachliwej władzy świeckiej, nie wyłączając rządzącej w swoim czasie lewicy. Wielebni oprócz niewątpliwie najwyższej klasy moralności mieli także najcięższy młot na czarownice – papieża Polaka. Tylko tego było trzeba narodowi czołgającemu się cierpliwie ku Zachodowi. Bezmyślnych „prawdziwych Polaków" utwierdziło to w gigantycznej megalomanii. „To my, prawdziwi Polacy, wydaliśmy na świat papieża Polaka. I to my, prawdziwi Polacy, możemy teraz dać wpierdol pedałom, a nawet Ruskim!!!", grozili z łomem w rękach przy łagodnie aprobujących takie stanowisko klechach.

Za takie poglądy i opinie o Kościele na początku lat 90. musiałam pożegnać się z częścią moich przyjaciół i znajomych, dla których nowym salonem towarzyskim stał się kościół ks. Popiełuszki. Absolutnie, koniecznie trzeba było bywać na niedzielnej mszy o dziesiątej „u Popiełuszki". W tym czasie w 1991 r. puściłam w kabarecie piosenkę „Urzędnicy pana B.". W piosence padły słowa: „Nie potrzebuję urzędników w moich rozmowach z panem B.". Chodziło oczywiście o to, że modlić można się wszędzie, niekoniecznie w towarzystwie klechów. I klechy rozpętały piekło.

Jeden z ważniejszych wtedy posłów na Sejm zgłosił postulat usunięcia mnie nie tylko z telewizji, ale i z Polski. Kościół oszalał. Księżulo z ambony ostrzegał komunijne dzieci, aby nie oglądały moich kabaretów, bo to grzech śmiertelny. Od początku nie miałam żadnych złudzeń co do formacji, która przejęła rządy w 1989 r.

Z czym przyszli? Z jaką ideą? Z jaką wolą przemiany duchowej, mentalnej? Przynieśli na tekturze hasła: „Wolność, wolne związki i dwa tysiące podwyżki dla każdego". Słynne 21 postulatów. I co zostało nawet z tego? Hasło naczelne: „Bierzemy sprawy w swoje ręce!". Jakie ręce? Chłopskie, robotnicze, brudne, spracowane. To już było. Z tym przyszli? Nie było mowy o tym, kim jesteśmy, w co mamy wierzyć i co zrobimy ze sobą w nowej rzeczywistości. Nikt nie wyartykułował, jaka ma być ta wolna Polska. Jak to jaka? Wolna! To znaczy, że co? No, że wszystko wolno, tak? Profesorowie Geremek, Król, Balcerowicz i inni nawet nie próbowali sformułować nośnego duchowego hasła. Co proponowali? Powtarzali jak mantrę frazesy o braniu we własne ręce, o przedsiębiorczości i o wielkości Polaków. Dorabiajcie się, bo teraz wolno. Nareszcie wolność otwarcia własnego sklepiku. To były hasła bardzo zresztą nośne dla Polaków pragnących jak powietrza wszelkiego materialnego dobra. No i Polska wzięła w swoje ręce i pięknie się rozwijała. Jacy byliśmy dumni – forsa, forsa, forsa!!! Za wszelką cenę. Poszły w diabły wszystkie, nawet wyblakłe wartości, jak współczucie, wspieranie się w nieszczęściu, ochrona słabszych, godność ludzka. Została tylko pisana solidarycą na plakatach Solidarność – i obecny przewodniczący tej Solidarności wielmożny pan Duda. I jak ostrzegał Mickiewicz: „Wszystko przejdzie. Po huku, po szumie, po trudzie. Wezmą dziedzictwo cisi, ciemni, mali ludzie". No i tak powoli doszły do władzy ostatnie szeregi tamtych spod stoczni. Nieszczęśni, zakompleksieni nieudacznicy niezdolni nawet do układania bruku. Za to pełni nienawiści do tych, którzy coś w życiu zrobili i robią, że się zrealizowali nawet w trudnych czasach. Trzeba im przeszkodzić, opluć, zepsuć, obrzygać i skopać. Ale żeby tego dokonać, trzeba mieć władzę za wszelką cenę i na złość postawić głupią kuchtę na czele Trybunału Konstytucyjnego. Był już nawet wzorzec, już towarzysz Lenin głosił: „Nawet kucharka może sprawować władzę".

I o co, do diabła, chodzi z tymi demonstracjami? Czego one chcą, te głupie baby, denerwuje się władza. Przecież do nich nie strzelamy, a moglibyśmy, bo władza jest od tego, by był porządek, ostrzega „Najważniejszy". „Czego chcecie? Czego? Wyboru? Decyzji? To my decydujemy, a wy macie milczeć i rodzić więcej Polaków, bo rasa wyginie, ale wy, wredne, głupie, babskie mordy, wy blondyny pieprzone, nie macie o tym pojęcia!". „Najważniejszy" karci kobiety i grozi: „Jazda mi z tych ulic, bo przestanę być, kurwa, grzeczny i będzie czego żałować, jak pójdzie jucha. No!".

> Dokąd Kościół będzie miał w Polsce znaczenie, będziemy zadupiem świata.

Kochani młodzi, zazdroszczę Wam, że możecie wrzeszczeć razem. Jestem z Wami z całych sił. Nie wyjeżdżajcie z tego kraju, nie dawajcie satysfakcji tym dupkom chwilowo przy władzy. Kraj jest nasz i trzeba wrzeszczeć, nie odpuszczać i wiedzieć, że źródłem wszelkiego zła od wieków jest w Polsce Kościół. I dokąd Kościół będzie miał w Polsce znaczenie, będziemy zadupiem świata.

Nie odpuszczajcie. Brawo!

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Rozmawia Beata Igielska

Przytulajmy się

Seks w czasie pandemii: niektórzy dzięki zamknięciu zobaczyli, że potrafią się sobą cieszyć

Premier ogłosił kolejne obostrzenia w związku z pandemią. W tym zamieszaniu nie bierze się pod uwagę stanu psychicznego ludzi młodych. A ten nie jest najlepszy. W pana badaniu ludzie w wieku 18-29 i 30-49 lat mówili o wyczerpaniu psychicznym, a nawet o napadach agresji.

– Gdy mówimy o pandemii i problemach wynikających z lockdownu, wskazujemy ludzi starszych. Oczywiście z punktu widzenia epidemiologicznego myślenie „chrońmy seniorów" niewątpliwie jest ważne. Ale w myśleniu o zdrowiu publicznym musimy pamiętać o kwestii zdrowia fizycznego, psychicznego i seksualnego. W marcu, kwietniu i maju 31% Polaków wskazało, że doświadczyło kryzysu psychicznego, załamania. Było to najbardziej widoczne w przedziale wiekowym 18-29 lat – w tej grupie kryzys dotyczył 49% osób. Ale też 46% było załamanych fizycznie. Bardziej załamane były kobiety (37%) niż mężczyźni. Kryzysu psychicznego doświadczyli głównie uczniowie i studenci skazani na naukę zdalną. Ludzie młodzi rozwojowo nastawieni są na kontakty społeczne z rówieśnikami. Tego zostali pozbawieni. Po wakacjach uczniowie wrócili do szkół podstawowych i ponadpodstawowych, a studenci byli zdani na naukę online. My, nauczyciele akademiccy, też jesteśmy tym zmęczeni.

Mogę sobie wyobrazić.

– Jako doświadczony dydaktyk jestem zaprogramowany na interakcję ze studentami i studentkami w czasie wykładów. Bardzo mi brakuje możliwości mówienia do konkretnej grupy odbiorców, a nie do ekranu laptopa. Oczywiście studenci zadają mi pytania itd., ale to nie jest to, czego byśmy chcieli.

Może dlatego pytał pan w badaniu, czy w czasie lockdownu odczuliśmy samotność, brak kontaktu z osobami życzliwymi w najbliższym otoczeniu.

– 7% wskazało, że to uczucie zmniejszyło się, bo byli w domu, z tymi, których lubią i z którymi chcą przebywać. Ale u 29% Polaków uczucie samotności zwiększyło się, zwłaszcza w grupie 18-29 lat, gdzie aż 41% mówiło o zwiększeniu uczucia samotności. Szczególnie dotknęło ono kobiety. Przygnębienie u 9% zmniejszyło się, ale u 30% się zwiększyło – znów bardziej u kobiet niż u mężczyzn. W grupie 18-29 lat sięgnęło 44%.

Pesymistyczne dane.

– Najlepiej *lockdown* przechodzą seniorzy. Przewlekłe zmęczenie, osłabienie, senność, trudności z koncentracją zwiększyły się zaś u 27% Polaków, przy czym w grupie 18-29 lat aż u 39%, w grupie 30-49 lat – u 25%. Czyli znowu najbardziej dotknięci są młodzi.

> Dla 18% kobiet i 14% mężczyzn przeszkodą w odbyciu stosunku była obecność dzieci lub innych osób w domu.

Zapytał pan też badanych, czy w ciągu ostatnich miesięcy zdarzyły się napady złości, agresji, frustracji.

– 13% odpowiedziało, że to zmniejszyło się, ale 21% deklaruje, że się zwiększyło, i tu ponownie bardziej u kobiet, a najbardziej u ludzi w wieku 18-29 lat.

Czyli to kobiety i ludzie młodzi zebrali najcięższe baty od pandemii.

– Co jest bardzo złą informacją. Niedobrze, że nie chcemy dostrzegać, że właśnie nasza kondycja psychiczna jest najgorsza. Grupa ludzi młodych poniosła największe jak dotychczas konsekwencje, jeżeli chodzi o poczucie frustracji i niezadowolenia, gorsze samopoczucie psychiczne.

Płacą więcej za pandemię, mimo że ich COVID mniej dotyka.

– Dość ciężko *lockdown* przechodzili również bezrobotni. Bez względu na to, ile ma się lat, bycie bezrobotnym nie wpływa dobrze na poczucie bezpieczeństwa. Pamiętajmy, że całkiem niemała grupa w okresie lockdownu dowiedziała się, że jest zwalniana z pracy.

Tak się stało z ludźmi zatrudnionymi na umowach śmieciowych, którzy z dnia na dzień stracili źródło dochodu. Jak w tym czasie mają dobrze oceniać swoje życie seksualne?

– A jednak można je dobrze oceniać. Gdy tegoroczną ocenę porównamy z tą z badań z 2017 r., są takie same – 51%. Pogorszenie widać w grupie 30-49 lat. W 2017 r. zadowolenie było na poziomie 71%, teraz – 59%. To znaczący spadek. Najgorzej oceniają swoje życie seksualne osoby w grupie wiekowej 60+ (24% zadowolonych). Natomiast w grupie wiekowej 18-29 źle ocenia życie seksualne 19% badanych.

Czyli prawie co piąty młody Polak w lockdownie swoje życie seksualne ocenia źle.

– Zła ocena wynika też z tego, że ludzie w tym wieku nie zawsze są w stałych związkach, więc mimo że wcześniej relatywnie często współżyli, *lockdown* niektórych tego pozbawił bądź ograniczył ich kontakty.

Prof. Zbigniew Izdebski – po raz szósty przygotował raport dotyczący zdrowia, relacji w związkach oraz życia seksualnego Polek i Polaków. Badania przeprowadzono od marca do maja 2020 r. na reprezentatywnej grupie 3 tys. osób powyżej 18. roku życia. Raport powstał przy współpracy Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Zielonogórskiego i Polpharmy. W październiku profesor wydał książkę „Zdrowie i życie seksualne Polek i Polaków w wieku 18-49 lat w 2017 roku".

eprasa.pl 7f3ef78ddd

PROF. ZBIGNIEW IZDEBSKI

– seksuolog, pedagog

Ponadto są to często osoby mające dzieci w wieku szkolnym. Siedziały z nimi miesiącami w domu. Jeśli jest pełna chałupa, to o jakim seksie mowa...

– W grupie 30-49 lat u 9% wzrosła zła ocena życia seksualnego. Pytaliśmy także o trudności w życiu seksualnym. O zmęczeniu i stresie mówiło 25% kobiet i 22% mężczyzn. Pojawiła się nowa sytuacja: 18% kobiet i 14% mężczyzn wskazało, że trudnością, przeszkodą w odbyciu stosunku była obecność dzieci lub innych osób w domu.

Niemniej jednak w grupie wiekowej 18-29 lat 32% kochało się codziennie. Gdzie, skoro nie w domu?

– Tradycyjnie dom jest najczęstszym miejscem współżycia, łono natury wskazało 6% – mimo zakazu wychodzenia z domu, 7% kochało się w samochodzie, w garażu – tam uciekali przed dziećmi. Kuchnię wybrało 7%, łazienkę 14%, sypialnię 90%. Wyraźnie zmniejszył się seks w miejscu pracy – deklarowało go 1% badanych, podczas gdy w badaniach z 2017 r. do seksu poza stałym związkiem w biurze, zakładzie pracy przyznaje się 15% Polek i Polaków.

Ciekawe, że niezmiennie od lat zadowoleni z życia seksualnego są mieszkańcy ściany wschodniej oraz Opolszczyzna.

– W Podlaskiem 65% mieszkańców jest zadowolonych z życia seksualnego. Opolskie też wyszło nieźle. Mam jednak pewien dystans do wyników badań w podziale na województwa. Reprezentatywność grup została co prawda zachowana, ale tam badane były małe grupy. Odnośnie do małżeństwa lub stałego związku znowu w Podlaskiem mamy bardzo wysoki wskaźnik zadowolenia, podobnie w Podkarpackiem.

Dom jest najczęstszym miejscem współżycia, łono natury wskazało 6%, 7% kochało się w samochodzie, w garażu.

Ciekawe, z czego to wynika. Ludzie kłamią w ankietach?

– Podlaskie w poprzednich edycjach badania także było zadowolone. Może tamtejsi mieszkańcy mają niewielkie oczekiwania wobec małżeństwa i stałego związku i dlatego mieszczą się w dużym poziomie zadowolenia.

Szło ono w parze z poczuciem szczęścia. Badał pan też, jak na to poczucie wpływają pieniądze. Wyszło, że wszystko zależy od aspiracji finansowych.

– Potrzeby seksualne najlepiej zaspokojone mają znów osoby w Podlaskiem.

Czyli wyprowadzamy się na Podlasie.

– Zapraszam również do mojego Lubuskiego, bo najszczęśliwsi byli ludzie właśnie tu. Wiąże się to z faktem, że w czasie lockdownu w Lubuskiem był najniższy wskaźnik zakażeń. To raczej nie jest nadinterpretacja. Lubuskie zawsze wypada dobrze, jeśli chodzi o poczucie szczęścia i zadowolenie z życia. Jest ono większe na zachodzie kraju niż na wschodzie. Bardzo smutno we wszystkich moich badaniach wypada województwo świętokrzyskie.

Aż 25% młodych mężczyzn w lockdownie przełożyło plany prokreacyjne.

– To bardzo ważna informacja, szczególnie teraz, w dobie strajków kobiet. 21% Polaków deklarowało, że planują ciążę. W tej całej populacji chcących mieć dzieci 14% przełożyło starania prokreacyjne na później, 9% zapewniało, że zdecydowało się starać wcześniej, niż planowali. Największe różnice w podejściu do prokreacji widać u mężczyzn, gdzie 25% w grupie wiekowej 18-29 lat odłożyło plany prokreacyjne na później, u kobiet – 14%, najwięcej w przedziale 30+; 12% w grupie 18-29 lat. Ta duża grupa mężczyzn dobrze świadczy o Polakach, że są odpowiedzialni. *Lockdown*, zagrożenie wirusem – z punktu widzenia bezpieczeństwa to nie jest dobry czas na plany prokreacyjne. Szkoda, że nie mam badań, co dziś, po decyzji Trybunału Konstytucyjnego, Polacy sądzą o planach prokreacyjnych. Jestem przekonany, że będzie miała ona negatywny wpływ na decyzje o prokreacji.

Demografowie przypuszczają, że po decyzji TK będzie się rodzić mniej dzieci.

– Tak może być, bo planując powiększenie rodziny, wszyscy chcą mieć duże poczucie bezpieczeństwa, a nie daje go ani obecna polityka, ani pandemia.

Tak jak nie daje poczucia bezpieczeństwa stosunek przerywany. A jednak 29% badanych uważa go za metodę antykoncepcyjną. Trudno w to uwierzyć w XXI w.

– Mnie te wyniki też zwaliły z nóg. Polacy załamują mnie, jeśli chodzi o stosunek przerywany. Moi koledzy

FOT. UNIWERSYTET WARSZAWSKI

eprasa.pl 7f3ef78ddd

za granicą nie uwzględniają go w badaniach jako metody antykoncepcyjnej, bo tam się go nie stosuje. Ale jestem polskim badaczem i muszę znać uwarunkowania społeczno-kulturowe. Dlatego niestety zawsze o niego pytam. W 2017 r. stosowało go jako metodę antykoncepcyjną 18%. W lockdownie 29% badanych. Kalendarzyk małżeński – 15%, prezerwatywę – 61%, a w 2017 r. 74%. Tabletkę antykoncepcyjną w poprzednich badaniach wskazywało 32%, w tej chwili – 27%, czyli w czasie pandemii jej użycie spadło.

Seks w miejscu pracy deklaruje zaledwie 1% badanych.

Jeśli jednak aptekarz będzie mógł powołać się na klauzulę sumienia i nie sprzedać nam środka antykoncepcyjnego, choć to podobno fejk, pozostanie nam chyba stosunek przerywany.

– Polakom pozostaje ulica. Wszyscy, którzy mają poczucie łamania praw obywatelskich, byli dość przygnębieni faktem, że młodych ludzi nie było widać na poprzednich protestach. Teraz ich widzimy. Mieli szczęście nie przeżywać 1968 r., lat 70. i 80. XX w., wszystko mieli podane na talerzu, nie musieli o nic walczyć. Teraz zobaczyli, że nasze prawa, w tym seksualne i reprodukcyjne, są zagrożone, podobnie jak wiele innych praw. Jest więc duży zryw społeczny. Walczymy o prawa, żeby je mieć, co wcale nie znaczy korzystać z nich. Jestem przekonany, że zdecydowana większość protestujących dziś w sprawie możliwości wyboru bezpiecznej aborcji nigdy nie skorzysta z prawa do niej, ale chce je mieć na zasadzie: jakby coś, to mogę. Wielu młodych ludzi wreszcie zrozumiało, jaka jest wartość ich głosu w wyborach.

To samo zaczyna dotyczyć rozwodów. Przemysław Czarnek, minister edukacji i nauki, oraz jego świta z KUL mówią o poważnym zastanowieniu się nad tą kwestią. W pana badaniu 22% wskazało, że *lockdown* wzmocnił ich związek, 8%, że było źle, a 66%, że związek był taki sam jak zazwyczaj.

– 22% mówiło o wzmocnieniu związku i to bardzo dobra informacja. Polacy dużo pracują, nie mają czasu dla siebie i swoich związków. Niektórzy dzięki zamknięciu zobaczyli, że potrafią się sobą cieszyć. Ale oni już wcześniej dobrze oceniali swój związek. Zarazem 9% mówi: nasz związek pogorszył się, zaczął się rozpadać/rozpadł się, 6% Polaków pomyślało o rozwodzie w czasie lockdownu.

Zamknięcie obnażyło słabość tych związków.

– Bo to nie jest prawda, że w Polsce podejmujemy nieroztropnie decyzje o rozwodach. Po prostu przed pandemią nie dostrzegaliśmy, że związki nie są zbyt dobre. Wynika to z faktu, że mało poświęcamy sobie czasu: idziesz na godz. 9 do pracy, wracasz o 19. Udajesz przy tym, że jest dobrze, lub liczysz, że będzie lepiej. Ale kiedy 24 godziny na dobę trzeba było być ze sobą, niektórzy stwierdzili: dłużej tego nie wytrzymam. Tak się stało również w grupie ludzi wierzących. Największą grupą myślących o rozwodzie w czasie lockdownu byli ludzie w wieku 30-49 lat. Następna grupa to ci do 29 lat. W grupie 60+ w trakcie lockdownu pomyślało o rozwodzie 2%. Jednakże w tej grupie wiekowej o rozwodzie myśli 15%. Generalnie Polaków, którzy od dawna myślą o rozwodzie, jest 7%, w tym kobiet 9%, najwięcej po 50. roku życia. *Lockdown* uświadomił więc, że są dobre i bardzo dobre małżeństwa, ale także pokazał duże kryzysy małżeńskie. Kryzys fizyczny i psychiczny, o którym mówiliśmy na początku rozmowy, był bardziej widoczny w 40% związków, które oceniają się negatywnie. Tylko 26% osób pozytywnie oceniających swój związek przeszło taki kryzys. Czyli jakość relacji w związku chroni, wpływa na poczucie bezpieczeństwa.

W Podlaskiem 65% mieszkańców jest zadowolonych z życia seksualnego. Opolskie też wyszło nieźle.

W lockdownie kobiety korzystały z portali randkowych, a mężczyźni raczyli się porno.

– To nic nowego. *Lockdown* pokazał, jak ważną rolę odgrywał wtedy internet – 43% oglądało materiały pornograficzne. 17% szukało w internecie relacji o charakterze erotycznym – więcej mężczyzn niż kobiet. Seks w realu z osobą poznaną w internecie uprawiało 14%, najwięcej mężczyzn w przedziale wiekowym 18-29 lat.

No proszę, nie bali się koronawirusa.

– Ale również kobiet uprawiających seks w realu było 11% w przedziale wiekowym 18-29 lat, natomiast 10% kobiet i 18% mężczyzn w przedziale 30-49 lat. To pokazuje, że tendencja do ryzyka jest w nas różna, ale te 14% mężczyzn dowodzi, że popęd, chęć rozładowania napięcia seksualnego i stresu, szukanie przygody zdecydowały o odbyciu ryzykownych spotkań.

W zamknięciu aż 61% ludzi wskazało, że ważne są dla nich bliskość, dotyk, przytulenie, nie tylko sam akt seksualny.

– Mówię o dotyku w wielu badaniach. Tu nic się nie zmieniło. Dla 61% Polaków przytulanie, bliskość cielesna były ważne w 2017 r. i tyle samo wskazało je w badaniu w lockdownie.

Stwierdził pan w jednym z wywiadów, że kolejnego zamknięcia nie wytrzymamy.

– W takiej formie, jak było, według mnie nie wytrzymamy. Poniesiemy bardzo duże konsekwencje psychiczne. To dotyczy nie tylko młodych, choć ich najbardziej. Dlatego przytulanie, bliskość, dotyk są tak ważne. W dobie zalewu pornografii nastawiliśmy się na przeżywanie orgazmu za wszelką cenę. Zapominamy, że przytulanie i bliskość są bardzo ważną formą komunikowania bezpieczeństwa, wsparcia. Bez względu na to, czy panuje COVID, czy nie.

W takim razie przytulajmy się.

– Michalina Wisłocka powtarzała, że głaskanie, przytulanie daje duże poczucie przyjemności, głębszego szczęścia, bo wytwarzają się endorfiny. W związku z tym przytulanie może dać nam siłę, żeby przetrwać to wszystko. Najważniejsze, żebyśmy mieli w życiu do kogo się przytulać. Bo czasem mamy w domu męża, żonę, partnerkę, partnera, a jednocześnie nie mamy już ochoty do nich się przytulać. Tam więc, gdzie jest ochota do przytulenia, róbmy to. To wzmocni w tych trudnych czasach zarówno osoby młode, jak i starsze.

Beata Igielska
b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Wstrząsające wydarzenia

Biodro, które mi ostatnio nawala, wytrzymało marsz Marszałkowską, mój pęcherz też był łaskawy. Nic by się nie stało, gdyby w słynny piątek nie było mnie na mieście, ale mam teraz poczucie dobrze spełnionego obowiązku i mogę w felietonie napisać: i ja tam byłem, i kuśtykałem, weteran dawnych wojen. Pojechałem z sąsiadką, bardzo bojowe są Małgosia i jej dzieci, z błyskawicami na policzkach, z plakatami. Parkujemy pod stacją Wilanowska, potem metrem, dalej długi spacer Marszałkowską w stronę ronda Dmowskiego, gdzie zlewają się strumienie młodych. Szukam ludzi w moim wieku – nie ma, jakbym był przybyszem z innego świata. Tak się kiedyś czułem, gdy chodziłem po ulicach Seulu, nie mogąc wypatrzyć innych oczu niż skośne.

Niezliczone transparenty, najprostsze malowane na tekturze. Ileż inwencji, dowcipu. Atmosfera karnawału. PiS i prezes na ulicach polskich miast i miasteczek zostali wykpieni do łez, do dna. Ośmieszenie to potężna broń. Wulgaryzmy były na miejscu, to nie krwawa dyktatura, przeciwko której się buntujemy, ale gnojki i ciemniaki. To stan wyjątkowy języka, znak, że brakuje zwykłych słów na określenie własnych emocji.

Wielka czerwona błyskawica widnieje na Pałacu Kultury. Na rondzie Dmowskiego tłum gęstnieje, w Novotelu niewielu gości, ale w czarnych oknach krążą światełka komórek na znak solidarności. Patrzę, jak dzieci tańczą z tłumem, w takt pieśni „Jebać PiS", te słowa dudnią na fali muzyki z megafonów. Obok tłum skanduje: „Wypierdalać!". Tak na ulicach, zamiast kulturalnie w szkołach, gdzie jej nie ma, odbywa się „edukacja seksualna" polskich dzieci. Ogromna rozmaitość haseł, niektóre zabawne, czasami po angielsku, np.: *I wish I could abort government.* I dojmujące wrażenie, że chodzi już nie tylko o ustawę, ale o to, kto nami rządzi.

W drodze powrotnej widzę, jak w mrocznej uliczce dziewczyna w sportowym stroju uprawia jogging, na plecach ma błyskawicę i napis solidaryzujący się z protestem. Jak w czasie rewolucji Solidarności, teraz też czuć powiew morskiej bryzy od protestów. Jest coś poruszającego w takim buncie, wszyscy są nagle lepsi, ładniejsi i mocni, bo połączeni wspólną sprawą.

•

„Kochana Rodzino Radia Maryja! – mówił o. Rydzyk jeszcze przed wielkimi piątkowymi manifestacjami – w związku z ostatnimi wstrząsającymi, tragicznymi wydarzeniami w naszej ojczyźnie, bluźnierstwami, satanistyczną agresją, obrażaniem Pana Boga, Matki Najświętszej, dewastacją świątyń, przerywaniem w sposób satanistyczny mszy świętych, zapraszamy ludzi dobrej woli do podjęcia aktów wynagrodzenia Panu Bogu i Matce Najświętszej za te grzechy". I dodał już drukiem: „W trakcie nowenny szczególnym dniem będzie piątek, w którym organizatorzy zachęcają do postu o chlebie i wodzie". Ojciec dyrektor i Radio Maryja to jest czerń umysłowa. Ale tak czarno myśli minister oświaty Czarnek i zaściankowa Polska. A prezes po swoim słynnym wystąpieniu przestał być prezesem, stał się za to I sekretarzem PiS.

•

Kiedy jeszcze była szkoła, niespodzianka w klasie Frania. Pani od polskiego też zdawała się zaskoczona. Przy tablicy stoi para męsko-damska. I będzie wykład o Janie Pawle II, Franio potem narzekał, że to było śmiertelnie nudne. Po tej lekcji nasza sąsiadka, której córka chodzi do tej samej klasy, zabrała ją na amen z lekcji religii. Zrobiłbym to samo z Franiem, ale żona nie chce, a nie zamierzam toczyć w domu wojen religijnych. Trwa wykańczanie Jana Pawła II, jakby i tak nie tracił wiele przy papieżu Franciszku. „To, co dzieje się w Polsce z kultem Jana Pawła II, zdecydowanie przyćmiło jego prawdziwe dokonania. Została kremówka – świetnie napisała Maria Poprzęcka. – Zmienia się też stosunek do Jana Pawła II, który dla młodych pokoleń nie jest żywą postacią inspirującą miliony. Jest rozdrobnioną w tysiącach pomników dewocyjną ikoną".

PiS i prezes na ulicach polskich miast i miasteczek zostali wykpieni do dna. Ośmieszenie to potężna broń.

•

Byliśmy ludźmi małej wiary, tracąc wiarę w Polskę, że tak łatwo godzi się na głupotę i podłość. Protesty odbyły się na tle nowych wieżowców Warszawy. Ten podniebny, imponujący i nowoczesny krajobraz był odpowiednim tłem dla niezgody nowoczesności na starczą zatęchłość PiS, gdy tłem dla obrońców pisowskiego porządku są kiczowaty Licheń i Świątynia Opatrzności Bożej w kształcie betonowej wyciskarki do cytryn. Bunt młodzieży, czasami dzieci – moja wnuczka ma 15 lat, dostałem jej zdjęcia, jak demonstruje z koleżankami z klasy – ma ogromne znaczenie, zmienia nagle społeczno-polityczny krajobraz Polski. Rodzi się nowa świadomość młodych, liberalna i antyklerykalna. Teraz zacznie się dramat, jak znaleźć akumulator na tyle uwolnionej energii.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Mam COVID. Co robić?

Pamiętnik z izolacji: strach, bezradność, dziesiątki telefonów, godziny w kolejce

Paula Leśniewska

Zaczęło się od stanu podgorączkowego. – Nic takiego – mówiła mama – w końcu teraz co drugi jest chory. I rzeczywiście, gdziekolwiek poszłam: katar, kaszel, poszarzałe twarze. – To na pewno nie COVID, zwykły jesienny wirus – dodała. Przytakiwałam bez przekonania. – No bo gdzie mogłaś się zarazić tym cholerstwem?

Wysilałam pamięć. Może w tramwaju? Fakt, jeździłam codziennie, ale poręczy nie dotykałam. Sklep? Może i sklep. Gabinet akupunktury? Raczej nie, byłam tam w poniedziałek, dzisiaj czwartek, koronawirus tak szybko nie atakuje. – A co ci w końcu jest? – pytała dalej mama. – Stan podgorączkowy. – Tylko? – Tylko. Może trochę kaszlę, ale mało.

Po konsultacjach zapadł werdykt rodzinny: to nie COVID. Odetchnęłam z ulgą. Jednak następnego dnia poczułam dziwną apatię. Zostałam w domu, opatulona w koc. – Ja idę do pracy. Muszę – powiedział Mati. – Dopóki nie masz oczywistych objawów, będę chodził.

Po południu termometr wskazał 38 st. – Napędziłaś mi strachu – denerwował się Mati przez telefon. Z niedzielnego spotkania z kolegami zrezygnować nie chciał. – Skąd wiesz, że to to? Daj spokój.

Rodzina też uparcie twierdziła, że nic się nie dzieje. Pomyślałam, że może rzeczywiście przesadzam. W sobotę wieczorem pod prysznicem zorientowałam się, że żel nie pachnie. Wkrótce przestałam czuć smak. A jednak COVID.

W niedzielę niczego załatwić nie można. Przychodnia nieczynna. Krzywa zachorowań zawsze spada w niedzielę i poniedziałek. Nie dlatego, że jest ich mniej. Po prostu ludzie nie dostają skierowań na test. – Trzeba czekać – poinformowała mnie kobieta z infolinii NFZ dla covidowców. Ona skierować na test nie może. Może tylko lekarz, ale to w poniedziałek.

W przypływie desperacji zaczęłam dzwonić do punktów pobrań widniejących na stronie rządowej. Jeden z podanych numerów nie istniał, reszta milczała.

W poniedziałek moja przychodnia zaczyna dyżur o godz. 7.30. Mimo kaszlu i dreszczy zaczęłam dzwonić. Za każdym razem to samo nagranie: „Twoje połączenie nie może zostać zrealizowane. Spróbuj ponownie później". Po 40 minutach usłyszałam szorstkie „halo". – Dzień dobry, chciałam się zapisać na teleporadę – wypaliłam jednym tchem. – A co się dzieje? – Podejrzewam COVID. – Jakie ma pani objawy? – zapytała niechętnie pielęgniarka. – Kaszel, gorączka, nie mam smaku ani węchu.

Ton głosu po drugiej stronie nagle się zmienił. Usłyszałam głębokie westchnienie, pytanie o moje samopoczucie i ubolewanie nad losem świata ogarniętego pandemią. Wyjaśniła się zagadka oczekiwania na połączenie. – Mamy zepsute telefony, nic nie słyszałam. Pani doktor zadzwoni dzisiaj między godz. 12 a 14. Proszę być przy komórce. Niech pani na siebie uważa – dodała troskliwie pielęgniarka. Czułam się jak przed rozmową o pracę.

Lekarka zadzwoniła po godz. 16. W internecie przeczytałam później, że to normalne, wszyscy dostają skierowania wieczorem, żeby przypadkiem nie zrobić testu od razu. Rozmowa była krótka. Brak smaku i węchu okazał się kluczowy. Bez tych objawów nie dostałabym skierowania. Lekarka poleciła wykonać wymaz jak najszybciej. Jeden z warszawskich punktów był czynny do 18. Pół godziny później byliśmy na miejscu.

Kolejka ciągnęła się wzdłuż chodnika, 30, może 40 osób. Marzliśmy na deszczu. Z każdą minutą czułam się gorzej. Facet za mną pomstował na rząd. Staliśmy ponad godzinę. Pobranie wymazu u jednej osoby zajmowało sześć-siedem minut. Zorientowałam się, że prawdopodobnie na swoją kolej się nie doczekam. Ale stałam dalej. Nie chciałam wierzyć, że zostawią tylu ludzi z niczym. Zostawili. Ktoś ubłagał pielęgniarkę, żeby przyjęli jeszcze jakąś starszą panią. Kobieta weszła do środka na drżących nogach. Obejrzałam się za siebie. Tłum. Niektórzy wykłócali się z pielęgniarkami. Ludziom puszczały nerwy. Młoda kobieta ze łzami w oczach prosiła o wymaz. Krzyczała, że nie ma z kim zostawić dziecka. Nikogo więcej nie przyjęto. Mati pociągnął mnie za rękaw. W samochodzie zdjęłam przemoczoną kurtkę, trzęsłam się z zimna. Miałam nadzieję, że nie dostanę zapalenia płuc.

We wtorek pojechaliśmy na Sadybę. Tym razem punkt *drive-thru*. Wygodniej, przede wszystkim cieplej. W internecie krążyła plotka, że w takich miejscach robią wymazy za

eprasa.pl 7f3ef78ddd

W kolejce do punktu pobrań *drive-thru* czeka po kilkadziesiąt samochodów.

pieniądze. Okazało się, że nie, test można wykonać za darmo. Jeżeli uda się dojechać. Dwie wąskie ulice prowadzące na teren przychodni były zupełnie nieprzejezdne. Nie wiadomo, gdzie kończyła się kolejka. Przez chwilę szukaliśmy. Potem zdaliśmy sobie sprawę, że będzie powtórka z wczoraj. Przed nami stało z 50 aut, może więcej. Punkt zamykali za dwie godziny. Nie mieliśmy szans.

W internecie znalazłam nowy punkt we Włochach. Czynny od 15. – Będziemy godzinę za wcześnie – narzekał Mati. Przynajmniej udało się zająć miejsce. Czwarte. Chorzy piesi kręcili się między samochodami. Nie wiadomo, czy ich przyjęto.

Pobranie wymazu było mało przyjemne. Przez chwilę miałam wrażenie, że pielęgniarz wyjmuje mi mózg przez nos. Po wszystkim dostałam informację o izolacji i numer do sprawdzenia wyników. Zapomniałam zapytać, kiedy będą. Odjechaliśmy z ulgą.

Nie muszę być wirusologiem, aby mieć pewność, że liczba zachorowań poszybuje w górę. Im dłużej zwlekano z pobraniem wymazu, tym więcej ludzi było narażonych na zakażenie. Ile osób dziennie nie doczekało się pobrania? Jestem przekonana, że w samej Warszawie setki. Punkty pobrań były czynne przez trzy, cztery godziny. Żeby załapać się na wymaz, trzeba było przyjść długo przed otwarciem. Nie powiedziały mi tego ani lekarka, ani kobieta z infolinii. Udawały, że wszystko jest w porządku, albo nie wiedziały.

O wielu sprawach dowiedziałam się od rodziny i znajomych. To oni powiedzieli mi, że przed wymazem nie można jeść. Nie znalazłam tego na rządowej stronie internetowej, na której były przedawnione wskazania z początku epidemii, ani nie usłyszałam od lekarki kierującej na test.

26 godzin po pobraniu wymazu wynik pojawił się na stronie internetowej. Pozytywny. – Co teraz? – zapytała mama. – Dzwonił ktoś do ciebie? – Nikt nie dzwonił. Wiem tylko, że mam izolację. – A co z Mateuszem? – Nic. Testu mu nie zrobią, bo nie ma objawów. Będzie siedział ze mną.

Czułam się coraz gorzej. Zaczęłam mieć duszności. Na myśl przychodziły mi obrazy chorych rozpaczliwie łapiących oddech. Postanowiłam jednak czekać. Nie chciałam zabierać miejsca starszym, bardziej potrzebującym. Modliłam się o poprawę.

Ludzie nadal traktują mnie jak trędowatą. Nie dziwię się. COVID wywołuje panikę.

Nie zadzwoniłam do sanepidu. Słyszałam od znajomej, że na rozmowę czekała dwie godziny, aż nagle zerwało połączenie. Kilka razy dziennie przychodziły do mnie groźne SMS-y z hasłem „kwarantanna". „Nie korzystasz z aplikacji Kwarantanna domowa, a to Twoj obowiazek". Nie rozumiałam – nikt mnie o tym obowiązku nie poinformował. Ani po wymazie, ani przy wyniku. W App Storze Kwarantanna domowa miała najgorszą możliwą ocenę. Nie ściągnęłam.

W czwartek znajoma lekarka zadzwoniła z informacją o izolacji. Dowiedziałam się, że trwa 10 dni, nie 14. Na początku września zmieniły się wytyczne. Kazała brać leki na podniesienie odporności i zbicie gorączki. Odpoczywać. W razie czego dzwonić do przychodni. Ponieważ nie wykonywałam zadań z aplikacji, codziennie odwiedzała mnie policja. Czasem w domofonie zgłaszał się wojskowy: – Pani Leśniewska? – Tak. – Pomóc coś? – Nie. – To dziękuję. – Ja również.

Kusiło mnie, żeby poprosić o wyniesienie śmieci, ale zabrakło mi odwagi. Mieliśmy ich całe góry. W tej sytuacji brak węchu stał się zaletą.

Cztery, może pięć dni po wyniku zadzwoniła kobieta z sanepidu. Pytała, czy ktoś z tej placówki wcześniej się ze mną kontaktował. Westchnęła, gdy usłyszała „nie". Poleciła izolację i zapytała, z kim mieszkam. Podałam nazwisko Matiego. Zapytałam, czy muszę go zgłaszać na policję. Nie muszę. – Ale jest na kwarantannie? – upewniła się. Oczywiście jest. Wspomniałam o pracy, zapisała adres. Zdaje się, że na tym polega „nadzór epidemiologiczny".

Po tygodniu izolacji zaczęłam zdrowieć. Gorączka ustąpiła, kaszel się wyciszał. Obyło się bez pobytu w szpitalu. Z niepokojem śledziłam informacje na temat wzrostu zachorowań. Wielu ludzi przechodziło COVID bardzo ciężko, brakowało miejsc w szpitalach i lekarzy. Zaplanowałam oddanie osocza. W Polsce nie ma pieniędzy na służbę zdrowia. Są na wybory i limuzyny.

Pod koniec izolacji starałam się dowiedzieć, co z testami po jej zakończeniu. W sanepidzie usłyszałam, że już od jakiegoś czasu ich nie robią. Zadzwoniłam do przychodni, powiedzieli to samo. – Nikt pani skierowania nie da – powiedziała rejestratorka. – Rozmawiałam z lekarzem. Jeżeli pani pracodawca tego wymaga, to niech zapłaci – tłumaczyła.

W innej przychodni lekarka też odmówiła wydania skierowania. – Nie ma sensu robić wymazu. Od kilku dni nie ma pani objawów. Izolacja skończona. Na takim teście mogłoby wyjść RNA martwego wirusa.

Po 10 dniach jesteś zdrowy. Cóż, testy końcowe najwyraźniej są zarezerwowane dla polityków. Izolacja minęła, od sześciu dni nie mam żadnych objawów. Węch wrócił, choć nie jest jeszcze tak czuły jak przed chorobą. Ludzie nadal traktują mnie jak trędowatą. Nie dziwię się. COVID wywołuje panikę. Kiedyś jednak trzeba wyjść z domu. Bez testowego potwierdzenia, że wirusa nie ma. ■

FOT. JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Rozmawia Beata Igielska

Choroby nie czekają na koniec pandemii

Nie przestawiajmy systemu zdrowia na COVID-19, bo dojdzie do dramatu

Na co Polacy chorowali przed COVID-19?

– Na to, na co nadal chorują. COVID-19 nie jest główną przyczyną śmiertelności, z tego powodu umiera kilkadziesiąt osób dziennie, przy całkowitej śmiertelności na poziomie 1,2 tys. osób. W Polsce w tej chwili mamy ponad 27 tys. zakażeń. Tylko w drugim kwartale 2019 r. lekarze podstawowej opieki zdrowotnej udzielili ponad 40 mln porad. Do tego dołóżmy poradnie specjalistyczne plus hospitalizacje i mamy obraz, jak często Polacy odwiedzają gabinety lekarskie. Na tym tle wirus wypada bardzo blado. Nie lekceważę go, ale chcę pokazać, że epidemia dziś próbuje nam rozwalać cały system opieki zdrowotnej, który jest nastawiony głównie na choroby cywilizacyjne. W tej chwili w Europie 85% zgonów jest z powodu tych chorób, na zakaźne umiera 14% – COVID-19 trochę podnosi tę statystykę, jest niezwykle niebezpiecznym zjawiskiem jako epidemia. Nie zmienia to faktu, że nam poprzestawiał w głowach. Dlatego zaproponowałem niezależnym, utytułowanym ekspertom z różnych dziedzin medycyny utworzenie Zespołu Continue Curatio, którego naczelnym hasłem jest „choroby nie czekają na koniec pandemii". Uważamy, że trzeba rozbudowywać system opieki zdrowotnej na potrzeby COVID-19, a nie zmieniać tradycyjny system opieki zdrowotnej na system nastawiony na COVID-19, zapominający o pacjentach nowotworowych, kardiologicznych, neurologicznych i innych. I tak przecież u nas czekało się miesiącami, a nawet latami na wizytę u specjalisty czy niektóre operacje.

Paraliż opieki zdrowotnej od marca do dziś spowodował, że pacjenci po ośmiu miesiącach pandemii nadal nie są przyjmowani.

– No, niestety. Prowadzę poradnię alergologiczną, w której przez pół roku nie został przyjęty ani jeden nowy pacjent. W kolejce oczekujących na pierwszą wizytę doszło nam 100 osób. To bardzo dużo. Kolejka wydłuża się na miesiące. A przecież w ochronie zdrowia najważniejsze jest tempo udzielenia porady. Nasz system ewoluuje w stronę utrudnienia kontaktu między pacjentem a lekarzem, od lat przestaje być sprawny. Zupełnie nie potrafię tego zrozumieć.

Jakie są skutki teleporad?

– Zespół Continue Curatio wystąpił przeciwko teleporadom jako panaceum na wszystko. Lekarze rodzinni, żeby uniknąć kontaktu z pacjentami, rzadko otwierają gabinety.

> Z powodu COVID-19 umiera kilkadziesiąt osób dziennie, przy całkowitej śmiertelności na poziomie 1,2 tys. osób.

Po godz. 18, za 200 zł, prywatnie, już nie boją się wirusa.

– Tego do końca nie wiem. W zespole stworzyliśmy wskazania i przeciwwskazania do teleporad. Są one dobrym rozwiązaniem tylko w sytuacji, gdy z pacjentem nie dzieje się nic złego, jest stabilny, trzeba mu przedłużyć leki. Natomiast jeśli pacjent zauważa dolegliwości inne niż dotychczas albo nasiliły się już istniejące, teleporada nie powinna się odbyć, nie da się postawić diagnozy na odległość.

Kobietę bolał przez kilka dni brzuch, dostała dzięki teleporadzie antybiotyk. Po dwóch dniach jego przyjmowania zmarła. Gdyby lekarz dotknął brzucha, wiedziałby, że to przypadek ostry, i natychmiast skierowałby pacjentkę do szpitala.

– To są straszne dramaty. Znam też przypadek, że do małych dzieci z gorączką 40 st. lekarz nie przyjechał, leczył na odległość. To po prostu nie mieści się w głowie. Jeżeli nie jest potrzebny bezpośredni kontakt lekarza z chorym, równie dobrze można zlikwidować system opieki zdrowotnej! Mam krytyczny stosunek do teleporad, z wyjątkiem przedłużenia recepty. W moim prywatnym gabinecie teleporady zanikły, pacjenci wolą zapłacić więcej i przyjść do mnie osobiście. To o czymś świadczy.

Mówił pan, że 85% Europejczyków umiera na choroby cywilizacyjne.

– W krajach wysokorozwiniętych 50% wszystkich zgonów następuje z powodu chorób układu krążenia, 25% to nowotwory, kolejnych kilkanaście procent – urazy, wypadki; ok. 7%, teraz pewnie 9%, to choroby układu oddechowego, głównie przewlekła obturacyjna choroba płuc; cała reszta potem. Oczekiwana długość życia uzależniona jest od tego, jak dany kraj zajmuje się chorobami cywilizacyjnymi. W krajach wysokorozwiniętych choroby infekcyjne zostały zredukowane, a kiedyś były głównym czynnikiem przedwczesnych zgonów. Obecnie tak się dzieje w Afryce – tam ok. 55% umiera na zapalenie płuc i inne infekcje ogólnoustrojowe, takie jak sepsa, która potrafi zabić w parę godzin.

Jak ma się oczekiwana długość życia Polaków do średniej europejskiej?

– Gonimy tę średnią od dłuższego czasu. Około dekady temu notowaliśmy bardzo szybki wzrost oczekiwanej długości życia – u nas rosła najszybciej ze wszystkich krajów Europy. Natomiast wciąż byliśmy poniżej średniej europejskiej. W ostatnich czterech latach, nie tylko w Polsce, nastąpiło wyraźne wyhamowanie wydłużania się oczekiwanej długości życia zarówno kobiet, jak i mężczyzn. Fenomenem Polski jest to, że oczekiwana długość życia mężczyzn jest aż o osiem lat niższa niż kobiet, u których wynosi 82 lata. Średnia europejska różnica

eprasa.pl 7f3ef78ddd

PROF. BOLESŁAW SAMOLIŃSKI

– kierownik Zakładu Profilaktyki Zagrożeń Środowiskowych i Alergologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, przewodniczący Rady Ekspertów przy Rzeczniku Praw Pacjenta, twórca polityki senioralnej w Polsce. Współtwórca strategii rozwoju zdrowia publicznego.

to około czterech lat. Czyli polska opieka zdrowotna nad mężczyznami jest znacznie z tyłu.

Czego polska służba zdrowia powinna szczególnie się wstydzić?

– Mamy dwa razy mniejszą przeżywalność osób zapadających na choroby nowotworowe niż Europa. To prawdziwy wstyd dla Polski.

Czy mimo COVID-19 coś w zdrowotności Polaków się poprawiło?

– W drugim kwartale 2020 r. nastąpił spadek zgonów w stosunku do analogicznego okresu w poprzednim roku. To fenomen wynikający najprawdopodobniej z lockdownu. Jednocześnie zamiast 40 mln porad podstawowej opieki zdrowotnej było ich 28 mln, bo niektórzy lekarze POZ pozamykali swoje gabinety. Ten fakt prowadzi do złośliwych uwag, że jak się zamknie służbę zdrowia, ludzie będą dłużej żyć. To sarkastyczne podejście do problemu. Mówienie czegokolwiek na ten temat bez rzetelnej analizy jest nieodpowiedzialnością, bo tworzy się nowe teorie, a już i tak Polak wystarczająco obrósł płaskoziemskim podejściem do życia. Zupełnie nie wiem, dlaczego było mniej zgonów. Pewnie analiza tego zjawiska ukaże się lada moment.

„Rak nie robi sobie przerwy", ale z powodu pandemii tysiące ludzi od wiosny bało się zbadać onkologicznie. W najbliższym czasie śmiertelność wzrośnie.

– Wzrośnie i będzie to wynikiem nastawienia systemu opieki zdrowotnej wyłącznie na COVID-19. Brytyjczycy obliczyli, że jeśli rozpoznanie nowotworu opóźni się o trzy miesiące, szansa na wyzdrowienie, na przeżycie zmaleje o 10%, a jeżeli opóźni się o pół roku, zmaleje o 35%. Onkolodzy dziś biją na alarm, że spadła liczba kart nowotworowych, a nie powinna, bo w nowotworach statystyka jest nieubłagana. W Polsce na nowotwory każdego dnia zapada 500 osób, z czego 270 umiera. To co będzie się działo, jeśli zamknęliśmy poradnie dla pacjentów, którzy mają nierozpoznane choroby nowotworowe? Opóźniając rozpoznanie, zmniejszamy szansę na przeżycie! Ale śmierć przyjdzie nie zaraz, tylko za jakiś czas.

Co więc dziś trzeba zrobić z COVID-19 oprócz profilaktyki?

– Zainwestować w rozbudowę bazy łóżkowej, gdyż z tą bazą łóżkową, którą dysponujemy, nie obsłużymy pacjentów wymagających pomocy medycznej, biorąc pod uwagę, że część z nich jest zakażona, część nie jest, ale też wymaga pomocy. Koronawirus rozprzestrzenia się w postępie geometrycznym, co jest nieprawdopodobnie niebezpieczne. Już teraz brakuje łóżek, sprzętu, dostępu do tlenu itd. Dojdzie do dramatów. Mówię o tym od pierwszych dni pandemii. Polityka prowadząca do wypłaszczenia krzywej była właściwa, w tym czasie dowiedzieliśmy się np., które grupy są najbardziej narażone na ryzyko. Zamiast jednak wykorzystać tę wiedzę, stwierdziliśmy, że COVID-19 już nas nie dotyczy.

Wyprawialiśmy wesela.

– Wesela to pół biedy. Głównym problemem było wpuszczenie jednego dnia paru milionów dzieci do szkół bez kontroli epidemiologicznej. To zbrodnia – nie na dzieciach, bo one świetnie to zniosą, tylko na pozostałej części społeczeństwa. Uważam, że to była główna ścieżka rozpowszechniania się koronawirusa bez kontroli. Dzieci szły do szkoły, tam się zarażały, bo siedziały w jednym pomieszczeniu ileś godzin przez pięć dni w tygodniu. Same nie chorują albo niewiele z nich choruje. Ale wracały do domu, gdzie zarażały rodziców w średnim wieku, a ci swoich starszych rodziców. Do tego dochodziło ryzyko zakażenia kadry pedagogicznej. Zgadzam się, wesela są ważnym źródłem transmisji zakażenia. Dla weselników powinny być takie same obostrzenia jak przy wejściu do szpitala: kilkudniowa kwarantanna, badania na obecność koronawirusa, dopiero wtedy się bawimy. Po 80. roku życia wejście na wesele powinno być zabronione.

Musimy tworzyć bańki społeczne, np. spotykać się tylko z wybranymi pięcioma osobami. Tak proponują specjaliści.

Teleporady są dobrym rozwiązaniem tylko w sytuacji, gdy z pacjentem nie dzieje się nic złego i trzeba mu przedłużyć leki.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 7f3ef78ddd

– Najwięcej badań na ten temat robią Brytyjczycy. Z tego, które opublikowali już wiosną, wynikało, że wśród osób do 10. roku życia tylko 10% miało objawy, a 5% wymagało hospitalizacji, a wśród 80-latków 27% miało objawy, z grupy objawowych aż 70% wymagało hospitalizacji. Śmiertelność u dzieci: 1 na 10 tys.; u 80-latków – 10%, czyli co 10. umierał. To jest informacja, w jaki sposób budować bezpieczeństwo społeczne, nie robiąc lockdownu. Ludzi 60+ należy izolować, a w przypadku pozostałych grup społecznych, szczególnie dzieci, można liczyć na budowanie odporności grupowej. Ten model jest proponowany dziś wszędzie.

Mamy dwa razy mniejszą przeżywalność osób zapadających na choroby nowotworowe niż Europa. To prawdziwy wstyd.

„Niech się młodzi zarażają, chrońmy starszych" – taką ukierunkowaną ochronę zaproponowali epidemiolodzy z Harvardu, Oksfordu i Uniwersytetu Stanforda.

– No, nie do końca „niech się młodzi zarażają". To może następować, ale stopniowo, aby nie przybyło naraz za dużo zakażonych, bo ochrona zdrowia ma swoją pojemność. Uczniów do szkoły należało wprowadzać stopniowo, oddzielać od siebie klasy, wprowadzić hybrydowe nauczanie, by rozrzedzić tłok i likwidować przestrzenie wspólne: szatnie, korytarze, stołówki. Edukować rodziców, jak ma się toczyć życie dzieci poza szkołą, a więc utrzymanie odległości, noszenie masek, mycie rąk, żeby zminimalizować tempo szerzenia się wirusa. Na pytanie, co jest przyczyną kolejnych rekordów zakażeń, wesela czy szkoły, odpowiadam: szkoły, ale to odpowiedź wynikająca wyłącznie z mojej intelektualnej analizy, a nie z analizy danych, bo w Polsce nie robimy takich badań!

Stałe monitorowanie transmisji wirusa powinno być podstawą decyzji politycznych. Wtedy się wprowadza pewne rozwiązania i śledzi, na ile są bezpieczne, na ile niebezpieczne. Proponowałem nawet, żeby w pierwszym tygodniu do szkół wysłać specjalistów zdrowia publicznego, żeby wraz z dyrektorami i wytycznymi GIS mogli zaplanować bezpieczną organizację każdej szkoły. Bo niby skąd dyrektorzy mogli wiedzieć, jak zaplanować takie bezpieczeństwo? Nie uciekniemy od COVID-19, epidemia będzie przez długi czas, nawet po pojawieniu się szczepionki. Musimy więc nauczyć się normalnie z wirusem żyć.

Funkcjonują kościoły, mimo że czytamy o zakażeniach duchownych. W ślad za nimi chorują wierni, głównie ludzie starsi.

– Seniorzy to najważniejszy problem polityki w epidemii. Powinniśmy mieć już opracowaną strategię opieki nad nimi, uwzględniając kontakty międzyludzkie konieczne dla zdrowia psychicznego i zaopatrzenie w produkty niezbędne do życia. To samo dotyczy ich obecności w przychodniach. Osoby po 65. roku życia trzy razy częściej niż inne grupy wiekowe korzystają ze służby zdrowia. Są przy tym znacznie słabiej przystosowane do samodzielnego funkcjonowania z powodu typowych dla tej grupy wiekowej cech: niedosłuchu, zaburzeń wzroku, pamięci, e-wykluczenia, słabości itd. W ograniczony sposób powinny kontaktować się ze sobą i innymi osobami, ale jednocześnie muszą w miarę sprawnie funkcjonować, co w czasach pandemii jest trudne. I tu jest rola państwa oraz lokalnych struktur samorządowych.

A co z siłowniami i basenami?

– Jeżeli nie znamy dróg transmisji wirusa SARS-CoV-2, to nie mamy racjonalnego uzasadnienia, by zamykać cokolwiek. A jeżeli zakażenia w siłowniach są rzadkością? Zamykanie ich będzie skutkowało nieuzasadnionym ograniczeniem ważnego dla zdrowia fizycznego i psychicznego treningu, aktywności ruchowej, rekomendowanej przez Światową Organizację Zdrowia jako podstawę zdrowego życia. Ponadto co ma ze sobą zrobić młodzież, która regularnie ćwiczy? A co z osobami, które muszą to robić ze względu na choroby narządu ruchu? Wszyscy byliśmy przekonani, że bardzo łatwo można się zarazić podczas podróży lotniczej. IATA przeprowadziła badanie na 350 tys. pasażerów i okazało się, że tylko jeden zaraził się w samolocie. Musimy podejmować decyzje na podstawie wiedzy i faktów naukowych.

Co pan jako alergolog sądzi o noszeniu maseczek?

– Zakładanie maseczek bawełnianych na usta słabo chroni przed zakażeniem, tak jak zakładanie przyłbic z pleksi na twarz. Liczy się filtr: maseczki są filtrem, przyłbica z pleksi nie. Kelner w restauracji zakłada przyłbicę na twarz i niesie jedzenie, czyli prawie pluje klientowi do zupy. Noszenie przyłbicy zamiast maseczki powinno być tak samo karalne jak nienoszenie maseczki. Nieprawdą jest, że maseczki są szkodliwe. Gdyby tak było, już dawno bym nie żył – przez 20 lat po parę godzin dziennie operowałem w maseczce i tak samo jak inni lekarze nie mam skutków negatywnych.

Z punktu widzenia alergenowego maseczki są rekomendowane, ponieważ szczególnie te chirurgiczne praktycznie nie przepuszczają alergenów. Niektóre maseczki nie przepuszczają również pyłów z kominów czy z ruchu samochodowego. Jeśli ktoś mieszka w Wawrze, Legionowie czy Rybniku, gdzie ostatnio znaleziono węgiel w moczu dzieci, gdzie jest wzrost nowotworów mózgu z powodu smogu, rekomendowałbym noszenie maseczki nawet nie ze względu na COVID-19, lecz z powodu zanieczyszczenie powietrza. Trzy elementy powszechnie rekomendowane: trzymanie odległości, maseczka i mycie rąk dają bardzo wysokie prawdopodobieństwo uchronienia się przed zakażeniem.

A co z noszeniem maseczki na pustej ulicy?

– Noszenie maseczki na pustej ulicy jest niepotrzebne. Ma to uzasadnienie jedynie wtedy, gdy nie jesteśmy w stanie utrzymać odległości od innych osób. Na świeżym powietrzu rozrzedzenie jest tak duże, że ryzyko zakażenia, szczerze powiedziawszy, jest prawie zerowe. Na wszelki wypadek można zakładać maseczkę, gdy rozmawiamy z kimś poza domem w odległości metra. Natomiast jeśli siedzimy w pomieszczeniu z drugą osobą, mamy najwyższe ryzyko zakażenia. Powinniśmy otworzyć okno, żeby wymienić powietrze, bo aerozol, który wydychamy, może zawierać wirusy.

Beata Igielska
b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Od Sasa do lasa

Kolejne wybory odbijają się czekawką, znowu czekanie do ostatniej chwili, liczenie głosów, kto kogo, dobrak czy niedobrak, katastrofa demokratów czy porażka demonicznego populisty. Znów ważą się losy świata; no ileż razy rocznie mogą się ważyć, gdzie minęły te czasy, kiedy można było wyborami się przejmować jak wynikami Super Bowl, ten czy tamten wygra, bez różnicy, świat od tego nie miał zamiaru się zawalać. Trump szaleje w stylu przerośniętego bobasa – nie ma sensu liczyć głosów, skoro on czuje, że wygrał; ba, on wie, od początku wiedział, właściwie rozpisywanie wyborów było zupełnie bez sensu, wystarczyło z automatu przedłużyć mu kadencję. W środę wyborczą skakał z podniesionymi rękami jak bokser, który znokautował rywala, chcąc zasugerować, że innego wyniku niż własne zwycięstwo nie uzna, najwyżej przywali sędziemu.

Co za dzień, nasz Długonosy, zwany też Krzywoustym, ogłasza kolejne zakazy: edukacja całkowicie zdalna, kultura całkowicie zablokowana. No jasne, to w teatrach i muzeach można się zakazić śmiertelnie niebezpiecznym dla kaczystowskiej władzy rozumem, szkoły przez internet również zbyt wiele nie nauczą, z perspektywy sondaży wyborczych kulturalna i edukacyjna blokada powinna zostać ogłoszona na zawsze, tak się wyhoduje stały dopływ elektoratu. Kolejny rekord przypadków – ba, cały ten kraj egzystuje z przypadku, przypadkowi politycy podejmują przypadkowe decyzje i coraz rzadsze są przypadki, by ktoś czuł się dzięki nim bezpiecznie. Za to oręż retoryczny się nie zmienia – Krzywousty, zwany też Długonosym, straszy już nie obcojęzycznym lockdownem, tylko naszą, swojską Narodową Kwarantanną. To tak na wypadek, gdyby miała się ona przytrafić przed marszem narodowców – zamiast spaceru niepodległości będzie niepodległościowe siedzenie w domu. Gdzie tam, przecież oni i tak muszą odpalić swoje race na Poniatoszczaku, zwłaszcza teraz, kiedy trzeba odpowiedzieć Strajkowi Kobiet, rewanż musi być tłumniejszy, głośniejszy i zajekebabisty. Cóż może począć władza – wojska na nich nie naśle, boby miała wojnę domową, mundurowi będą mogli co najwyżej biernie asystować, tekturowość państwa zatem się uwyraźni.

Jak mnie to wszystko mierzi, jak mi się chce zwiać, jak mi się chce drzew zamiast ludzi. Dopóki lasy niezamknięte, póki późny wysyp grzybów jeszcze trwa, zabieram mojego pięcioletniego syna na leśne przechadzki. Podśpiewujemy sobie refren jego ulubionego songwritera, Paprodziada: „Lubię do lasu iść sobie na spaca, / lasu doradza mi, lasu nawraca / lubię na polanę się wbić z dala / polana myśli rozwiane scala”. Włodzimierz Dembowski, posiadacz najbardziej krzaczastych brwi w historii polskiej muzyki rozrywkowej, wyznawca Jamesa Lovelocka i hipotezy Gai, bosonogi kontestator, jest jednym z pierwszych idoli Antosia – za sprawą barwnych przebieranek zespołu Łąki Łan (z podobnych przyczyn uwielbia zespół Kiss, zobaczony w jednym z odcinków serii „Scooby Doo”). Paprodziad rymuje inteligentnie i zdrowo, umacniam więc synka w jego zapatrzeniu się w tę postać, choć idea Lovelocka zdaje się dzisiaj wyjątkowo nadwyrężona pod naporem efektu cieplarnianego, pandemii koronawirusa i *last but not least* – samobójczych politycznych wyborów społeczeństw – homeostaza planety została bezpowrotnie naruszona, wygląda na to, że zmierzamy ku zagładzie. Czego oczywiście Antkowi nie tłumaczę, w lesie przyjemnie się o tym zapomina, o ile człowiek nie wejdzie na teren wycinki.

Grzybom się nadziwić nie możemy, że takie kolorowe i w nadrozmiarach, choć dużo napoczętych czerwiem. Ale i tak podsuszane w piekarniku spowiły mieszkanie zapachem. Antoś będzie ten zapach pamiętał i kojarzył z jesienią, jak ja go kojarzę z letnimi wakacjami, bo tylko na wakacjach na Podhalu wybieraliśmy się grzyby brać, rodzice niebezprzyczynnie musieli trwać w przekonaniu, że nasze lasy górnośląskie są toksyczne. Chodzimy w mazowieckie lasy najrozleglejsze i opustoszałe w środku tygodnia, i takie rozpostarte, świetliste. A grzybów najwięcej znajdujemy mimochodem; kiedy tylko się pakujemy w chaszcze celem znalezienia, grzyby się chowają; trzeba nam udawać przed lasem, że jesteśmy tylko przechodniami, nie zbieraczami.

Cały ten kraj egzystuje z przypadku, przypadkowi politycy podejmują przypadkowe decyzje i coraz rzadsze są przypadki, by ktoś czuł się dzięki nim bezpiecznie.

Raz nas napotkał tylko człowiek w liczbie pojedynczej, tubylczy grzybiarz mijany, o dziwo, splunął na mój ukłon, długowłosy mieszczuch z rozgadanym dzieckiem w „jego miejscu” wydał mu się obraźliwym zjawiskiem. Plwocina ludu wiejskiego zrosiła runo, ciekawe, co z niej wyrośnie. Po powrocie z lasu czytam o lesie, bo najnowszy numer „Literatury na Świecie” w całości poświęcony Henry’emu Davidowi Thoreau. Oprócz fragmentów dzienników gęste eseje o pustelniku z Concord, m.in. Charlesa Ivesa, który na jego cześć skomponował sławetną sonatę, lecz także Ralpha Waldo Emersona i Virginii Woolf. Świetna lektura, okazuje się, że moja młodzieńcza fascynacja autorem „Obywatelskiego nieposłuszeństwa” przetrwała (do dziś mam na półce egzemplarz „Walden” wyklejony zielnikiem, który dostałem od pierwszej żony).

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7f3ef78ddd

W odnajdowaniu drogowskazów

25 lat Fundacji Reorientacji Zawodowej i Pomocy Społecznej

Andrzej Gordon

Minęło ćwierć wieku od dnia, w którym grupa byłych działaczy Związku Młodzieży Socjalistycznej, Związku Młodzieży Wiejskiej i Zrzeszenia Studentów Polskich postanowiła założyć Fundację Reorientacji Zawodowej i Pomocy Społecznej. Warto zastanowić się nad tym ćwierćwieczem w kontekście celów i dokonań Fundacji oraz tego, co i jak łączyło ludzi, konsolidowało na nowo.

Przywykliśmy kojarzyć związki młodzieży wyłącznie w kategoriach *stricte* politycznych. Tymczasem fundatorzy, ludzie o lewicowej i egalitarnej orientacji, pragnęli zwrócić uwagę na niedostrzegany i często niedoceniany wkład związków młodzieży w przemiany społeczno-ekonomiczne i kulturowe. Jednym słowem cywilizacyjne. W Polsce po II wojnie światowej dokonywały się ogromne zmiany społeczne. Przede wszystkim nastąpiła migracja milionów Polaków na Ziemie Zachodnie i Północne oraz przemieszczanie się milionów ludzi związane z uprzemysławianiem Polski i nową, silną orientacją prooświatową. Kolejne pokolenia były przedmiotem, ale i podmiotem tych przemian. Przyjęte przez Fundację hasło reorientacji zawodowej kierowało uwagę młodzieży na konieczność odnajdywania się w tym przyśpieszonym rozwoju poprzez zdobywanie nowych kwalifikacji i umiejętności.

Proces ten miał swoje tradycje

Powstałe w Związku Młodzieży Wiejskiej albo przy jego współudziale Uniwersytety Ludowe kształtowały nowe widzenie na zmieniającej się wsi – nowoczesnej, ale silnej także swoją kulturową tożsamością. Szczególnie w tej dziedzinie Uniwersytety Ludowe bardzo dużo zawdzięczały kompetencji i ideowości swojej kadry. Popularyzowana, przy walnym udziale Franciszka Midury, sylwetka Waldemara Babinicza była przykładem tego wizjonerstwa i serdeczności, jaką w kreowanie postaw słuchaczy wkładali wykładowcy, wśród których znajdowali się m.in. rodzice laureatki Literackiej Nagrody Nobla Olgi Tokarczuk.

Z kolei wyrosłe z tradycji ruchu socjalistycznego Uniwersytety Robotnicze Związku Młodzieży Socjalistycznej były katalizatorem przemian społecznych, ale i psychologicznych dla tworzonej na nowo kadry w rodzących się ośrodkach przemysłu, górnictwa i energetyki. Przygotowywały one do zdobywania lub podwyższania kwalifikacji zawodowych, rozszerzały horyzonty wiedzy młodych słuchaczy. Trzeba pamiętać, że działo się to w czasie, gdy 25% robotników nie miało ukończonej szkoły podstawowej, a tylko 25% posiadało wykształcenie zawodowe. Uniwersytety Robotnicze skutecznie wypełniały tę lukę. Sama koncepcja była w dużej mierze autorska i rodziła się w kręgu aktywu ZMS. Z wszystkimi wynikającymi z tego konsekwencjami, dobrymi i złymi. Po latach zastanawiano się w „Przeglądzie Historyczno-Oświatowym": „Czy Uniwersytety Robotnicze ZMS były szlachetną ideą, czy narzędziem indoktrynacji?". Nie kwestionowano jednak ich znaczącego dorobku w sferze edukacji ani wpływu na wzrost wiedzy młodzieży.

Odrębną formą przemian społecznych, organizowaną i kształtowaną przez ZMS i ZMW, były Ochotnicze Hufce Pracy. Dzięki nim setki tysięcy młodych ludzi uzyskało kwalifikacje zawodowe i zdobyło miejsca pracy. Popularyzowany przez ZMS Turniej Młodych Mistrzów Techniki, który według współczesnego języka można definiować jako rozwiązanie ze sfery otoczenia biznesu, odgrywał ważną rolę w propagowaniu samokształcenia i zbiorowej kreacji nowoczesnej produkcji.

Mało kto pamięta, że ruch Młodzieżowych Brygad Pracy Socjalistycznej oprócz zwiększania efektywności w pracy i racjonalizacji stymulował również podnoszenie kwalifikacji zawodowych i wiedzy ogólnej.

Współcześnie jako o oczywistości mówi się o kształceniu permanentnym. Warto więc przypomnieć wkład Zrzeszenia Studentów Polskich na początku tego procesu. Procesu, który wyrastał przede wszystkim z potrzeby innego, głębszego spojrzenia na studia wieczorowe i zaoczne.

Obecnie w Polsce wdrażane są przyjęte w Europie ośmiostopniowe ramy kwalifikacyjne, obejmujące wiedzę, umiejętności i kwalifikacje społeczne ze studiami doktoranckimi jako zwieńczeniem tej drabiny. Reorientacja, którą przyjęto w Fundacji jako hasło, cel i zadanie, potwierdziła, że rozumiano w pełni konieczność odnajdywania się w tym niezwykle złożonym procesie. Z jednej strony, była to swoista gotowość do uzupełniania kwalifikacji, a z drugiej, budzenie refleksji nad kształceniem „dla reorientacji". Wnioski, jakie wyciągnięto z tego przesłania, zaowocowały podjęciem przez Fundację kursów wspomagających te procesy.

W opracowaniu uczonych, którzy m.in. pracowali nad raportem o świecie dla przewodniczącego ONZ U Thanta, stwierdzono, że praca zaledwie ok. 22% populacji w wieku od 21 do 55 lat wystarczy, aby zaspokoić podówczas definiowane potrzeby ludzkości. Dalej będzie się zmieniać rola pracy w życiu społeczeństw, a tym samym inaczej trzeba będzie patrzeć na kwalifikacje zawodowe, preorientację i reorientację zawodową czy kształcenie permanentne. Ważna jest w tym rola ludzkiej wyobraźni. Założyciele Fundacji postawili na nią jako na swoisty intelektualny drogowskaz.

Społeczna i ludzka wrażliwość

Drugim drogowskazem, którym kierowała się Fundacja, jest społeczna i ludzka wrażliwość. Trudno inaczej odczytać pomoc

eprasa.pl 7f3ef78ddd

społeczną niż jako chęć pomagania ludziom w potrzebie. Tym, którzy na ogół nie mieli odwagi lub wstydzili się prosić o pomoc. Fundacja dawała zapomogi ludziom, którzy na ogół nie pisali podań. Czynili to za nich, czasami nawet bez ich wiedzy, sami Fundatorzy. Wiedzieli też, że dla wielu tak samo, a może i bardziej ważne od samej kwoty zapomogi jest to, że ktoś o ich potrzebach pomyślał. Tak Fundacja kupiła wózek inwalidzki, płytę na grób wspaniałego człowieka, którego rodzina nie miała na to środków, płaciła za zabiegi lekarskie i zakup sprzętu medycznego. Fundatorzy, również poprzez Fundację, pomagali konkretnym rodzinom, których po prostu na niektóre rzeczy, wcale nie wydumane, nie było stać.

Odrębną, wspólnotową formą kontaktów były organizowane przez działaczy Fundacji spotkania ludzi, których łączą postawy egalitarne i działalność w związkach młodzieży. Pielęgnowano przyjaźnie i sympatie wykraczające poza wymiary koleżeństwa. Jakże serdeczne były te składkowe spotkania. Każdy płacił za siebie. Ważne było, aby być razem. Wśród uczestników spotkań część miała za sobą kariery polityczne, dyplomatyczne, naukowe, bankowe oraz samorządowe i społeczne. Część realizowała się inaczej. Jednym z uczestników spotkań był współkonstruktor pralki bębnowej, która znajduje się obecnie w Muzeum Techniki, wcześniej pracujący przy popularnej wirnikowej Frani. Byli autorzy książek reportażowych, dziennikarze tworzący interesujące czasopisma, pasjonat przypominający wartości literackie światowej i polskiej aforystyki, autor książek o śląskiej duszy, o doli i niedoli Ślązaczek i Ślązaków, autor wierszy do jednego ze współczesnych elementarzy oraz piosenek dla dzieci, śpiewanych m.in. przez Gawędę. Byli też ci, którzy przez całe dziesięciolecia kreowali wraz z Marianem Woroninem młodzieżowe czwartki lekkoatletyczne, z których wyrośli późniejsi medaliści olimpijscy, mistrzowie świata i Europy. Wśród uczestników spotkań byli prezesi PKOl i związków sportowych.

Prezes Zarządu Fundacji, który współtworzył m.in. pierwszą polską giełdę artykułów rolniczych, cieszył się, że wszyscy mogą być razem, a wśród nich najlepsi w Polsce profesorowie medycyny, specjaliści od leczenia chorób oczu i słuchu. Także ci, którzy nadawali nowe oblicze polskiemu hotelarstwu, gastronomii, inicjowali rozbudowę szkolnictwa turystycznego, działacze współkształtujący polską spółdzielczość mieszkaniową, unowocześnianie kolejnictwa. Osoby, które – jeszcze przed Okrągłym Stołem – utworzyły Narodową Fundację Ochrony Środowiska, skupiającą ekologów o różnych światopoglądach i orientacji politycznej, a także osoby odważnie, po przemianach, stawiające na własny biznes. Jeden z nich od lat wspomaga edukację dzieci w środkowej Afryce, w okolicach Mombasy.

Znamienne jest, jak bardzo te spotkania były oczekiwane. Ich uczestników połączyło to, o czym pisał Adam Mickiewicz w 1849 r. w „Trybunie Ludów": „Socjalizm jest wyrazem uczucia tak starego jak poczucie życia, odczucia tego, co w naszym życiu jest niepełne, okaleczałe, nienormalne, a zatem tego, co nieszczęśliwe. Uczucie socjalne jest porywem ducha ku lepszemu bytowi, nie indywidualnemu, lecz wspólnemu i solidarnemu". Teraz wierni hasłu „Razem, młodzi przyjaciele" cieszyli się z tego, co robili i co robią, jak i z tego, że są razem. Z czasem przybywało smutku. Odchodzili żegnani nekrologami Fundatorzy i działacze Fundacji.

Fundacja kończy swoją działalność. Decyzja ta wynika z upływającego czasu i tym samym z coraz starszego wieku Fundatorów. Trochę tego żal, kiedy obserwujemy, jak postępuje atomizacja i dezintegracja społeczna. Jak bardzo brakuje wrażliwości na co dzień. To groźne zjawiska. Wielu ludziom brakuje radości z życia. Bardzo wolno krzepną przyjaźnie.

Może więc przypomnienie ludzi Fundacji i wielkiego celu, jaki sobie postawili 25 lat temu, zachęci innych do kontynuacji tych działań. Są one potrzebne tak jak wówczas, a może nawet jeszcze bardziej. Plagą naszych czasów stają się bowiem samotność i egoizm. ■

W 25. rocznicę powołania Fundacji Reorientacji Zawodowej i Pomocy Społecznej przypominamy naszych zmarłych Przyjaciół i Kolegów Fundatorów:

Kazimierza DERĘ, Leszka SZYDŁOWSKIEGO, Stanisława WITTKA, Grzegorza WOLFFA, Wiesława KLIMCZAKA, Wojciecha PAWŁOWSKIEGO, Jana PAWLAKA, Bohdana MIŁACZEWSKIEGO

Cześć Ich pamięci!

Jerzy Bolesławski, Józef Burawski, Franciszek Ciemny, Andrzej Gordon, Stanisław Gabrielski, Stanisław Gutek, Marek Jurkowicz, Bogdan Jachacz, Władysław Kaczorkiewicz, Krzysztof Krowacki, Andrzej Karliński, Kazimierz Kłoda, Andrzej Łachut, Ryszard Łukasiewicz, Andrzej Majkowski, Maciej Matyjaszczyk, Jerzy Mazurek, Janusz Patorski, Marek Prędota, Mieczysław Poniewski, Henryk Rakoczy, Andrzej Skąpski, Jerzy Stefański, Marek Walicki

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Chłopak, który czytał gazety

Jako nastolatek kupowałem „Sztandar Młodych". Przyczyna była prosta – drukowano tam „Listę Przebojów Studia Rytm"

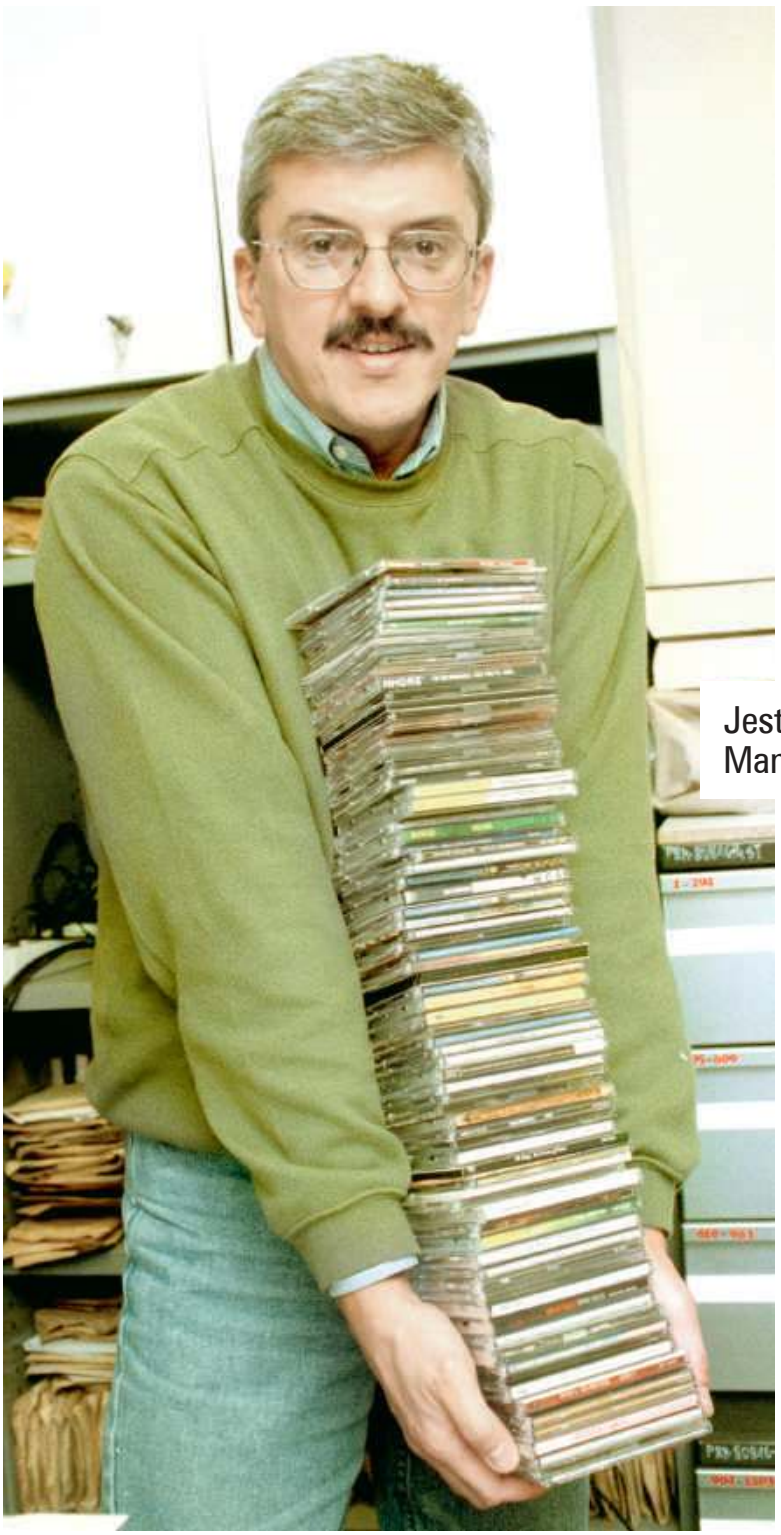

Marek Niedźwiecki

W Szadku, kiedy byłem chłopcem, jak wszystkie ówczesne nastolatki, czytałem i kolekcjonowałem „Tytusy". Ale już niekoniecznie jak wszystkie nastolatki kupowałem „Sztandar Młodych". Przyczyna była prosta – drukowano tam „Listę Przebojów Studia Rytm". To działo się w latach 1968–1973. Przeżywałem katusze, bo kusiło mnie, żeby podejrzeć, co jest na Liście – audycja była w sobotę od 18.00 do 19.00, a „Sztandar Młodych" kupowało się rano. Ćwiczyłem samodyscyplinę. Choć czasami, przyznam się ze skruchą po latach, brałem do ręki „Sztandar" i patrzyłem, ale tylko na to, co będzie np. na dziesiątym miejscu. Zazwyczaj jednak wytrzymywałem bez podglądania. Bo najistotniejsze było dla mnie, żeby wysłuchać tego na żywo, dać się zaskoczyć przez jakiś skok czy spadek na liście, liczyło się wyczekiwanie i napięcie.

Jestem uzależniony od kupowania płyt. Mam płyty, których nigdy nie rozpieczętowałem.

Później kupowałem „Głos Robotniczy", bo w maju był Wyścig Pokoju, a tam drukowali wszystkie wyniki. To była fascynacja, nawet tacy jak ja, którzy na co dzień w ogóle nie interesowali się sportem, czekali na to wydarzenie, jeden z najważniejszych momentów w roku. Emocje sięgały zenitu – jechali Szurkowski, Szozda, Mytnik.

Potem kupowałem regularnie pismo muzyczne „Non Stop". Ale to już robiłem – mimo mojego młodego wówczas wieku – raczej z powodów zawodowych. Nieczęsto się zdarza, że zawód i życie prywatne są tak ściśle ze sobą związane. Że pasję, osobiste zainteresowania można przekuć w pracę, a w dodatku że przez to niestety stajesz się rozpoznawalnym człowiekiem. O tym zresztą wtedy wcale nie myślałem.

To jest chyba szczęście. Znam wielu ludzi, którzy męczą się, kiedy muszą wstać i iść do pracy. Jest ona dla nich czymś, co trzeba odbębnić, a potem dopiero zaczyna się właściwe życie. A ja na skrzydłach pieśni wstawałem rano, wsiadałem w samochód – jechałem

eprasa.pl 7f3ef78ddd

do pracy tak, jakbym jechał do drugiego domu. Zresztą tak ją traktowałem – miałem tam wiele swoich płyt, wiele swoich rzeczy.

To nigdy się nie zmieniło. To znaczy zmieniło się teraz, bo jestem już na emeryturze i powinienem pomału pozbywać się nadmiaru rzeczy.

Kupowałem „Głos Robotniczy", bo w maju był Wyścig Pokoju, a tam drukowali wszystkie wyniki.

Obecnie rozdaję – płyty, których mam tysiące, i szklanki do piwa z Hard Rock Cafe, które od dziesiątków lat zbierałem, nie bardzo wiem po co, skoro nigdy nie byłem „piwiakiem". Wolę wino.

•

Mam w domu 15 tys. płyt. Mniej więcej. Szczerze mówiąc, raczej pewnie więcej niż mniej. Są u mnie wszędzie – jest płyciarnia w przedpokoju, w sypialni i w drugim pokoju, balkon też przerobiłem na płyciarnię. Tylko w kuchni nie trzymam płyt. Stolarz, który ostatnio robił mi szafkę, zapytał: „Panie Marku, to kiedy pan nas poprosi, żebyśmy zrobili panu półkę nad łóżkiem?". No nie, to już by była przesada – mieć płyty nad głową, kiedy śpię. Czułbym się trochę osaczony.

To jest typowe uzależnienie. Tak jak inni od zakupów czy używek – ja jestem uzależniony od kupowania płyt. Nic nie pomaga powtarzanie sobie, że przecież teraz wszystko jest w necie. Na iTunes czy gdziekolwiek indziej mogę sobie posłuchać płyty Julii Fordham, która wyszła wczoraj – na CD dostanę ją dopiero za miesiąc, więc właściwie po co mi wtedy? Dzisiaj muzyka istnieje głównie w postaci cyfrowych plików. Myślałem, że się do tego nie przyzwyczaję i się temu nie poddam, ale czasami było jakieś nagranie, którego nagle potrzebowałem, więc kupowałem je przez internet. Radio musi szybko reagować. Teraz to działa tak – piosenka Billie Eilish do nowego „Bonda" pojawia się w nocy z piątku na sobotę, a w poniedziałek ma już 30 mln odsłon.

Mimo to nadal kupuję płyty! Muszę je mieć, dotknąć, powąchać, przeczytać książeczkę. Sam plik z muzyką mi nie wystarcza.

Mam płyty, których nigdy nie rozpieczętowałem. Jeszcze całkiem niedawno miałem nieodfoliowany krążek Phila Collinsa „Face Value" (z 1981 r.). Nie ja jeden tak mam. Pytam kiedyś Wojtka Manna, pokazując na spory stosik:

– Wojtek, a co tam leży?

– No, płyty.

– I nie otwierasz tego?

– Nie, skoro już mam…

Pamiętam, jak na początku lat 90. wracałem z Chicago, miałem w bagażu 200 nowych płyt i na Okęciu celnik pyta:

– Dzień dobry, panie Marku, to ile tam pan płyt przywozi tym razem?

– Tak ze sto.

On na to tylko się roześmiał.

– No dobra, dwieście. – Musiałem przyznać się do nałogu.

Oczywiście to były płyty kupione nie na handel, tylko do prywatnego i zawodowego użytku, co zresztą w moim przypadku właściwie zawsze oznaczało jedno i to samo. Jak wyglądało kupowanie w Stanach? Wyciągałem płyty z pudełek, które zostawały w Chicago, a przywoziłem tylko same CD i książeczki. W Polsce oprawiałem płyty w pudełka, które zostały mi po krążkach wywożonych do Stanów i rozdawanych znajomym. Po co wozić pudełka tam i z powrotem?

Wiem, że mam za dużo płyt, ale dopiero niedawno jakoś się przełamałem i powoli się ich pozbywam.

Znam ludzi, którzy męczą się, kiedy muszą wstać i iść do pracy. Ja jechałem do pracy jak do drugiego domu.

Jak mnie ktoś prosi o coś konkretnego, tak jak żona kuzyna o Björk albo kuzyn o Metallicę, to wszystko oddaję. Podpisuję też płyty, wysyłam słuchaczowi, on jest szczęśliwy, że dostał ode mnie płytę Phila Collinsa albo Genesis. Ktoś do mnie pisze: „To byłby dla mnie zaszczyt, gdyby przysłał mi pan podpisaną przez siebie płytę". Czemu nie zrobić komuś tej drobnej przyjemności? Sam pamiętam, jak to było, kiedy dostawałem płyty od Marka Gaszyńskiego, Piotra Kaczkowskiego czy Wojciecha Manna. To było dla mnie prawdziwe szczęście.

Nawiasem mówiąc, zawsze starałem się odpisywać na maile słuchaczy. Na listy rzadko, ale maile to co innego – bardziej poręczna forma. Zwłaszcza jeżeli ktoś pisał: „Dzisiaj zaprezentował pan piosenkę, która brzmiała jak King Crimson, ale to nie był ten zespół. Panie Marku, błagam, niech pan podpowie, bo będzie mnie to męczyło". No to odpisuję.

Kiedyś miałem kolekcję czarnych płyt, tak ze cztery metry bieżące, ale na początku lat dwutysięcznych sprzedałem wszystko właścicielowi małego sklepu muzycznego. Chociaż „sprzedałem" to nie jest odpowiednie określenie. Przyszedł do mnie do radia w sobotę w trakcie „Markomanii" i przez te trzy czy cztery godziny, bo tyle trwała audycja, przejrzał płyty i prawie wszystko wziął. A w zamian dostałem pieniądze, za które mogłem kupić kilka płyt kompaktowych. Tak to się skończyło. W tej chwili jest powrót do czarnej płyty, ale jakoś za nimi nie tęsknię. Czasami grałem coś z płyty analogowej, bo moim zdaniem Barbra Streisand w piosence „Somewhere" brzmi lepiej z czarnej płyty. A kiedy mam spotkanie autorskie i gram „Hotel California", wybieram płytę analogową. Zostawiłem sobie kilkadziesiąt winyli, ale trudno powiedzieć, żebym był ich kolekcjonerem. Mam też ciągle minidyski, z którymi kompletnie nie wiem, co zrobić, bo nikt już ich nie używa. Ale wyrzucić jakoś nie mam serca. Kaset się pozbyłem, bo to był nośnik, który zawsze darzyłem najmniejszą sympatią.

Mam za to kasety VHS z filmami, które nagrywało się z telewizji, np. „Lecą żurawie" albo „Spotkanie ze szpiegiem", bo tam przez chwilę pokazany jest Szadek. Do wyrzucenia to wszystko, naprawdę. Może poza „Piękną Angeliką" z Michèle Mercier, w której kochałem się na zabój. Ale i to są względy czysto sentymentalne. Chociaż mógłbym wywalić i tę „Angelikę", skoro mam ją też na DVD.

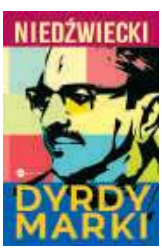

Fragmenty książki Marka Niedźwieckiego *Dyrdymarki*, Wielka Litera, Warszawa 2020

FOT. MIREK NOWORYTA/AGENCJA SE/EAST NEWS

eprasa.pl 7f3ef78ddd

MIĘDZY OKŁADKAMI

Boel Westin
Tove Jansson. Mama Muminków
tłum. Bogumiła Ratajczak
Marginesy, Warszawa 2020

Muminki podbiły serca ludzi na całym świecie i w każdym wieku. W tym tkwi siła książek dla dzieci, że są ponadgeneracyjne i niosą wartości humanistyczne. Za takimi opowieściami stoją niezwykli ludzie. O Tove Jansson do tej pory nie wiedzieliśmy zbyt wiele. Na szczęście zmienia to gruba jak cegła i rzetelna jak zeznanie biografia pióra Boel Westin. Nie byłoby tej sagi bez Tuulikki Pietilä, graficzki, z którą Jansson była związana przez 40 lat. To ona ocaliła intymne dzienniki z niemal całego życia, tysiące listów i szpargałów pisarki. Dzięki nim profesorka ze Sztokholmu napisała fascynującą opowieść o twardo stąpającej po ziemi artystce i fenomenie Muminków. Propozycja nie tylko dla tych, którzy w tych niełatwych czasach tęsknią za dziecięcą krainą Muminków.

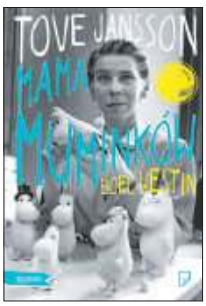

Rafał Pikuła

ZASŁUCHAJ SIĘ

Wasiucionek/Michalik
Enescu/Prokofiev/Szymanowski
DUX

Kompozycje na skrzypce i fortepian łączy czas powstania, ale i nazwisko dawno nieżyjącego polskiego skrzypka, Pawła Kochańskiego, który przyczynił się do ich stworzenia. Był tak wybitnym i doświadczonym solistą, że służył ówczesnym kompozytorom jako ekspert i doradca. On również nierzadko był pierwszym wykonawcą tych dzieł. Słuchając „Sonaty" Enescu, „Melodii" Prokofiewa i „Mitów" Szymanowskiego, podziwiamy bogatą gamę sposobów wydobywania dźwięku ze skrzypiec, kolorystycznych błyskotek, co zapewne zawdzięczamy podpowiedziom Kochańskiego. Są to liczne flażolety, dwudźwięki czy tryle, którym klimatycznie towarzyszy fortepian. Nagrania dokonały utalentowane artystki, Małgorzata Wasiucionek i Sylwia Michalik.

Bronisław Tumiłowicz

SERIAL

KRÓL
reż. Jan P. Matuszyński,
prod. Polska, już w Canal+

Każdy kadr „Króla" mieni się złotówkami. Widać, że produkcja pochłonęła ciężkie pieniądze. Ale ekranizacja prozy Szczepana Twardocha to coś więcej niż fantastyczne zdjęcia, kostiumy i scenografia. Pod świecidełkami kryją się aktualne refleksje na temat napięć kulturowych i wojen ideologicznych. Przenosimy się do 1937 r., ale wojna PPS i ONR-Falangi równie dobrze mogłaby się rozegrać za oknem. Reżyser nie sili się jednak na analogie do współczesności. Woli się skupić na dokładnym zarysowaniu wątków i relacji pomiędzy postaciami. Na pierwszym tle gotuje się do walki bokser Szapiro (magnetyczny Michał Żurawski), któremu skomplikowana tożsamość niewierzącego Żyda i rzezimieszka na usługach Kuma Kaplicy (świetny Arkadiusz Jakubik) nastręcza pytań, czy aby na pewno przynależy do świata, który go otacza. To nie tylko pocztówka z przeszłości, ale też namysł nad niejednorodnością polskiej kultury.

Artur Zaborski

KURTYNA W GÓRĘ

GŁOS W PALĄCEJ SPRAWIE

Odłożona na kilka miesięcy premiera okazała się jeszcze bardziej współczesna – w końcowej scenie widzimy fragmenty zapisu protestu Czarnych Parasolek sprzed kilku lat. W dniu premiery kilka kroków od siedziby teatru przemaszerowała pierwsza demonstracja przeciw zaostrzeniu prawa antyaborcyjnego. W ten sposób historia ośmiu kobiet spotykających się w mykwie, gdzie kultywują rytuał oczyszczenia narzucany przez obyczaj i jej strażniczkę (Ernestyna Winnicka), odsuwającą ingerencje w prawdziwe życie, nagle pęka, rymuje się z wybuchem protestu. Nowa pracownica mykwy (Ewa Tucholska) nie podziela dystansu wobec dramatów kobiet, które odwiedzają mykwę w nadziei na lepszy los, a na co dzień doznają upokorzeń ze strony patriarchalnego świata. Kobiety mówią dość.

Trudno było o lepszy słuch społeczny i o trafniejszy wybór repertuaru przez teatr, mądrze zabierający w ten sposób głos w palącej sprawie. Rzecz jednak w znalezieniu idealnej formy do wyrażenia sensu sztuki Hadad Garlon. Każda z portretowanych tu kobiet zyskała niepowtarzalny wizerunek, każda jest osobnym światem i przeżywa własny dramat, ale wszystkie tworzą na pozór rozdartą społeczność mykwy, która krok po kroku przeradza się w szaniec obrony prawa kobiet do równego traktowania. Mądre, świetnie grane przedstawienie.

Tomasz Miłkowski

Hadad Garlon, „Mykwa", tłumaczenie Dorota Sikorska, reżyseria Karolina Kirsz, Teatr Żydowski im. Estery Rachel i Idy Kamińskich, premiera 23 października 2020

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

Święta Beata od poetów

Mam kolegę, Maćka, który zawsze kiedy umrze jakiś jego znajomy – lokalny poeta, bibliotekarka albo wokalista grupy punkowej – dzwoni do mnie i mówi: – Dziewczyno, musisz o nim napisać felieton. To był taki wspaniały człowiek. Tyle dobrego zrobił. Tak go wszyscy lubili.

Potem kolega odprawia nad zmarłym prywatny rytuał, podczas którego pije, płacze i dzwoni do ludzi, żeby zmarłego wspominać. W taki sposób się żegna. A w sprawie felietonu nigdy nie nalega. Prośbę wyraża raz i wygląda na to, że jest ona także częścią tego rytuału.

Kiedy ze stanowiska – teatru/muzeum/domu kultury/galerii – odchodzi ktoś, kogo kochamy, kto jest jednym z tych świeckich świętych, co integrują wokół siebie społeczność, czujemy się tak jak Maciek. Zwłaszcza jeśli odejście naszego „świętego" to nie żadne odejście, tylko zwolnienie. Teraz, Maćku, pilniejsze jest pisanie o żywych, szczególnie jeśli są – jak mówi Krystian Lupa – „marzycielami", czyli ludźmi, których horyzontu nigdy nie ograniczały takie rzeczy jak polityczne kunktatorstwo, chciwość, nawet zwykła próżność czy – jak to się mówi – kariera. Taką osobą jest Beata Gula, którą właśnie zwolniono z funkcji kierowniczki literackiej Staromiejskiego Domu Kultury.

Jak można wnioskować z żałobnych telefonów Maćka – wielu jest wspaniałych ludzi pośród tych mniej wspaniałych. Wielu, których powinniśmy chwalić, koronować ich głowy i nagradzać za pracę, która w przypadku „marzycieli" zrasta się z życiem. Bo nie ma „prywatnego" życia, kiedy trzeba zostać dłużej, przyjść w niedzielę, coś znienacka zorganizować, komuś odpuścić, komuś pomóc, pójść do kogoś do domu albo przyjąć u siebie. Ale nawet wśród tych „fajnych", nadprogramowych pracowników instytucji kulturalnych Beata Gula świeci jak broszka w czarnej wełnie. Jej wychowankowie stali się rodziną, stworzyła dla nich Wspólny Pokój, seminarium, które już ma miejsce w historii polskiej literatury i kultury w ogóle. Organizowała zresztą nie tylko seminaria, ale też festiwale literackie, warsztaty, wykłady, spotkania i podejmowała setki (*sic*!) innych inicjatyw – od 30 lat Gula wyznacza centrum znacznej części środowiska literackiego w Warszawie.

Kim są jej przyjaciółki i przyjaciele? Kim jej wychowankowie? To głównie poetki i poeci. Ale także badacze i historycy literatury, krytyczki i krytycy, tłumaczki, doktorantki, redaktorzy, graficzki itd. Ludzie, którzy na uczelniach, w domach kultury czy w prasie (nie tylko literackiej) przekazują dalej wiedzę i doświadczenie, jakie zdobyli we Wspólnym Pokoju. I wreszcie wydawnictwo – jedyne chyba w Polsce wydawnictwo poetyckie, kierowane przez kobietę; od lat publikuje niekomercyjne, ambitne, trudne książki, poszerzając pole poetyckiego „widzenia" i percepcyjne przyzwyczajenia czytelników.

Beata Gula świeci jak broszka w czarnej wełnie. Jej wychowankowie stali się rodziną, stworzyła dla nich Wspólny Pokój.

Jest jeszcze jedna okoliczność – wewnątrz środowiska, które animowała Beata Gula, oprócz silnych osobowości twórczych znalazło się wiele osób delikatnych, ekscentrycznych, dla których kierowany przez Beatę Wspólny Pokój był jedynym właściwym „domem", pojmowanym jako miejsce, gdzie człowiek może poczuć się zrozumiany i akceptowany – taki jaki jest.

Jeśli jest jeszcze jakiś sposób, żeby przywrócić Beatę na stanowisko kierowniczki literackiej Staromiejskiego Domu Kultury – apeluję do Was, urzędnicy, pomóżcie! To jest ta spotykana tak rzadko sasanka słowacka, turzyca pchla, malina moroszka, wełnianka delikatna, bagnica torfowa, rozrzutka alpejska – jest pod ochroną. Chyba nie można jej tak po prostu wyrzucić?

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

BĄDŹMY W KONTAKCIE
Zapisałeś się już? Dołącz do nas!
Otrzymasz informacje o najnowszym wydaniu PRZEGLĄDU, komentarze do aktualnych wydarzeń oraz newsy o naszych książkach.
NEWSLETTER
www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Spalmy świat i sprzedajmy to, co zostanie

Argentyna płonie. Strażacy ewakuują ludność, przyrodnicy liczą straty, a deweloperzy i eksporterzy mięsa kalkulują zyski

Wojciech Ganczarek
Korespondencja z Argentyny

– Ogień zbliżał się z trzech stron: z północy, wschodu i południa – mówi Andrés mieszkający niedaleko miejscowości Tanti w dolinie Punilla, w centralnej części kraju. Region przez prawie pół roku nie mógł sobie poradzić z falą pożarów. Kiedy płomienie były 5 km od domu, Andrés postanowił wywieźć rodzinę w bezpieczne miejsce. – Wiedzieliśmy, że w przypadku ewakuacji straż pożarna nie zabiera zwierząt. Mamy cztery psy, nie chcieliśmy ich narażać.

Rzeczywiście, tegorocznej wiosny, czyli podczas polskiej jesieni, w okolicy spłonęły dziesiątki koni i krów. Andrés zostawił żonę i czworonogi u teściowej w Córdobie, 50 km od Tanti. Sam wrócił. Wziął wąż ogrodowy i zaczął zraszać wodą dach, ściany domu i podwórko.

Tymczasem na ulicach Córdoby, stolicy prowincji o tej samej nazwie, czuć było spalenizną. – Zaczęło się w piątek po południu – mówi Celeste – więc pomyślałam, że może ktoś z sąsiadów robi grilla.

Ale następnego dnia rano zapach się wzmógł. Celeste zadzwoniła do rodziców. Powiedzieli, że u nich również w powietrzu wisiał dym. Mieszkają w Crespo, 400 km od Córdoby, na wschodnim brzegu Parany. Na zachodnim leży miasto Santa Fe. Stamtąd pochodzi Romina, biolożka i kajakarka. – Do dziś oddychamy dymem – skarży się. – A gdy powieje ze wschodu, nad miastem osiadają popioły.

Podczas gdy uwaga argentyńskiej opinii publicznej skupia się na pandemii, już od długich miesięcy płoną ostatnie – dosłownie! – lasy Córdoby i wysychające mokradła Parany. To jak najbardziej spodziewana klęska żywiołowa. Związek pożarów ze wzrostem światowego popytu na mięso i zainteresowaniem branży nieruchomości jest aż nazbyt ewidentny.

Więcej luksusu

1,5 mln – to przybliżona liczba mieszkańców Córdoby. Bezpośrednio po zachodniej stronie miasta wznoszą się góry Sierras de Córdoba, numer jeden turystyki krajowej. Jeśli przenieść tę sytuację na polski grunt, to trochę tak, jakby Zakopane leżało 30 km od Warszawy. Łatwo sobie wyobrazić zainteresowanie kupnem terenów w takiej okolicy. – Niby przypadkowo płonie las, a za kilka miesięcy na jego miejscu pojawia się zamknięte osiedle, z polem golfowym i basenem – mówi Andrés – co tu jeszcze wyjaśniać?

Jak donosi Joaquín Deón, również z UNC, w okolicach miejscowości Cosquín, gdzie płomienie strawiły w tym roku 20 tys. ha, ma powstać kompleks turystyczny. Płoną rezerwaty Bamba, Villa Allende i inne, a w ich miejsce pojawiają się luksusowe dzielnice w atrakcyjnym sąsiedztwie rzek, pętle do motokrosu i enduro, pola golfowe czy żwirownie zasilające regionalny bum budowlany.

Z informacji Instytutu Gulicha wynika, że w latach 1999-2017 najbardziej ucierpiał łańcuch górski Sierras Chicas: w płomieniach stanęło 38% powierzchni mikroregionu. Sierras Chicas leżą najbliżej Córdoby i to tam walka o tereny deweloperskie jest najbardziej bezwzględna. Tymczasem prowincja bije rekordy wylesiania. Wycięto ją w pień – z istniejących

> Niby przypadkowo płonie las, a za kilka miesięcy na jego miejscu pojawia się zamknięte osiedle.

Prawo zakazuje ścinania naturalnych lasów i zmiany planu zagospodarowania z obszaru chronionego na działkę budowlaną. Ale kiedy nie ma już drzew, które trzeba chronić, sprawa jest do załatwienia. Czasem jeden pożar nie wystarcza i trzeba podpalać rok w rok przez cztery, pięć lat, żeby zniszczyć lokalny drzewostan. – Tylko przy drodze między Córdobą a Carlos Paz masz 17 tego typu osiedli – dodaje mężczyzna.

To prawda, że susza w tym roku była wyjątkowa. Ocenia się, że przez ponad 200 dni nad regionem nie spadła ani kropla deszczu. To najgorszy wynik od 1955 r., odkąd zaczęto mierzyć poziom opadów. Jednak lasy zazwyczaj nie podpalają się same. Julián Mignino z Uniwersytetu Narodowego w Córdobie (UNC) podaje, że według statystyk 95% pożarów to celowe podpalenia.

jeszcze na początku XX w. 12 mln ha lasów (to obszar odpowiadający łącznej powierzchni Czech i Słowacji) do dziś ostało się nie więcej niż 5%. W 2020 r. płoną resztki – nad wyniesionym na ok. 3 tys. m n.p.m. łukiem gór unosi się łuna.

Ktoś zapyta: a gdzie jest państwo? Cóż, państwo robi dokładnie to samo. Pod koniec sierpnia ogień podłożony w okolicach góry Pan de Azúcar strawił większą część rozciągającego się na zaledwie 520 ha gminnego rezerwatu Quisquisacate, kwalifikującego się do czerwonej strefy, czyli lasów o bardzo wysokiej wartości przyrodniczej. Nocą po tragedii sąsiedzi ustawili warty: „Żeby nam się tu nie władowali znowu z jakimś prywatnym osiedlem". Tydzień później władze prowincji ogłosiły, że przez wypalony rezerwat przejdzie autostrada. Mieszkańcy od lat sprzeciwiali się temu projektowi.

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Wypalone lasy prowincji Cordoba przeznaczane są na pastwiska dla krów i owiec. Suchy klimat ułatwia przenoszenie się ognia.

Nie należy więc się dziwić, że przeciwpożarowe działania władz nie są przesadnie energiczne. Ludność musi polegać na sobie. Andrés chodził po sąsiadach. Zbierał datki na ochotniczą straż pożarną. – Za te pieniądze kupowaliśmy strażakom chleb, wodę mineralną, soki – opowiada. – Chłopaki nie śpią po cztery noce z rzędu, a władze prowincji ani nie zmobilizowały dodatkowych funkcjonariuszy państwowych, ani nie stworzyły warunków pracy dla ochotników.

Tegoroczne pożary okazały się rekordowe. W ciągu pięciu miesięcy płomienie strawiły 200 tys. ha lasu, cztery razy więcej niż całkowita powierzchnia Warszawy. W tym czasie setki osób zostało ewakuowanych. Płonęły domy i pastwiska wraz ze zwierzętami. W Villa Santa Cruz del Lago ogień zniszczył wesołe miasteczko. – Ale naszym prawdziwym wrogiem – wtrąca nagle Andrés – jest rodzina Becerra.

Hiszpańskie słowo *becerro* tłumaczy się jako cielak, byczek. Takie znaczenie najwyraźniej zaważyło na zainteresowaniach biznesowych rodziny.

Więcej wołowiny

W ostatnim półwieczu konsumpcja mięsa w Chinach wzrosła przeszło dziesięciokrotnie. Nie wspominam o tym, żeby krytykować zwyczaje żywieniowe wschodniego giganta – obecne spożycie na poziomie 50 kg rocznie na osobę i tak jest znacznie niższe niż w Polsce, Holandii czy Stanach Zjednoczonych. Ale w przypadku Chin z ich 1,4 mld populacji działa efekt skali, który ma decydujące znaczenie dla popytu na *commodities*, surowce, i dla ich cen na rynku światowym. A także dla losów obszarów leśnych w Ameryce Południowej. Dziś trudno pisać o krytycznej sytuacji środowiska naturalnego w Paragwaju, Boliwii czy Argentynie bez użycia trzech słów kluczy: soja, bydło i deforestacja. I państwo Becerra dobrze o tym wiedzą. – Już 25 razy zostali podani do sądu za podkładanie ognia – mówi Andrés.

Według statystyk 95% pożarów to celowe podpalenia.

Rodzina ma posiadłości ziemskie w okolicach Pampa de Achala. Wypasa się na nich wielkie stada bydła. Administracja Parku Narodowego Quebrada del Condorito, którego tereny chronione płoną razem z pastwiskami Becerrów, naliczyła 206 pożarów tylko w latach 2016-2019. Chodzi o obszar rezerwy wodnej, kluczowej w zaopatrzeniu regionu w wodę pitną. W tym roku to już oficjalne: Córdoba ogłosiła stan klęski suszy. Latem wody zabraknie.

Pożary zaczęły się w połowie maja, po raz kolejny na gruntach Becerrów. To te płomienie dzieliło 5 km od domu Andrésa, jego żony i czwórki psów. Należy dodać, że nie mówimy o rodzinnym stadku krów w górskiej wsi. Biznesy takie jak braci Becerra obejmują posiadłości o powierzchni dziesiątek tysięcy hektarów; eksportują rasowe zwierzęta do Paragwaju, Boliwii czy Brazylii i ograniczają dostęp do ziemi lokalnej ludności.

Dziś produkcja mięsa w Argentynie przenosi się w nowe, trudniejsze tereny. Żyzne nizinne pola zajmują zmechanizowane plantacje transgenicznej soi, również wylesiając to, co jeszcze nie zostało wylesione. Producenci bydła muszą ustąpić, soja jest bardziej dochodowa, plantatorzy za działki zapłacą więcej. Po żniwach sprzedadzą zbiory właścicielom feedlotów, gdzie zwierzęta ściśnięte na niewielkiej przestrzeni – niewielkiej, więc wychodzi taniej – tuczone są wysokoproteinowymi preparatami sojowymi w rekordowym tempie. Szybciej i więcej.

Pampa de Achala wznosi się na wysokość ok. 2 tys. m n.p.m. Kombajny ani maszyny opryskowe nie mają tam wstępu, podobnie jak na wilgotne i okresowo zalewane wyspy na Paranie. To dlatego płoną razem: wyspy i góry.

– Łąki wypalało się, jak daleko sięgnę pamięcią – opowiada Maximiliano, który przez lata wiódł życie

eprasa.pl 7f3ef78ddd

wyspiarza. – Pracownicy z gospodarstw jechali konno przez pastwisko i co chwilę rzucali w trawy woskowe zapałki.

Paraná jest drugą po Amazonce najdłuższą rzeką Ameryki Południowej. W jej dolnym biegu, w okolicach Santa Fe, formuje szerokie na dziesiątki kilometrów tereny podmokłe zalewów, meandrów i wysp. Niektóre wykorzystuje się do wypasu bydła. – Problem w tym – precyzuje Maximiliano – że naturalne bariery, które ograniczały rozprzestrzenianie się płomieni, już nie istnieją.

Niektóre ziemie stają się wyspami jedynie okresowo. W miesiącach wysokich stanów rzeki dzieli je woda, w miesiącach suchych – błota i wilgotne mokradła. Ale w tym roku wilgotność jest wyjątkowo niska. W maju w porcie miasta Paraná, naprzeciw Santa Fe, poziom rzeki, po której barki transportują soję, wyniósł zaledwie 16 cm. W konsekwencji mokradła wyschły na pieprz i gdy podpali się łąkę na jednej wyspie nie wyspie, płonie cały region.

– Wypalanie zaczęło się w marcu – opowiada Romina. – W powietrzu czuć było spalenizną, nikt nie zwracał na to uwagi, bo to czas wypalania. Ale w lipcu wyspy wciąż płonęły. Przez długie tygodnie Santa Fe żyło zasnute dymem.

Według szwajcarskiej agencji IQAir we wrześniu sąsiednie Rosario (prowincja Santa Fe) zajęło niechlubną drugą lokatę w statystyce miast z najbardziej zanieczyszczonym powietrzem, ustępując miejsca jedynie przedstawicielowi Bangladeszu. Wiele osób nie wyszło z domów. Starsi ludzie mieli kłopoty z oddychaniem. Nie przez koronawirusa. Przez system produkcji mięsa na eksport.

Paraná stanowi granicę między prowincjami Entre Ríos i Santa Fe. Obie specjalizują się w produkcji soi. Podobnie jak w przypadku Córdoby hodowcy bydła przenoszą się na ziemie do tej pory nieużytkowane i nieatrakcyjne dla plantatorów. W ciągu kilku lat pogłowie bydła wypasanego na wyspach skoczyło ze 150 tys. sztuk do 2 mln. Wraz ze wzrostem produkcji wzrosła częstotliwość pożarów.

W Santa Fe i Rosario odbyły się masowe protesty wzywające władze do ochrony mokradeł i wysp na rzece Paraná.

I nie chodzi tylko o liczbę. W latach 90. wypasem w regionie zajmowali się przede wszystkim mali producenci. Bydło na wyspy transportowano okresowo, na kilka miesięcy, a wypalanie niewielkich łąk w celu odnowienia pastwisk dało się kontrolować. Obecnie do gry weszli więksi przedsiębiorcy, krowy przebywają na wyspach od stycznia do stycznia, a trawy wypala się w dowolnej porze roku. Od marca 2020 r. do dziś spłonęło 300 tys. ha. Sześć razy Warszawa.

Tegoroczne pożary okazały się rekordowe. W ciągu pięciu miesięcy strawiły 200 tys. ha lasu.

– Kiedy po okresie ścisłej kwarantanny COVID-19 mogłam po raz pierwszy wsiąść do kajaka, popłynęłam na jezioro Setúbal – mówi Romina. – Nad wodą krążyła niewiarygodna liczba ptaków, w tym gatunki w normalnych warunkach rzadko spotykane.

Biolożka wyjaśnia, że ta obfitość fauny jest złudna – ptaki przeniosły się bliżej miasta, bo na wypalonych wyspach nie było dla nich miejsca. Na nagraniach wideo robionych przez ludzi, którym udało się dotrzeć w strefy pożarów, widać nutrie, kapibary i węże, martwe lub uciekające przed płomieniami na sam brzeg rzeki.

Ale nie wszyscy mogą to oglądać. – Władze manipulują zasadami kwarantanny, by uniemożliwić kajakarzom dotarcie na miejsce – tłumaczy Romina. – Policja wodna zatrzymuje nas i zawraca w kierunku miasta. Nie chcą, byśmy się organizowali i gasili pożary, jak w poprzednich latach. Najwyraźniej chcą coś ukryć.

Garstka strażników rezerwatu delty Parany walczy z płomieniami za pomocą plecaków hydrantów. Ich pojemność to 30 litrów wody. W miastach Santa Fe i Rosario studenci uniwersyteccy i organizacje ekologiczne zwołują masowe marsze. Domagają się ochrony wysp i mokradeł. Ale władze milczą. Z bydła na wyspach, hodowanego na naturalnych pastwiskach, dostaje się wołowinę najwyższej jakości – i eksportuje ją do Europy. Zyski liczy się w euro.

Gdziekolwiek spojrzeć, chciwość. Nawet przy sadzeniu lasów. Producenci drewna w środkowej i południowej Argentynie stawiają na sosny. Nie są to drzewa, które występowałyby naturalnie na suchych i mocno nasłonecznionych wzgórzach Córdoby, San Luis czy na andyjskim przedgórzu. Bardzo łatwo ulegają pożarom, a nasycone żywicą drewno i szyszki wybuchają, roznosząc płomienie na wiele metrów dookoła. Ale sosny rosną tu nadzwyczaj szybko, więc zaraz można je ścinać i sprzedawać. To m.in. z ich powodu spłonęło w tym roku aż 70 tys. ha w rejonie Alpa Corral.

W prowincji Chaco nikt nawet nie protestuje. Nie ma kto. Daleko, bezludnie, można karczować do woli.

FOT. WOJCIECH GANCZAREK, ROMINA LELL

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Nikt nie ma prawa się dowiedzieć – przez pierwszy miesiąc kwarantanny COVID-19 w Argentynie z domu nie mógł wyjść nikt z wyjątkiem lekarzy, pielęgniarek i innych pracowników niezbędnych do funkcjonowania kraju w dobie pandemii. W tym wąskim gronie znalazły się – niespodzianka – przedsiębiorstwa zajmujące się wycinaniem lasów pod pastwiska i uprawy soi. Szacuje się, że przez pierwsze cztery tygodnie na odległej północy kraju karczowano 200 ha dziennie, bardzo często na obszarach chronionych. Danych dostarczyły zdjęcia satelitarne.

Mniej deszczu

Niektórzy przekonują, że rekordowe pożary w górach Córdoby i na wyspach Parany to nieszczęśliwe zrządzenie losu. Tak długo nie padało, że poziom rzeki się obniżył. Do tego wiatry wiały mocno i roznosiły ogień po obu regionach, cóż począć. Ale te warunki klimatyczne nie są przypadkowe. – Lasy produkują deszcze, deszcze produkują lasy. To zamknięty cykl ciągnący się nieprzerwanie od milionów lat – mówi argentyńskiemu magazynowi „Revista Anfibia" Carlos Nobre z Uniwersytetu w São Paulo.

Korzenie drzew pomagają utrzymać wilgoć przy powierzchni ziemi. Następnie woda wędruje do liści, a stąd w procesie transpiracji do atmosfery. Jeśli zamienić las w pastwisko, ten proces traci na sprawności. Istotną rolę odgrywa również… zapach lasu. Aromaty uwalniane przez kwiaty i liście amazońskiej puszczy wydatnie ułatwiają tworzenie się chmur deszczowych. – Te mikroskopijne cząsteczki służą jako jądra kondensacji dla kropel wody, które później obserwujemy w formie deszczu. Gdy znika las, ich formowanie staje się znacznie trudniejsze – twierdzi Carlos Nobre.

Prof. David Wright z Uniwersytetu w Seulu zauważa, że w regionach Amazonii przejętych przez wielkoobszarowe hodowle bydła opady są widocznie niższe. Wiatry wiejące wzdłuż łańcucha Andów transportują amazońskie chmury na południe: nad Paragwaj, południową Brazylię i do Argentyny. Mniej kondensacji kropel w Amazonii oznacza więc mniej deszczu na południu kontynentu. Za tym idzie deregulacja poziomu Parany – problem, który pogłębia się za każdym razem, gdy płoną tamtejsze wyspy.

– Mokradła delty Parany to największy skarb regionu dorzecza – zapewnia biolożka Romina. – Te ekosystemy są jak gąbka, która pomaga utrzymywać stabilny poziom wody; bez nich stan rzeki rośnie gwałtownie w czasie deszczy i nie mniej gwałtownie opada w porze suchej.

Więcej pieniędzy

Na początku października Máximo Kirchner, przewodniczący klubu parlamentarnego rządzącej partii Frente de Todos, zgłosił projekt ustawy zakazującej zmian przeznaczenia terenu leśnego na okres 60 lat po zaistnieniu pożaru. Prawo miałoby zapobiegać celowym podpaleniom dokonywanym przez deweloperów i hodowców bydła. Propozycję jako pierwsza oprotestowała wpływowa Sociedad Rural Argentina (SRA), stowarzyszenie – by nie powiedzieć organizacja terrorystyczna – złożone z największych właścicieli ziemskich w kraju. SRA ma na koncie udział w masowym mordzie na ludności patagońskiej w drugiej połowie XIX w. czy wsparcie dla dyktatury wojskowej Videli, która kosztowała życie 30 tys. Argentyńczyków. Przeciwna zmianom jest również Federación Agraria, skupiająca małych i średnich właścicieli oraz przedsiębiorstwa handlu nieruchomościami, a także partia Juntos por el Cambio. To rządzące w latach 2015-2019 prawicowe ugrupowanie odrzuciło w 2016 r. propozycję ustawy dotyczącej ochrony wysp i mokradeł na Paranie. Efekty widać w tym roku.

– Co się czuje? Smutek, niemoc. Ale chyba przede wszystkim złość – mówi Celeste z Córdoby. – To, co się dzieje, to zwyczajna zbrodnia dokonywana przez zorganizowane mafie. Wszyscy wiedzą, kto, gdzie i w jakim celu wypala lasy, tymczasem władze nic z tym nie robią.

– Myślą, że jako właściciele ziemi mogą z nią zrobić, co im się podoba – dorzuca Romina. – Ale oni mają tylko papiery, tytuły, akta. To ziemia nas posiada, a nie odwrotnie.

Ci, którzy sprzeciwiają się ustawie o pożarach, mydlą nam oczy przebrzmiałą propagandą kapitalizmu: trzeba produkować więcej, konkurować cenami, działać efektywniej. Bardzo dobrze. Będzie więcej mięsa. Będzie tańsze. Zyski trafią do kieszeni tych niewielu producentów i pośredników, którzy działają na globalnym rynku. Reszta zostanie bez ziemi, bez lasów i bez wody. Produkty wyjadą za granicę, a w Argentynie zostaną popiół i zgliszcza. Kto wie, może nawet jakaś nowa pustynia, kolejna atrakcja turystyczna do folderów reklamowych.

Wojciech Ganczarek

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Jak rozmawiać z agresywnym psem

Psa, który gryzie pana, zazwyczaj usypia się lub oddaje do schroniska

Rozmawia
Ewa Smolińska-Borecka

SŁAWOMIR PROCHOCKI
– z wykształcenia optyk kwantowy, wolontariusz w warszawskim Schronisku Na Paluchu. Pracuje z najtrudniejszymi psami, które w schronisku nazywają gryzakami.

Co pana skłoniło do zajmowania się gryzakami? To taka frajda?

– Niewyobrażalna! A także ogromna adrenalina. Kiedy pięć lat temu pojawiłem się w Schronisku Na Paluchu jako wolontariusz, nie miałem pojęcia, że tak jest. Prawdę mówiąc, przychodzę tam dla tej frajdy. Jestem w schronisku trzy razy w tygodniu, jadę dwie godziny w jedną stronę, ale dla tych emocji warto.

Nie lepiej skoczyć na bungee?

– To jest nieporównywalne. Poza tym korzystają psy. Jeśli przestają być agresywne, mają szansę, by znaleźć dom.

Jest pan behawiorystą, specjalistą od groźnych psów.

– Nie jestem behawiorystą, choć aby nim zostać, wystarczy komputer i 350 zł za kurs online. Za to bardzo dużo czytam i mam dużą praktykę. Zajmuję się wyłącznie psami Na Paluchu, gdzie są bardzo dobre behawiorystki. Nie jestem też specjalistą od groźnych psów – jak pani powiedziała – jedynie zajmuję się takimi psami w schronisku. Mam cechę charakteru, która mnie do tego predysponuje. Po prostu nie boję się psów, choć mam świadomość, co się stanie, gdy popełnię błąd. Pies mnie gryzie, a ja pięć sekund później jestem gotowy do kontynuowania pracy z nim. Tak samo jak on.

Z czego to wynika?

– Z wady mojego mózgu. Nie odczuwam strachu, to cecha fizjologiczna, która pomaga pracować z psami. Zwykle ugryzienie psa my, ludzie, odbieramy bardzo źle, na innej płaszczyźnie niż psy. Dla psa ugryzienie innego psa czy człowieka jest normalną formą komunikacji. Tymczasem ludzie ugryzieni przez psa zaczynają się bać tych zwierząt.

Czyli psy traktują pana inaczej niż innych ludzi, bo wiedzą, że pan się nie boi?

– Tak. Pies widzi strach po zachowaniu człowieka, po jego sztywnych i dziwnych ruchach, które denerwują zwierzę. A ponadto czuje strach nosem, gdyż bojący się człowiek wydziela specyficzny zapach. Ja tego nie mam. Jeden z psów pogryzł mnie osiem razy, ale nie zrezygnowałem z pracy z nim. Po roku ciągnąłem go za ogon, bawiłem się z nim, szarpałem go za uszy, głaskałem. To raczej niespotykane. Dlatego zajmuję się gryzącymi psami.

Skoro one nie czują u pana strachu, to dlaczego atakują?

– Bo czasem popełniam błąd. U nas jest taka metoda, żeby robić wszystko w tempie psa. Według behawiorystów nie należy na psa wywierać presji, bo to niesie ryzyko agresji. Ja stosuję inną technikę. Powoli zbliżam rękę do psa, w sposób naturalny. Pies czuje, że jestem na luzie, natomiast on się stresuje, że zbliżam rękę np. do jego szyi. Często warknie na mnie, odskoczy. To bardzo dobra cecha. Natomiast dużo psów, zwłaszcza tych trudnych, nie sygnalizuje ataku, rzuca się od razu. Wtedy wiem, że przegiąłem. Zwykle zajęcia z psami nagrywam, nawet z dwóch kamer. Oglądam później te sytuacje w zwolnionym tempie i analizuję, jak pies sygnalizuje atak. Ale cały czas, pracując z psem, wywieram na niego presję, żeby mi pozwolił dotknąć się tam, gdzie ja chcę. Jestem trochę jak oblatywacz samolotów.

Takie porównanie to nie przesada?

– Przychodzi do schroniska pies bardzo trudny, agresywny. Po dwóch tygodniach kwarantanny, kiedy już idzie na rejon, czasami zaczynają się kłopoty. Okazuje się, że nie pozwala

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 7f3ef78ddd

nikomu wejść do boksu, rzuca się na ludzi, nie daje się dotknąć czy zaprowadzić do weterynarza. Wtedy wkraczam ja. Mam swoje metody. Kiedy poruszam się coraz dalej, bywa, że on mnie atakuje. Wtedy, oglądając nagranie, widzę, dlaczego to zrobił. Jedno jest pewne – zawsze to moja wina, bo wywierałem na niego presję. Psy są prostymi organizmami, dlatego nigdy nie jestem na nie zły.

Nieraz pies sam dochodzi do równowagi, wystarczy mu nie przeszkadzać.

Często pies gryzie mnie trzy, cztery razy albo więcej, zanim dojdę z nim do ładu. Zaczynam z nim wychodzić na spacer, głaskać go, robić z nim wszystko. Później wprowadzam kolejne osoby. Nieraz pies sam dochodzi do równowagi, wystarczy mu nie przeszkadzać. Zrozumie, że tu go nie chcą zabić, nie chcą mu zrobić krzywdy.

Do schroniska trafiają psy bezdomne i dopiero tam odkrywa się ich charakter. Ale są też oddawane przez właścicieli.

– Zdarza się, że ludzie zrzekają się psów, ponieważ się ich boją. Są u nas takie, które miały jako alternatywę jedynie uśpienie. Teraz pracuję z Khanem skazanym na eutanazję. Uratowała go wolontariuszka, przywiozła do schroniska, mimo że ją bardzo pogryzł. Później pogryzł mnie. Ale w tej chwili to po prostu taki duży misiek! Oczywiście wobec osób, które zna, dla nieznajomych nadal jest agresywnym psem.

Czy osobom, które mają niebezpieczne psy, można radzić, żeby oddały je na trochę do schroniska, gdzie osoba taka jak pan „pozbawi" je agresji?

– Statut schroniska nie przewiduje czegoś takiego jak oddanie psa na jakiś czas. Natomiast można psa się zrzec, ale potem nie ma drogi do adopcji. Najlepszym wyjściem jest zatrudnienie dobrego behawiorysty. Bywa, że ludzie zrzekają się zwierzęcia, ale nie mówią nam prawdy o nim. A my chcielibyśmy znać problem, bo to pozwala nam szybciej go rozwiązać.

Ma pan prawo mówić, że oni kłamią? Na jakiej podstawie?

– Bo widzę, że pies nie jest w stanie ugryźć człowieka.

Bo nie ma zębów?

– Nie, są psy, które się „zamrażają". W momencie olbrzymiego stresu, który przerasta ich możliwości percepcji, zamierają, udają nieżywe. Są tak sparaliżowane strachem, że nie zrobią żadnego ruchu. Takie też do nas trafiają, bo ponoć kogoś ugryzły. Są psy, które przychodzą do nas z historią, że bronią jedzenia czy zabawek, że ugryzły małe dziecko. A okazuje się, że ten pies w ogóle nie broni zasobów, bo u nas zachowywałby się tak samo. Pies jest naprawdę bardzo prostym organizmem, ma 100 razy mniej neuronów niż człowiek. My przy psie jesteśmy jak pies przy dżdżownicy.

Czy największym wyzwaniem dla pana był Khan?

– Największym był Czarny. Zabrała go nasza behawiorystka Jola. Spędził u nas 11 lat, z czego sześć nie wychodził na zewnątrz, zamknięty w boksie przedzielonym na pół, i tylko go przeganiano z jednej połowy do drugiej, kiedy trzeba było go nakarmić albo posprzątać boks. Był bardzo agresywny, to była agresja lękowa. Przyszedł jako szczeniak i pokazał zęby niewłaściwej osobie, więc został potraktowany łopatą. To były dawne czasy, inna dyrekcja, inne podejście do psów. Teraz to nie do pomyślenia. Pies nabrał przekonania, że człowiek oznacza cios łopatą, kopniak albo polewanie wodą. Czarnym zajęła się nasza główna behawiorystka, bardzo ją pogryzł. W końcu doszła z nim do ładu i zaczęli wychodzić na spacery. Ale nie mogła do niego wprowadzić innej osoby.

Pies widzi strach po zachowaniu człowieka, po jego sztywnych i dziwnych ruchach, które go denerwują.

Dlaczego?

– Ten pies jakby powiesił się emocjonalnie na niej i ten jeden kontakt mu wystarczał. Na innych szczerzył zęby. Podobnie mają rasy pies moskiewski stróżujący czy owczarek kaukaski. Właśnie na Czarnym się uczyłem, jak postępować z psami agresywnymi. Na dzień dobry przegryzł mi prawą dłoń na wylot. Zresztą psy pogryzły mnie w schronisku więcej niż sto razy. Całe dłonie mam w bliznach.

Na Facebooku publikuje pan filmiki z treningów. Teraz nosi pan na zajęciach grube rękawice.

– Rękawice nie zapobiegają ranom, natomiast chronią przed rozszarpaniem ręki. Ponieważ niektóre psy wbijają zęby w ciało i szarpią, można zostać kaleką, mieć niewładne palce albo ramię. Dzięki rękawicom mniej krwawię. Zapobiegają też kalectwu. 90% ugryzień psa zdarza się na odcinku od łokcia do połowy dłoni, dlatego chronię głównie te rejony.

Wśród pana podopiecznych jest amstaf – przedstawiciel rasy uważanej za niebezpieczną.

– Każdy pies może być groźny. Był u nas 10-kilowiec, czyli nieduży pies, którego przez cztery lata nie można było zaprowadzić do lekarza, bo gryzł jak wściekły. Miał kłopot z zaufaniem. Jak zacząłem go głaskać, to sam potem przychodził i się przytulał. Teraz poszedł do adopcji. Przytula się do swojej pani. Ja nauczyłem go kagańca, ale wcześniej poszedłem z nim do weterynarza. Założyłem grube rękawice spawalnicze, ale i tak mnie gryzł. Teraz na zajęcia z psami zakładam dwie pary rękawic: jedne to grube robocze, z obciętymi palcami, żebym miał pełną sprawność, a drugie to antyprzecięciowe do pracy z piłą tarczową. Nie chronią całkowicie, ale osłabiają ugryzienia.

Kiedy został pan ostatnio pokąsany?

– Pół roku temu przez Khana. W czasie zamknięcia schroniska pełniłem funkcję pracownika. Kiedy wychodziłem z boksu, on wskoczył mi na plecy, wypchnął mnie i uciekł. Złapałem go, ale był mocno zestresowany i rzucił się na mnie. Przez pół minuty obrabiał mi miejsce, gdzie miałem ochraniacze, ale na dwie sekundy przeniósł się powyżej łokcia, a tam już ich nie miałem. Mam szczęście, że mogę ruszać lewą ręką.

Każda inna osoba po takiej przygodzie zrezygnowałaby z bycia wolontariuszem.

– Powiem pani na przykładzie behawiorystki, która zajęła się Czarnym.

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Pogryzł ją i w rezultacie przez miesiąc do niego nie wchodziła. Potem znowu się nim zajęła, a po pół roku pracy wyciągnęła do niego rękę. Pokazał jej zęby, więc go nie dotknęła. Aż przez cztery lata właściwie go nie dotykała. Dopiero ja go nauczyłem dotyku, ale zanim to nastąpiło, pogryzł mnie osiem razy. W końcu przekonał się, że kontakt fizyczny z człowiekiem nie boli, ba, nawet polubił głaskanie i sam się pchał w ręce. Teraz jest niemal zwykłym psem, jego pani głaszcze go swobodnie. Trzeba było tylko ten pierwszy raz mu pokazać, że dotyk nie zabija. Taka zmiana reakcji u psa o wiele łatwiej dokonuje się w domu, bo tam jest stały kontakt.

Kiedy jest ten moment, gdy uznaje pan, że to jest normalny pies? Wpuszcza pan kogoś obcego do boksu i sprawdza, czy pies atakuje?

– Nie robimy takich eksperymentów. Nasz najbardziej zasłużony wolontariusz Piotr powiedział mi, że sprawdzanie własnej relacji z psem polega na tym, że pociągnie się go za ogon. Jeśli pies się obróci: „O, ktoś mnie ciągnie za ogon, to pewnie jakaś nowa zabawa", to macie świetną relację. Natomiast jeśli obróci się i pani musi później liczyć palce, to znaczy, że relacje jeszcze trzeba budować. Bo tak naprawdę każdy pies może ugryźć, jeżeli wywrze się na niego presję. Ugryzie w obronie własnego życia. Oprócz psów, które strach paraliżuje. Zresztą 90% psów w schronisku to takie pimpki, które, jak widzą obcą osobę, włażą jej na kolana, liżą po twarzy i żebrzą o smaczki. Można je wziąć na smycz i od razu iść na spacer.

Jednak większość to psy po przejściach.

– Są psy skrzywdzone, takie jak Arczi, który pogryzł mnie siedem razy. Po dwóch latach nadal wiem, że mogę od niego oberwać. To pies z utrwaloną agresją rozszerzoną. Znalazł sobie klucz do wszystkich problemów: pojawiał się stres, pies gryzł i stres znikał. Taka agresja to jedna z cech najtrudniejszych do oduczenia u psa. Mnie po długim czasie udało się zbudować z Arczim tak silną relację, że ten pies w chwili stresu na mnie warknie. Warknie – i to jest moje szczęście. Albo zamiast zaatakować bez ostrzeżenia, odsunie się ode mnie. To olbrzymi postęp! Nie rzucił się od razu, tylko powiedział: „Słuchaj, przeginasz. Daj spokój, bo następnym razem oberwiesz". 95% agresji to agresja lękowa.

Jeśli agresja ludzi wynika ze strachu, to można by z nią walczyć podobnie jak z agresją gryzaków.

– Wydaje mi się, że humanizowanie psów i „psienie" ludzi nie jest dobrą drogą. Jesteśmy zupełnie innymi społecznie istotami.

Pies jest bardzo prostym organizmem, ma 100 razy mniej neuronów niż człowiek.

Ewa Smolińska-Borecka
e.borecka@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Znów ograli PiS

W kategoriach politycznych jest to jak lewy prosty – Unia Europejska przyjęła rozwiązanie w sprawie mechanizmu uzależnienia transferu unijnych środków od praworządności. Czyli coś, czego – jak zapewniali politycy PiS – miało nie być.

Zapis o takim mechanizmie pojawił się podczas lipcowego szczytu Unii Europejskiej, na którym przyjęto budżet Unii na lata 2021-2027 oraz Fundusz Odbudowy. Był jednak mało precyzyjny, tak że premier Morawiecki mógł twierdzić, że *de facto* go nie ma.

Później polski rząd zabiegał, by tego mechanizmu rzeczywiście nie było, Kaczyński groził, że jak zostanie przyjęty, to Polska zawetuje unijny budżet. Sprawa stała zatem na ostrzu noża i wręcz wydawało się, że starania pisowskich polityków odniosą skutek – bo politycy niemieccy zaczęli sugerować, że ten mechanizm nie może być taki prosty, że musi mieć kolejne etapy itd.

Ale oto wszedł do gry Parlament Europejski. To on zatwierdza budżet Unii, miał więc mandat, by podjąć z Radą Unii Europejskiej, a konkretnie z Niemcami, bo mamy czas niemieckiej prezydencji w Unii, negocjacje.

W tych rozmowach negocjator ze strony Parlamentu, Petri Sarvamaa (reprezentujący frakcję EPL), mocno naciskał, by mechanizm ochrony praworządności nie tylko precyzyjnie zdefiniować, uprościć, ale wręcz rozszerzyć. I to w dużym stopniu mu się udało. Niemcy ustąpili. Powód był prosty – i dla Niemiec, i dla Ursuli von der Leyen najważniejsze jest, by Parlament Europejski szybko przegłosował unijny budżet i Fundusz Odbudowy (Next Generation), bo państwa Unii na te pieniądze niecierpliwie czekają. Sarvamaa mógł więc tweetować o historycznym porozumieniu między PE a Radą UE.

Warto zwrócić uwagę, że nowy mechanizm chroniący praworządność zawiera zapis „zapobiegawczy" – wystarczy, że Komisja Europejska stwierdzi „ryzyko" poważnych naruszeń prawa, by zakręcić kurek z pieniędzmi. Poza tym zawiera zapis „ochronny" – otóż beneficjenci funduszy unijnych (samorządy, organizacje pozarządowe, przedsiębiorcy, studenci) będą mieli możliwość składania do Komisji wniosków, by otrzymywać środki bez pośrednictwa rządu.

A jak mechanizm ochrony praworządności będzie działał w praktyce? Otóż po stwierdzeniu naruszenia praworządności, bądź ryzyka naruszenia, KE rozpocznie odpowiednią procedurę. A żeby sprawa nie utknęła, ministrowie państw Unii będą mieć trzy miesiące na odniesienie się do niej. Jeżeli w tym czasie nic nie zrobią, Komisja automatycznie podejmie decyzję o zamrożeniu funduszy.

Nie będzie tu obowiązywała zasada weta. Ta zasada nie będzie też obowiązywać, gdy Unia będzie zatwierdzała mechanizm. Parlament Europejski przyjmie go większością głosów, Rada UE – większością kwalifikowaną. Polska niczego nie będzie mogła zablokować. Chyba że zdecyduje się zawetować unijny budżet i Fundusz Odbudowy, tak jak groził Kaczyński i do czego namawia go Ziobro.

Byłaby to bardzo oryginalna decyzja – bo kraj, który najwięcej pobiera z unijnej kasy, tych pieniędzy (750 mld zł!) by się wyrzekł. Państw Unii pewnie by to nie zmartwiło, bo te środki zostałyby rozdzielone między nie. A jak zareagowaliby na to polscy przedsiębiorcy, rolnicy, całe społeczeństwo – o tym chyba nawet lepiej nie myśleć.

Niech więc PiS wybiera!

Attaché

Z kotkiem na spacer? Jaromir, właściciel cyrku w Ołomuńcu w Czechach, często zabiera podopiecznego na przechadzki podmiejskimi ulicami.

FOT. DAVID TESINSKY/MEDIA DRUM/EAST NEWS

eprasa.pl 7f3ef78ddd

JOLKA

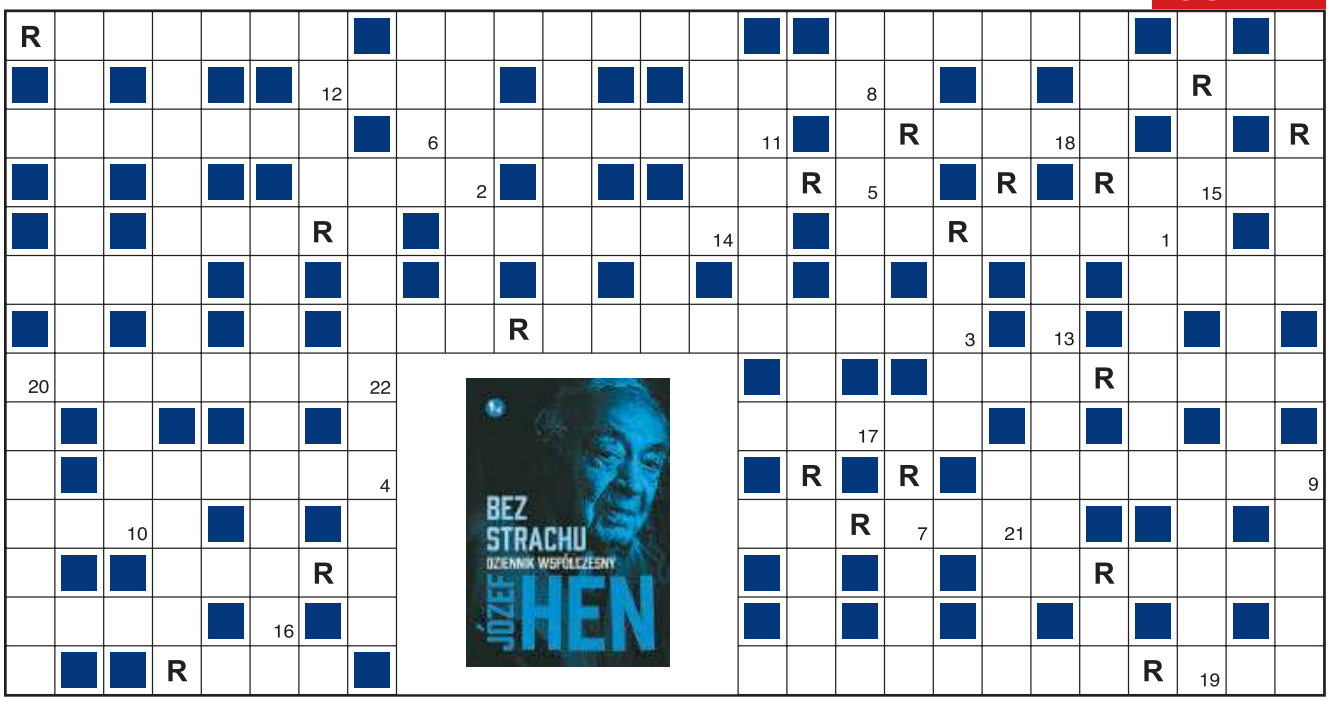

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- imię autora ballady „Romantyczność”
- Julia Przyłębska jako żona
- tłumienie wstrząsów, łagodzenie upadku
- jednostka natężenia prądu elektrycznego
- element architektoniczny w krużganku
- jest nim Marek Sarna
- karciana kozera
- nieprzemakalny obrus kuchenny
- odgłos przelewanej wody
- beznoga larwa błonkówek i muchówek
- podawana urodzenia
- w czasach Rzeckiego zwany subiektem
- barokowa kompozycja literacko-obrazowa lub naszywka mundurowa
- zawodowa – dotyczy lekarzy, prawników
- rodzi bery
- nabity na czole
- Izerska albo Ornak
- można się nim unieść
- średniowieczni wędrowni komedianci
- bywa dyktowany po wideoweryfikacji
- denerwuje się, stojąc w korku
- album Grechuty lub film Stuhra
- smarowana masłem
- nie epik i nie dramaturg
- nad nią Orlean
- mroczne pod zamczyskiem
- dla Madeja – nabite nożami i kolcami
- oszustwo, szachrajstwo
- wierszowa lub krawiecka
- but wzorowany na indiańskim
- zabiera głos na wiecu, zebraniu
- łodyżki i listki pietruszki
- poszukiwana w upalny dzień
- stan ze stolicą w Columbus
- obok obżarstwa wśród grzechów
- trzecie co do wielkości miasto w Japonii
- usuwane podczas filetowania
- koksiak lub chlebowy
- „…cherlawą wytężasz”, śpiewała Demarczyk
- domowe – to drób
- „Człowiek z…” z Belmondem
- imię Gorgonowej
- listy z niej autorstwa de Custine’a
- dynamika, prężność działania
- okresowa płynie podczas opadów
- grabione na łące
- Kaszubski Park Etnograficzny we Wdzydzach Kiszewskich
- pracuje przy obrabiarce
- równoległy lub gigant
- badane przez teriologię
- trójnóg dla fotografa
- figura gimnastyczna i sznurek
- przytomność, zdawanie sobie sprawy
- rower dwuosobowy
- opasłe stoi na półce
- „…Foucaulta” Umberta Eco
- wersja, modyfikacja
- Józef, autor „Soli ziemi”
- górski to siklawa
- nowogrodzkim i poleskim był Kostek-Biernacki

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-986”. Do rozlosowania książki „Bez strachu” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 15 listopada 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-983” z nr. 43: *Wszyscy pragną szczęścia.*
Nagrody otrzymują: Anna Borkowska-Balus z Sosnowca, Zofia Grzelak z Karczewa, Magdalena Zduleczny z Krakowa.

eprasa.pl 7f3ef78ddd

PENETRACJE

RZECZPOSPOLITA

BARBARA LABUDA, MINISTER W KANCELARII PREZYDENTA KWAŚNIEWSKIEGO

Pracując w Kancelarii Prezydenta Kwaśniewskiego, zebrałam materiał na temat podziemia aborcyjnego. Kobiety, zwłaszcza na wsiach, wywoływały poronienie, wprowadzając do macicy różne przedmioty, co miało prowadzić do zakażenia i do samoistnego poronienia. Wstrzykiwały sobie też roztwór mydła, jodynę, kwas siarkowy, kwas azotowy, kwas octowy, alkohol, związek rtęci, fosforu, ołowiu, trutkę na szczury. To są informacje od lekarzy. Wiem, że takie praktyki są stosowane do dzisiaj. Najgorsze jest to, że walka z aborcją rozciągnęła się na środki antykoncepcyjne i na edukację seksualną, a przecież to są główne narzędzia do przeciwdziałania przerywaniu ciąży.

Trybuna

PIOTR GADZINOWSKI, REDAKTOR NACZELNY

Służby bezpieczeństwa skrupulatnie odnotowały 22 przypadki demonstracji podczas mszy i 79 przypadków malowania haseł na elewacjach budynków należących do Kościoła. W Polsce mamy 10 673 parafie katolickie. W każdej z nich jest przynajmniej jeden budynek kościelny. Do tego w każdej z nich jest też przynajmniej jeden budynek siedziby parafii. Aż 79 z nich „sprofanowano" wolnościowymi hasłami. Co niedziela w każdym z 10 673 kościołów odbywają się przynajmniej trzy msze, co daje ok. 31 tys. mszy. Aż 22 msze z tych 31 tys. zostały zakłócone wolnościowymi hasłami. To w TVP świadczyć ma o zmasowanym ataku „faszystowskiej" lewicy na Kościół kat.

DZIENNIK GAZETA PRAWNA

AGNIESZKA GRAFF, FEMINISTKA

To nie jest akcja przeciwko demontowaniu państwa przez PiS. Ona celuje bezpośrednio w Kościół. Młodzież zbuntowała się przeciwko klerowi, ma dość jego obłudy, lekcji religii w szkołach, ignorowanej przez państwo pedofilii i całej tej bezbrzeżnej nudy, moralizatorstwa. Dla młodych to właśnie Kościół jest oprawcą. Kościół jest groteskowy i okrutny zarazem. Bezpośrednio przyczynił się do wyroku trybunału Julii Przyłębskiej. Ten bunt płynie od ludzi, których próbowano ochrzcić mianem „pokolenia JP II".

URODA

AGNIESZKA SZADRYN, NAJMŁODSZA W POLSCE ORDYNATORKA SOR

W mojej pracy wystarczy jeden błąd, jedna zła decyzja i właściwie jest już koniec, zabierają mi dyplom i przestaję być lekarzem. Mój zawód opiera się na wierze, że będę nieomylna – a przecież nie ma takich ludzi. I nie liczy się to, że uratowałam tysiące ludzi – bo tylu ich już na pewno będzie. Liczy się ta jedna śmierć, a SOR to miejsce, gdzie nieraz muszę w sekundę podejmować trudne decyzje, które zaważają na dalszym losie pacjenta.

Protest branży gastronomicznej w Rzeszowie, 3 listopada.

FOT. PATRYK OGORZAŁEK/AGENCJA GAZETA

Aby język giętki…

LESZEK CZARNECKI O PISOWSKIEJ PROKURATURZE

Aresztując mnie, władza rozwiązuje sobie problem afery KNF i afery GetBacku, a prawdziwi sprawcy chodzą na wolności.

PROF. ANNA GIZA-POLESZCZUK O JĘZYKU PROTESTÓW

Naprawdę mnie to razi. To jest przeciwskuteczne, tak raczej zrażamy do siebie ludzi, niż przyciągamy.

JACEK ŻAKOWSKI O PROTESTACH

Byliśmy z naszymi dziećmi, kiedy szły do szkoły, musimy z nimi być, gdy idą pod kościoły.

ELŻBIETA DZIKOWSKA O TONYM HALIKU

Krępował go brak ślubu, więc opowiadał, gdzie się odbył i co podawano na uczcie weselnej.

DOROTA WELLMAN O TELEWIZJI

Nawet w telewizji, w której pracuję (TVN), są programy pokazujące postawy i treści, do jakich mi bardzo daleko. Pokazywanie prostactwa, cwaniactwa bardzo źle wpływa na społeczeństwo.

PIOTR BECZAŁA O TEKSTACH OPEROWYCH

Nawet przy zmywaniu naczyń powtarzam sobie teksty oper, bo tak jest mi jakoś łatwiej.

ANDRZEJ SEWERYN JAKO „PICZEK ZASADNICZEK"

Sam to wymyśliłem. W widzeniu świata bardzo długo byłem naiwny. Oceniałem wszystko przez pryzmat białe – czarne, a życie okazało się bardziej złożone.

JUSTYNA KOWALCZYK-TEKIELI O MARZENIACH

Wydumane oczekiwania nie są dla mnie. Wolę cierpliwie zapracować i dostać.

PIOTR POLK O KAWIE

W Kaletach na Śląsku godziną kawoszy była jedenasta. O tej porze spotykały się rodziny górników, którzy mieli szychtę.

WERONIKA ROSATI O SZKOLE W SZWAJCARII

Byłam niestety typem dziecka, które obiera się na ofiarę. Najmniejsza w klasie, taka szara, piegowata myszka z dużymi zębami.

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Cenzura dźwignią handlu

Cenzura obyczajowa na Facebooku doprowadziła do małej rewolucji na kanadyjskim rynku warzywniczym. Zaczęło się od tego, że zdjęcie użyte przez The Seed Company do reklamy nasion cebuli odmiany Walla Walla zostało uznane przez algorytmy za „jawnie seksualne". – Używamy zautomatyzowanej technologii, aby chronić nasze aplikacje przed nagością, ale czasami nie odróżnia ona cebuli od… no wiecie… – skomentowała Meg Sinclair z kanadyjskiego oddziału Facebooka. Reklama została przywrócona, a firma nasienna zaczęła promować swój produkt jako „seksowną cebulę" i w trzy dni sprzedała go więcej niż w ciągu ostatnich pięciu lat. Po wcześniejszej koncepcji marketingowej, jak sądzimy, nikt nie płakał.

Ban pornosów obnażony

Walka z golizną budzi wiele emocji także w Tajlandii, gdzie odbywają się obywatelskie protesty przeciw ogłoszonej przez rząd blokadzie niemal 200 portali zawierających treści erotyczne. Minister ds. cyfryzacji Puttipong Punnakanta przypomniał, że na mocy ustawy o cyberprzestępczości internetowa pornografia i hazard są nielegalne, ale nie uspokoiło to nastrojów. Przeciwnicy decyzji nie tylko skrzykują się w sieci, ale także manifestują pod siedzibą resortu cyfryzacji. Nie powinno to dziwić, skoro mieszkańcy dawnego Syjamu znajdują się w światowej czołówce, jeśli chodzi o konsumpcję porno. Wspomnijmy też, że antyrządowe demonstracje trwają w tym kraju od lipca, a zapoczątkowało je zablokowanie przez władze facebookowych grup krytyków monarchii. Połączyliśmy kropki i wyszło nam, że król jest nagi...

Ból głowy po dżinie

Lekarz z indyjskiego stanu Uttar Pradeś zwrócił się do organów ścigania o pomoc w sprawie fałszywej magicznej lampy. Zdecydował się pójść na policję, gdy okazało się, że przedmiot, za który zapłacił równowartość ok. 370 tys. zł, nie jest zamieszkany przez dżina, mającego zapewnić mu zdrowie, szczęście i bogactwo. Medyk tłumaczył, że dopiero po czasie zdał sobie sprawę, że pokaz wywoływania baśniowej istoty był mistyfikacją, w której uczestniczył wspólnik sprzedawcy. Policja, która aresztowała obu oszustów, podkreśliła, że poszkodowanych było więcej. Potwierdziła się w ten sposób stara zasada, że nawet jedna lampka może niektórym zaszkodzić.

Sssposób na koronawirusa

Jeden z pasażerów autobusu relacji Swinton-Manchester zastosował się do obowiązku zasłaniania ust i nosa, owijając sobie wokół twarzy żywego węża. Gad w pewnym momencie porzucił jednak rolę maseczki i zaczął wić się po poręczy. Transport for Greater Manchester, jednostka samorządu koordynująca komunikację zbiorową w aglomeracji Manchesteru, nie pozostawiła wątpliwości, że pomysł terrarysty przekroczył granice swobody wyznaczone obywatelom przez rząd w zakresie środków ochrony indywidualnej. – Nie uważamy, by obejmowały one także skórę węża, zwłaszcza pozostającą jego częścią – brzmi oficjalny komunikat.

MEMY BEZ ŚCIEMY

eprasa.pl 7f3ef78ddd

Odarci ze złudzeń, otoczeni przez bezwzględną siłę władzy. Performance „Spacer” Anny Bielewskiej i Łukasza Stanka w ramach Strajku Kobiet. Warszawa, 3 listopada.

2020 – mamy cię w nosie

Asortyment angielskiej marki Flaming Crap wzbogacił się o świeczkę, która pachnie jak 2020 r. Twórcy The 2020 Scent wykorzystali aromaty żelu do dezynfekcji rąk, chlebka bananowego, masowo wypiekanego przez osoby niewychodzące z domu z powodu pandemii, drewna, co jest nawiązaniem do mody na majsterkowanie, oraz taniej wody po goleniu, kojarzącej się z tegorocznym hitem Netfliksa, czyli serialem „Król tygrysów”. Cena świeczki, wolnej od produktów pochodzenia zwierzęcego i palącej się przez ok. 30 godzin, wynosi niespełna 15 funtów.

O 16.00 żegnaj, kotku

Specyfiką tego roku jest także powszechność pracy zdalnej i związanych z nią problemów z równowagą między obowiązkami zawodowymi a czasem wolnym. To dobra okazja, by przypomnieć projekt uciekającej myszki komputerowej, zaprezentowany jakiś czas temu przez południowokoreański koncern Samsung. Balance Mouse wygląda jak zwykłe bezprzewodowe urządzenie tego typu, kiedy jednak użytkownik nie kończy pracy, choć powinien, zwiewa mu spod ręki niczym prawdziwy gryzoń. Oj, bo dzieciaki zhakują...

FOT. PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, SEKCJA GIMNASTYCZNA, JAJA.PL, STEFAN MASZEWSKI/REPORTER, KACPER PEMPEL/REUTERS/FORUM

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Katarzyna Chilecka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 7f3ef78ddd

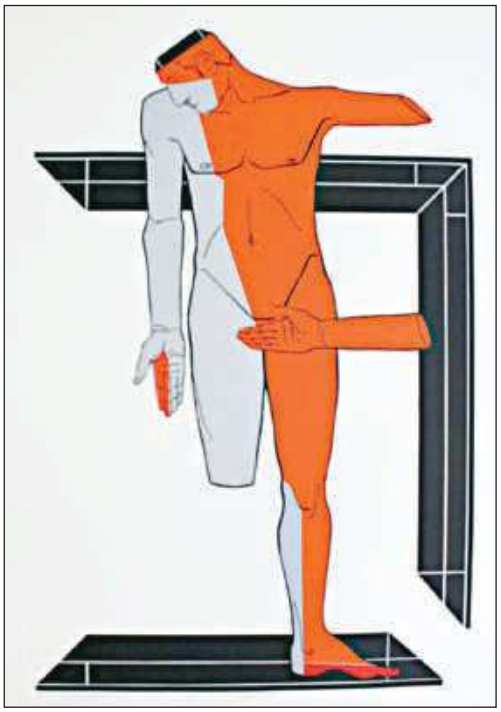

Coraz bliżej **do kosmosu**

Wystawa prac Teodora Durskiego obejmuje zarówno te najwcześniejsze, jeszcze z okresu studiów, jak i najnowsze. Widoczne są w nich motywy symboliczne, mitologiczne czy religijne, ale też odwołania do czterech żywiołów. Ziemia, woda, ogień i powietrze to nieodłączne elementy życia człowieka od zarania dziejów. Starożytni filozofowie głosili, że rodzimy się z ziemi, a następnie, przechodząc przez wodę, powietrze i ogień, podlegamy stopniowemu oczyszczaniu. Żywioły kojarzone są także z fazami życia: dzieciństwem, młodością, wiekiem dojrzałym i starością. Wszechświat i jego tajemnice to dla artysty niewyczerpane źródło natchnienia.

Miejska Galeria Sztuki – Ośrodek Propagandy Sztuki

Łódź, park im. Henryka Sienkiewicza, ul. Sienkiewicza 44

do 27 grudnia

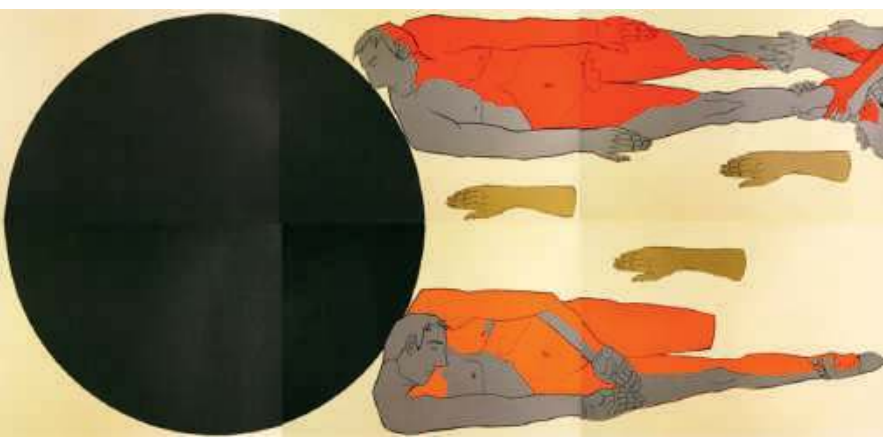

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 7f3ef78ddd

DAJEMY DZIECIOM SIŁĘ

ZADBAJ O DZIĘCIĘCY „MÓZG"

Wprowadź **Domowe Zasady Ekranowe**

domowezasadyekranowe.fdds.pl

saferinternet.pl

Współfinansowane przez Unię Europejską. Instrument „Łącząc Europę"

eprasa.pl 7f3ef78ddd

SENIOR
W
KORONIE
POMÓŻ KUPIĆ CIEPŁY OBIAD
DLA NASZYCH SENIORÓW!
Zasil zrzutkę:
zrzutka.pl/seniorwkoronie
TY też możesz czynić dobro!
Więcej o nas przeczytasz w grupie na Facebooku:
SENIOR W KORONIE - wsparcie dla starszych osób w czasie pandemii covid-19
Znajdziesz nas też na Instagramie: www.instagram.com/senior_w_koronie/